KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 11/97 1955



• «La Culture» • Revue mensuelle •

DO CZTERDZIESTU OŚMIU

A. WEISSBERG-CYBULSKI: **CENĄ KOMPROMISU - NOWA LINIA DEMARKACYJNA**

St. MACKIEWICZ: **UN TRAVAIL RATÉ**

SPIS RZECZY

ARCHIWUM POLITYCZNE

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

SPRAWY I TROSKI

KSIĄŻKI



KULTURA

[Sz]kice • Opowiadania • Sprawozdania

[P]ARYŻ Listopad-Novembre 1955

[I]NSTYTUT LITERACKI



DALSZE WPŁATY NA DOM "KUKTURY"

Dr Z.A. Makomaski, New York City (USA)	10.500 fr.
Z. Grabiński, Nairobi, Kenya (E. A.)	2.500 "
Irena i Wiktor Zahorscy, Detroit, Mich. (USA)	1.750 "
Inż. J. Binkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada)	1.750 "
B.S. Szumera, Port Colborne, Ont. (Kanada)	1.750 "
Adam Schmidt, Washington (USA)	1.400 "
Felicyta Hermanowska, New York (USA)	2.000 "
Profesorowa L. Hersch, Genewa (Szwajcaria)	2.000 "
Jan Kaczmarski, San Francisco, Calif. (USA)	1.750 "
Zdzisław Borzym, Chicago, Ill. (USA)	1.400 "
Krystyna Jarzębińska, Caracas (Venezuela)	5.300 "
R. Fiks, Chicago, Ill. (USA), ponownie	700 "
Bezimiennie	200 "

Imprimé en France

Do czterdziestu ośmiu

Wezwanie emigrantów do powrotu, ogłoszone przez radio „Kraj" w początku sierpnia rb., podpisane zostało przez 48 osób stojących obecnie z dala od życia politycznego i powszechnie znanych w kraju i na emigracji. Wielu emigrantów znajdzie wśród nich nazwiska sobie znane, które ceni i szanuje. Już z tego tytułu odezwa ich nie powinna pozostać bez odpowiedzi.

Nie uszło również uwagi, że odezwa ich oznacza pojawienie się czynnika społecznego w życiu publicznym kraju. Rząd Republiki Ludowej, nie spodziewając się zapewne, aby słowa jego znalazły dostateczny posłuch, nie zwrócił się do emigrantów sam, lecz wezwanie ich do powrotu powierzył grupie szanowanych obywateli. Przez dziesięć lat ubolewaliśmy nad nieobecnością w życiu politycznym kraju niezależnego czynnika społecznego. Pojawienie się jego — chociażby w formie ubocznej i przypadkowej — witamy jako zjawisko dodatnie, do którego pragnęlibyśmy ustosunkować się pozytywnie.

Z faktem, że zadanie nawiązania stosunków między krajem i emigracją przypadło w udziale grupie niezależnych obywateli, wiążemy różne nadzieje. Emigranci nie czekali przez dziesięć lat aż zostaną wezwani przez radio do powrotu. Dziesięć lat nieobecności i odmienne doświadczenia wytworzyły między nimi a krajem lukę, której nie wypełnią bez reszty odezwy ani deklaracje urzędowe. Powrót, do którego zaprasza odezwa 48-miu, czy też jakieś nowe ułożenie się ich stosunków z krajem stały się rzeczą złożoną. Sama już odezwa 48-miu stawia emigrantów wobec pytań, z którymi oswojenie się wymagałoby długich i szczerych rozmów.

Odezwa powołuje się np. na słowa ob. Bolesława Bieruta o „wspaniałomyślności narodu polskiego" i jego gotowości do zapomnienia emigrantom ich „win i przekroczeń". Słowa te są nieco ogólnikowe i mgliste, nasuwają jednak myśl, że kto korzysta z wspaniałomyślności, musi w ten czy inny sposób uznać się sam za winnego. Warunek taki stawia naszym sumieniom pytania, na które nie ma łatwych odpowiedzi.

Sprawa „win i przekroczeń" ma inne jeszcze niepokojące aspekty. Za te same „winy i przekroczenia", które mają być wspaniałomyślnie odpuszczone emigrantom, wiele osób w kraju skazano na długoletnie więzienie. Stwarzałoby to dwa różne

wymiary sprawiedliwości, niemożliwe do utrzymania na dłuższą metę. Na powracającym w glorii przebaczenia emigrancie zatrzymałyby się pytające spojrzenia kobiet, których mężowie lub synowie za te same „winy i przekroczenia" odsiadują surowe kary. Zanim emigranci wybiorą się w drogę do kraju, sprawa ta będzie musiała znaleźć jakieś wyjaśnienie.

Odezwa 48-miu daje wyraz „rosnącej trosce społeczeństwa o los powrześniowych uchodźców". Biorąc te słowa szczerze do serca, domyślamy się, że nie jest to zapewne troska najpilniejsza. Powracający obecnie z głębi Rosji Włosi, Niemcy, Hiszpanie i in. wzmiankują w swych relacjach z miejsc zesłania i obozów pracy, że wszędzie widzieli pozostałych tam dotąd Polaków. Są to towarzysze zesłania tych emigrantów, którym udało się dostać przez Syberie na Zachód. Nawet gdyby wszyscy ich zapomnieli, dawni towarzysze nie mogą wymazać ich z pamięci, i sprawa ta jest zawsze żywa wśród emigrantów. Korzystając z obecnego odprężenia stosunków międzynarodowych, wszystkie kraje podjęły w Moskwie starania o powrót z Rosji swych obywateli. Należy przypuszczać, że nie brak tam i starań polskich. Obok repatriowanych na Zachód generałów niemieckich powinno się dziś znaleźć miejsce i dla zesłańców polskich. Nic o tym wszakże nie wiemy. Możemy się jedynie domyślać, że w hierarchii i pilności trosk społeczeństwa polskiego powrót deportowanych z Rosji zajmuje miejsce wyższe od powrotu emigrantów, którym dla niezupełnie jasnych dla nas przyczyn prasa i radio poświęcają tyle uwagi.

Rozumiemy, że poruszone wyżej sprawy nie leżą w granicach działania 48-miu. Z kim jednak mielibyśmy o nich mówić jeżeli nie z grupą szanowanych obywateli, którzy przerwali wieloletnie milczenie, aby zapraszać nas do powrotu, dając do zrozumienia, że kraj zachował nas w życzliwej pamięci? Jakiekolwiek byłyby doraźne skutki spotkania z nimi, sama już szczera rozmowa i świadomość wspólności wielu trosk byłyby ważnym krokiem do zbliżenia się i zrozumienia wzajemnego kraju i emigracji.

W tym przeświadczeniu redakcja KULTURY zaprasza wszystkich sygnatariuszy znanej odezwy do Maisons Laffitte na przyjacielską rozmowę z emigrantami. Zdajemy sobie sprawę, że odrywamy ich być może od ważniejszych spraw, przypuszczamy jednak, że podpisując swą odezwę liczyli na odpowiedź, i że zaproszenie nasze nie powinno być dla nich niespodzianką. Do wszystkich 48-miu wysyłamy jednocześnie listy donoszące o szczegółach proponowanego przez nas spotkania.

Redakcja KULTURY

Które z przemian w Polsce są odwracalne? (IV)

ANKIETA POD REDAKCJĄ ST. ZARZEWSKIEGO

Rozdział X

RESUME ANKIETY

I

Gdy przed rokiem Redaktor ,,Kultury'' zaproponował mi napisanie artykułu na temat odwracalności przemian społeczno-gospodarczych w Polsce, uchyliłem się od tego i zasugerowałem mu przeprowadzenie ankiety, gdyż sądziłem, że w tej sprawie opinie większej ilości ekonomistów, socjologów, prawników i polityków byłyby bardziej pożądane niż wypowiedź jednego autora. Redaktor zaakceptował tę kontrpropozycję. Były jednak dwie trudności. Przede wszystkim nie można rozwiązywać równania z tyloma niewiadomymi, zrodzonymi przez zupełną niemożność przewidzenia warunków, które będą istniały w chwili ewentualnej zmiany sytuacji politycznej w Polsce; a bez znajomości warunków nie można oczywiście mówić o tym, jaką politykę gospodarczą należałoby prowadzić. Po drugie niezbyt jasno zarysował się praktyczny cel snucia rozważań o przemianach, których odwrócenie zależy od radykalnej zmiany sytuacji międzynarodowo-politycznej; ta zaś, jak się wydaje, jeżeli nastąpi, to nie prędko: dzisiejszy stan rzeczy może, choć nie musi, być czymś w wymiarze epoki historycznej.

Jednakże przy opracowywaniu kwestionariusza do ankiety oba wymienione zastrzeżenia odpadły. Znaleziona została ,,teza robocza'' ankiety, wyłączająca operowanie nieznaną rzeczywistością w nieokreślonej przyszłości: ustaliliśmy założenie, że

uczestnicy ankiety powinni wiązać swe opinie z warunkami rzeczywiście dziś w Polsce istniejącymi, to znaczy, że powinni rozumować tak, jak gdyby w chwili pisania istniały warunki polityczne, umożliwiające swobodną decyzję w sprawie zachowania albo uchylenia przemian, które nastąpiły w ostatnim dziesięcioleciu. To założenie umożliwiło też przekreślenie drugiego zastrzeżenia: nie chodzi o żadne szczegółowe plany na przyszłość, ale po prostu o ujawnienie zasadniczej oceny dzisiejszej rzeczywistości gospodarczo-społecznej w Polsce. W ten sposób respondenci uzyskali możność uwzględnienia w swym rozumowaniu czynnika czasu i konkretnych warunków, w tym czasie istniejących — czynnika tak bardzo istotnego w każdej sprawie gospodarczej czy politycznej.

Ankieta wzbudziła zainteresowanie wśród czytelników ,,Kultury'', czego dowodem jest fakt, że w sprawie o charakterze bądź co bądź specjalnym wypowiedziało się 111 osób; z nich 49 jest cytowanych w tym sprawozdaniu. Ich odpowiedzi składają się łącznie na przeszło sześćset stron rękopisów.

Czyją właściwie opinię reprezentuje ta ankieta? Czy można uważać, że jest to opinia emigracji polskiej? Jaki jest ,,klasowy skład'' grona uczestników ankiety? zapytają marksistowsko nastawieni czytelnicy. Czy opinie te są zgodne z tym, co myśli społeczeństwo w kraju? Z personaliów autorów, które podaliśmy, widać, że są wśród nich osoby z tytułami naukowymi i tzw. ludzie prości, a o ile chodzi o zawód, byli i obecni profesorowie uniwersytetów, przedwojenni ministrowie, urzędnicy, nauczyciele, technicy, robotnicy, publicyści. Wachlarz zawodów i wykształcenia jest więc tu niemały. Ale ilość wypowiedzi — choć stosunkowo duża jak na trudne warunki emigracyjnego bytu — jest jednak zbyt skromna w stosunku do liczebności naszej emigracji, aby można było z dostateczną pewnością sądzić, że oto mamy przed sobą obraz tego, ,,co myśli emigracja''. Mimo to przypuszczam, że ankieta wykazuje dostateczny stopień reprezentatywności w tym sensie, aby można było ją uznać za pierwszą poważną próbę wysondowania opinii Polaków, rozproszonych po całym świecie. Stokroć ważniejsze jest, oczywiście, co *kraj* myśli o tych sprawach. Jednakże wobec wiadomych warunków politycznych, nie mamy możności dokładnego zorientowania się, jaka jest opinia społeczeństwa w kraju o poszczególnych przemianach gospodarczych i społecznych; a ponieważ gospodarczo-społeczny przekrój emigracji nie pokrywa się z takimże przekrojem społeczności krajowej, nie możemy, nawet w drodze analogii, stwierdzić, w jakiej mierze nasz stosunek do poszczególnych przemian pokrywa się ze stosunkiem do nich Polaków w Polsce. Wolno jednak chyba przypuszczać, że znaczna ilość poglądów, wypowiedzianych w ankiecie, odpowiada poglądom kraju. Na przykład chłop polski, ograniczający dostawy produktów rolnych na rzecz państwa do minimum, i wykonywujący ten obowiązek tylko pod przymusem, jest w grun-

cie rzeczy uczestnikiem tej ankiety: postępowaniem swoim mówi on, jak inni respondenci, że przymusowe spółdzielnie produkcyjne są rzeczą złą.

II

Zreasumuję teraz cały ten obfity materiał ankietowy, ogłoszony w poprzednich rozdziałach. Ograniczę się tylko do rzeczy najogólniejszych. Podam, ilu respondentów wypowiedziało się w poszczególnych kierunkach w ramach poszczególnych zagadnień (co jest tym bardziej potrzebne, że w sprawozdaniu nie cytowałem wszystkich wypowiedzi, a tylko najpełniejsze i najprecyzyjniej sformułowane).

PROBLEM PRZEMYSŁU

1. — W sprawie upaństwowienia przemysłu zarysowały się trzy grupy poglądów. Pierwsza, obejmująca 80 procent respondentów, zaleca pozostawienie w rękach państwa, względnie innych ciał publicznych, tych gałęzi przemysłu, które są szczególnie ważne z punktu widzenia gospodarstwa społecznego, jako całości, zwłaszcza gdyby tym gałęziom mógł zagrażać monopol prywatny. Inne gałęzie przemysłu, zdaniem tej grupy, mogą względnie powinny ulec procesowi reprywatyzacji z tym, że niektórzy respondenci zalecają zachowanie przez ciała publiczne takiej czy innej kontroli nad zreprywatyzowaną częścią przemysłu. Do przemysłów, które odnośni autorzy chcieliby trwale widzieć w rękach publicznych, należy przede wszystkim przemysł zbrojeniowy, a poza tym to, co się zwykle nazywa „ciężkim przemysłem" czy też „kluczowymi gałęziami przemysłu".

Druga grupa, obejmująca około 10 procent uczestników ankiety, uznała upaństwowienie przemysłu za przemianę zdecydowanie ujemną, a jego kompletną reprywatyzację — za konieczność.

Trzecia grupa, obejmująca również 10% respondentów, uznała upaństwowienie przemysłu za przemianę dodatnią i odrzuca myśl o jego reprywatyzacji.

2. — Fakt, że Polska z kraju rolniczego została przetworzona w kraj przemysłowo-rolniczy, że Polska jest dziś silnym państwem przemysłowym, nie spotkał się z ani jednym głosem opozycji. Nieodwracalność i pożyteczność tej przemiany została niemal przez wszystkich, którzy o niej pisali, scharakteryzowana w sposób na ogół bardzo zdecydowany.

3. — Znakomita większość respondentów bardzo silnie krytykuje zwichnięcie równowagi w strukturze przemysłowej kraju i uważa, że jednostronny kierunek uprzemysłowienia Polski jest szkodliwy dla jej harmonijnego rozwoju gospodarczego. Był tylko jeden wyraźny głos, pozytywnie oceniający dzisiejszy prymat

ciężkiego przemysłu, będący tak istotną cechą komunistycznej polityki gospodarczej.

4. — Biurokratyczno-centralistyczna organizacja przemysłu i niekompetentne nim zarządzanie stanowią, zdaniem wszystkich respondentów, którzy zabrali głos w tej sprawie, przemianę jak najbardziej szkodliwą dla sprawności i wydajności aparatu przemysłowego.

PROBLEM ROLNICTWA

5. — Wszyscy respondenci stoją na gruncie nieodwracalności reformy rolnej w wyniku której wielka prywatna własność ziemska została częściowo rozparcelowana.

6. — Wszyscy są zdania, że spółdzielnie produkcyjne w ich obecnej przymusowej formie mogą i powinny być zlikwidowane jako twory gospodarczo niesprawne a politycznie szkodliwe.

7. — Niemal wszyscy respondenci uważają, że dzisiejszy system dostaw produktów rolnych na rzecz państwa jest niepożądany i winien ulec likwidacji.

8. — Wszyscy, z wyjątkiem jednego, są zdania, że Państwowe Gospodarstwa Rolne są eksperymentem gospodarczo chybionym i powinny być zlikwidowane. Kilku respondentów sądzi, że pewną drobną część ziemi państwowej należy jednak zachować we własności publicznej dla celów eksperymentalnych i specjalnych.

9. — Wszyscy uczestnicy ankiety, z wyjątkiem jednego, uważają, że należy poczynić zmiany w obecnej dystrybucji inwestycji pomiędzy przemysłem i rolnictwem — na korzyść rolnictwa, które jest dziś, w sensie inwestycyjnym, bardzo upośledzone.

10. — Wszyscy są zdania, że mechanizacja rolnictwa jest przemianą pożyteczną i nieodwracalną, jednakże Państwowe Ośrodki Maszynowe monopolizujące posiadanie ciągników, winny być zlikwidowane.

PROBLEM RZEMIOSŁA

11. — Mimo bardzo różnej oceny społeczno-gospodarczego znaczenia rzemiosła uczestnicy ankiety są niemal jednomyślni w przekonaniu, iż rzemiosło absolutnie się nie nadaje do poddawania go scentralizowanej dyspozycji państwowej; sądzą więc że obecna organizacja rzemiosła w Polsce winna być uchylona.

PROBLEM HANDLU WEWNĘTRZNEGO

12. — 80% respondentów wyraża zdecydowany pogląd, że upaństwowienie handlu jest gospodarczo szkodliwe i że należy przywrócić mu jego normalną w gospodarstwie społecznym fun-

kcję. Trzech na czterech respondentów podkreśla jednak, że nie może to być równoznaczne z przyznaniem handlowi zupełnej wolności w zakresie kształtowania cen, na których poziom państwo powinno mieć wpływ. Wśród respondentów jest pięciu, którzy postulowaną reprywatyzację handlu ograniczają do detalu, uważając, że handel hurtowy winien być albo w rękach państwa, albo pod decydującym jego wpływem.

13. — Bardzo liczne głosy podkreślają niespółdzielczy de facto charakter obecnych spółdzielni handlowych i mówią o potrzebie zastąpienia ich prawdziwymi spółdzielniami.

14. — Poglądy na ogólno-gospodarcze znaczenie odrodzenia samoczynnego mechanizmu cen wahają się w granicach bardzo szerokich.

PROBLEM HANDLU ZAGRANICZNEGO

15. — Niemal wszyscy respondenci stoją na stanowisku, że państwo nie może rezygnować z regulowania obrotów zagranicznych i że wpływ jego na handel zagraniczny powinien być istotny. Rola państwa w handlu zagranicznym nie powinna jednak polegać na tym, żeby ono było kupcem. Tego zdania jest 80% autorów. Upaństwowienie handlu zostało więc uznane za przemianę „złą".

16.— Monopol handlu zagranicznego jeszcze silniej został potępiony przez wszystkich, z wyjątkiem trzech, respondentów. Ci ostatni uznali, że monopol ten stanowi zjawisko zasadniczo pożyteczne, warte utrzymania na przyszłość nawet w zmienionych warunkach politycznych.

17. — Wszyscy niemal, którzy pisali na ten temat, wyrazili pogląd, że sztuczne, jednostronne wtłaczanie handlu zagranicznego Polski do bloku sowieckiego, przy wyłączaniu jej z gospodarczego obszaru świata zachodniego jest szkodliwe zarówno w sensie ekonomicznym jak i politycznym, tym bardziej, że handel z Rosją oparty jest na wyzysku Polski. Jednakże sam fakt zintensyfikowania kontaktu z zaniedbywanymi przed wojną, rynkami wschodnimi jest, w zasadzie, faktem pomyślnym, przemianą gospodarczą, która winna być utrzymana, a nawet pogłębiona w przyszłości w oparciu o normalne założenia handlowe.

18. — Dwudziestu respondentów opisało zmiany w strukturze polskiego importu i eksportu, wyrażając opinię, że w zmianach tych są pewne pierwiastki pozytywne (spadek procentowy importu artykułów przemysłowych obok powiększenia importu surowców i maszyn, oraz spadek procentowy eksportu surowców i półfabrykatów przy wzroście eksportu wyrobów gotowych), warte utrzymania na przyszłość. Obok tego są też zmiany szkodliwe, które należy usunąć (np. eksport żywności i węgla na szkodę rynku wewnętrznego).

PROBLEM FINANSÓW

19. — Stosunek uczestników ankiety do ogromnych przemian na terenie budżetu państwowego jest w głównej mierze pochodną ich stosunku do zasadniczych przeobrażeń gospodarczo-społecznych w Polsce. Mglistość bardzo wielu sformułowań w tej sprawie nie pozwala mi na dokładne stwierdzenie ilości zwolenników poszczególnych poglądów. Nie ulega jednak kwestii, że znakomita większość jest zdania, iż te przemiany finansowe powinny przeważnie zostać uchylone, gdy warunki polityczne na to pozwolą. Kilku respondentów sądzi, że tylko nieznaczne porzucenie ,,zasad budżetu socjalistycznego'' byłoby wskazane. Kilku innych uważa, że właśnie budżet tego typu winien być budżetem przyszłej Polski.

20. — Wyraźna większość opinii idzie w kierunku uchylenia monopolu państwowego na terenie bankowości, oczywiście poza bankiem emisyjnym, ale zaleceniu reprywatyzacji bankowości zwykle towarzyszy pogląd, że państwo winno mieć większy czy mniejszy wpływ na politykę banków prywatnych i że działalność ich należy poddać kontroli państwowej.

PROBLEM SPOŁECZNY

21. — Przedwojenny stan rzeczy w dziedzinie spraw społecznych w Polsce nie znalazł wśród respondentów ani jednego gorącego obrońcy. Do 70 % dochodzi ilość głosów, zarówno socjalistów jak i nie-socjalistów, stwierdzających, że robotnik i chłop nie mieli przed wojną równego innym warstwom społecznym startu życiowego. Połowa respondentów stwierdza że dziś szanse awansu społecznego robotnika i chłopa są znacznie lepsze niż były; nad awansem tym ciąży jednak ogólna niewola polityczna.

22. — 80 % wypowiada zdanie, że komunistyczne reformy społeczne (ubezpieczenia socjalne, pensje inwalidzkie i emerytalne itd.) są krokiem wstecz w stosunku do roku 1939, że niektóre nowe prawa np. zakaz strajków są wręcz reakcyjne, że stopa życiowa robotnika jest bardzo niska. Kilku respondentów sądzi, że to zło częściowo minie, gdy kraj upora się z ciężarami okresu uprzemysłowienia.

23. — O ile chodzi o zmiany w strukturze społecznej, to wyraźnie dominuje przekonanie, że likwidacja klasy wielkich właścicieli ziemskich jest ostateczna, że w innych warunkach politycznych kapitalistyczny przedsiębiorca przemysłowy mógłby się odrodzić, że rolnicza Polska należy do bezpowrotnej przeszłości. Przemiany: pierwsza i trzecia są, zdaniem co najmniej 80 % respondentów, nie tylko nieodwracalne, ale także pożyteczne. Horoskopom, związanym z ewentualnym odrodze-

niem się przemysłowca-kapitalisty, w bardzo niewielu tylko wypadkach towarzyszą słowa pełnej wiary w liberalizm gospodarczy; częściej — obawy przed monopolem i kartelami.

Rozdział XI

UWAGI REDAKTORA ANKIETY

I

Chciałbym teraz uzupełnić materiał ankietowy kilkoma ogólnymi uwagami i refleksjami. Pierwsze pytanie kapitalnej wagi, które mi się nasuwa, jest następujące: *czy rewolucja, dokonana w Polsce, jest rewolucją zupełnie nie-polską?* Na pytanie to odpowiadam negatywnie. Prawda polega na tym, że w Polsce dokonały się *dwie* rewolucje. Jedna to ta, którą narzuciła Polsce czerwona armia; bez jej bagnetów nie byłoby tej rewolucji; gdyby te bagnety przestały istnieć, cały gmach importowanej rewolucji runąłby w oka mgnieniu. Ale jest jeszcze druga rewolucja: *w polskich mózgach*. Prawda, że siły zewnętrzne w pewnym, trudnym do wymierzenia, stopniu wpłynęły na polskie mózgi, niemniej jednak nie wolno nie widzieć i nie doceniać tej drugiej rewolucji, która prędzej czy później i tak by prawdopodobnie nastąpiła — nawet bez bolszewików.

Jestem przekonany, że wśród Polaków w kraju istnieje wyraźna i wyczulona świadomość, rozróżniająca te dwie rzeczy. Tam, z pewnością, ludzie wiedzą, co jest ,,nasze'', a co jest ,,ich''; te małe słówka ,,oni'', ,,ich'', jako zwykły sposób określania komunistów, o czym pisali uciekinierzy z Polski — mówią całe tomy. To ,,oni'', to ,,ich'' wyraża, w sposób genialnie podświadomy, określoną treść polityczną. Ale to bynajmniej nie znaczy, że umysłowość Polaka w kraju jest ta sama dziś, co była w roku 1939. Zmieniła się ona, i to wyraźnie: częściowo w sensie nabycia nowej treści, częściowo w sensie skrystalizowania świadomości.

Przed wojną takie sprawy jak np. potencjał przemysłowy, czy gospodarka planowa, czy zagadnienie ,,krążenia elit'' w społeczeństwie — były dyskutowane w szczupłych tylko gronach, były tematem dyskusji może raczej intelektualnej niż politycznej. Dziś, gdy przemysł został rozbudowany, gdy wyrosła olbrzymia i rosnąca klasa robotników przemysłowych, problem przemysłu stanął przed oczami milionowych mas, jako realne, niemal dotykalne zjawisko codziennego życia. Podobnie, sprawa szans, które człowiek ma w życiu. Przed wojną syn robotnika czy chłopa wiedział, że jego szanse są mniejsze niż szanse syna fabrykanta czy właściciela ziemskiego, albo urzędnika państwo-

wego czy lekarza, inżyniera itd., ale tę nierówność szans traktował jako fakt, którego najczęściej nie mógł zmienić; fakt ten był po prostu wyrazem jego osobistej niedoli. Dziś, gdy, jak to napisał w tej ankiecie socjolog dr. Jerzy Zubrzycki, rozszerzyła się, i to bardzo, podstawa rekrutacji inteligencji w Polsce, ów syn robotnika czy chłopa zyskał pewne szanse, których przedtem nie miał. Zastępy takich młodych ludzi wchodzą dziś w życie jako ludzie o niewątpliwie rozszerzonych możliwościach na przyszłość. Tego faktu nie przekreśla to, że ci synowie robotników i chłopów, jak zresztą cała reszta społeczeństwa, żyją w systemie niewoli pod rządami policji politycznej. Oni rozumieją *obie* te rzeczy: zarówno to, że ich prawo do równego startu życiowego jest ich bezspornym, dobrym prawem, jak i to, iż rządy policyjne są bezprawiem. Choć więc ci młodzi Polacy w kraju są w — utajonej z konieczności — opozycji wobec reżymu, to przecież ich nowozdobyta pozycja społeczna stanowi w ich świadomości coś, co już nigdy nie pozwoli na zepchnięcie ich z powrotem na przedwojenny szczebel hierarchii społecznej. Trzeba oczywiście odróżnić *hasło* społecznego awansu robotnika od *rzeczywistego* awansu; ten ostatni z pewnością nie idzie tak daleko jak hasło. Ale należy pamiętać, że hasło żyje swoim własnym życiem i że jego deklaratywna treść też będzie realnym czynnikiem politycznym w przyszłości: hasło, choćby częściowo tylko spełniane, zawsze się liczy, jeżeli wsiąkło w świadomość szerokich mas; jest zaś rzeczą pewną, że slogan: ,,Klasa robotnicza — podstawowym źródłem twórczości narodu, a więc i szczytem jego hierarchii społecznej'' — stał się ,,samopoczuciem'' społeczeństwa. Na tym polega *polska* rewolucja w Polsce. Ci młodzi — zrewolucjonizowani na modłę ogólno-ludzką i polską — ludzie będą rządzili Polską po swojemu po ewentualnej zmianie warunków politycznych. Te zaś elementy narodu polskiego, które myślą kategoriami przedwojennymi, będą dla tych nowych generacji zupełnie obce pod względem psychicznym. Wielką wymowę w tym sensie i doskonałą charakterystykę nastrojów w kraju daje np. obszerna odpowiedź na ankietę podpisana *Oracz Morza,* nadesłana do ,,Kultury'' przez uciekiniera z Polski. Ten *Oracz Morza* to człowiek polskiej rewolucji, który uciekł przed niepolską bezpieką.

Że polska rewolucja poglądów istnieje w Polsce *obok* sowieckiej rewolucji, że rewolucja w Polsce nie jest stuprocentowo sowiecka, to rzecz z której należy jasno zdać sobie sprawę. Nie przekreśla tej tezy fakt, że polska rewolucja, w dzisiejszych warunkach, nie może uzewnętrznić się w formie budowania nowej rzeczywistości polityczno-społecznej, która by była jej odpowiednikiem. Ankieta do pewnego stopnia ujawniła te prawdy. A dodać należy, że program społeczno-gospodarczy Polski Podziemnej z okresu wojny był już wstępem do owej polskiej rewolucji. Zresztą nawet i przed wojną były pewne zwiastuny, że coś powoli się zmienia w tradycyjnym polskim myśleniu. Np. kon-

cepcje reformy rolnej Juliusza Poniatowskiego, choć osobiście miałem w stosunku do nich zastrzeżenia ekonomiczne, są rzeczą wartą przypomnienia.

Są ludzie, którzy kwestionują istnienie polskiej rewolucji poglądów. Dlaczego? Może nawet nie dlatego, że są ślepi, ale dlatego, że byli by gotowi uznać ją ewentualnie dopiero po pokonaniu komunizmu. Ale takie ,,odkładanie'' sprawy do dogodnego politycznie momentu nie jest realne. Rozejrzyjmy się po świecie: wszędzie zmiany w sposobie myślenia. Prezydent Eisenhower oświadcza, że ,,obywatel musi być pod opieką państwa od kolebki do trumny''. Adlai Stevenson w swojej książce pod tytułem ,,Call to greatness'' formułuje tezy, które przed 50-ciu laty byłyby uważane za niemal wywrotowe. Konserwatywna Anglia w znacznej mierze utrzymuje reformy, wynikające z rewolucji socjalnej Clementa Attlee. Czołowe państwa kapitalistyczne prowadzą politykę w stylu Planu Colombo, która w oczach poprzedniego pokolenia byłaby zaprzeczeniem rozumnych inwestycji. Pod wszystkimi szerokościami geograficznymi radykalnie zmienia się stosunek do zagadnienia kolonializmu. W Azji i Afryce zaczynają dominować nowe ideologie nacjonalistyczne. Nawet w pozornie najmniej fluktuującej sferze sowieckiej zaczyna się proces kotłowania się sprzecznych pierwiastków myślowych, który to ferment rośnie wraz z wewnętrznymi trudnościami bloku sowieckiego. A w skali całej naszej planety — szukanie wyjścia ze ślepego zaułka, w który wszystkich nas zapędziło rozbicie atomu i rozbicie ludzkości i związane z tym zagadnienie: jak obronić się przed zagładą bez niszczenia wolności i stabilizowania niewoli.

Tak więc głębokiemu przeoraniu ulega świadomość setek milionów ludzi wobec olbrzymich problemów naszej epoki. Jeżeli w szczególności o świadomość Polaków w kraju chodzi, to jest ona pod bezpośrednim ciśnieniem faktu, że stworzona została zupełnie nowa, w sensie ekonomicznym, Polska. Czy można przypuszczać, że tylko Polacy w kraju stanowią wyjątek od tego, że — pod wpływem wielkich wydarzeń, przewalających się przez świat — zmieniają się tradycyjne poglądy, że Polacy w kraju mają dziś to samo wobec życia nastawienie, co w roku 1939, że Polskę, leżącą na centralnym szlaku historii — ominęła rewolucja myślowa? Twierdzenie, że tak właśnie jest, byłoby taką samą nieścisłością jak np. powiedzenie, że jakaś część wody — i to w samym środku rzeki — nie płynie. Bądźmy pewni: największą prawdą wszystkich czasów jest to, że *wszystko* płynie. W kierunku dobrym albo złym. Ale płynie. I — od roku 1914 — płynie w tempie gwałtownie przyśpieszonym.

II

Wydaje mi się, że w tych rewolucyjnych przemianach społeczno-gospodarczych w Polsce nie wszystko jest tak bardzo

znów zaskakujące. Weźmy np. rozbudowę i upaństwowienie przemysłu. Jak wiadomo, zostały one przeprowadzone przez dyktaturę komunistyczną według wzorów sowieckich i wobec tego oderwane są od przedwojennego rozwoju gospodarczego. Niemniej jednak ,o ile chodzi o psychologiczno-ekonomiczną stronę pewnych zjawisk powojennych, to obcość ich dotyczy może bardziej ich natężenia niż kierunku. I przed wojną zarysowywały się bowiem dwa wyraźne nurty: przede wszystkim tendencja do uprzemysłowienia kraju, po drugie dość powszechna w społeczeństwie naszym niechęć do istniejącego wówczas przemysłu prywatnego i związana z tym — szeroko zakrojona i wciąż rozrastająca się — polityka etatystyczno-interwencjonistyczna. Ten przedwojenny etatyzm — nonsens, zrodzony głównie z błędnej polityki kredytowej państwa w stosunku do wielkich prywatnych firm przemysłowych, i ten przedwojenny interwencjonizm biurokratyczny — wyraz ekonomicznego nieuctwa administracji — składały się na politykę, która jeszcze bardziej potęgowała wrodzoną społeczeństwu polskiemu niechęć do prywatnego przedsiębiorcy. Gdy więc po wojnie przyszło upaństwowienie całego przemysłu, można sądzić, że społeczeństwo w kraju przyjęło je bez antypatii: atmosfera psychiczna była już z dawna przygotowana. Powojenne zaś ugruntowanie doktryny socjalistycznej w wielu młodych umysłach w Polsce dokonało reszty.

Uważny czytelnik ankiety zauważył niewątpliwie podobne nastawienie u wielu jej uczestników, zauważył różnicę pomiędzy tą niemal aprobatą upaństwowienia przemysłu i, dodajmy, kompletną aprobatą likwidacji wielkiej prywatnej własności ziemskiej, a np. zdecydowanie negatywnym frontem kraju i emigracji w stosunku do przymusowych spółdzielni w rolnictwie. (Te ostatnie przypominają mi pod pewnym względem przedwojenne kartele przemysłowe. Były to ,,kartele wstydliwe'', negujące fakt swego istnienia by ukryć swój faktyczny monopol gospodarczy; podobnie dzisiejsze łże-spółdzielnie negują fakt, że są wyrazem przymusu państwowego).

Upaństwowienie przemysłu jest, według mnie, przemianą trudno-odwracalną, między innymi właśnie z wymienionych względów psychologicznych. Zrewolucjonizowane myślenie polskie — w ramach polskiej rewolucji — wsparte przedwojennymi nawykami zurzędniczałego społeczeństwa po-szlacheckiego — decyduje, o ile rozumiem, niemal na pewno, że np. ciężki przemysł, nawet w zmienionych warunkach politycznych — nigdy nie mógłby się już znaleźć w rękach prywatnych właścicieli. Taki niewątpliwie jest rozwój wydarzeń na tym terenie. Co z tego wyniknie w sensie ekonomicznym, czy przemysł państwowy zdoła kiedykolwiek stać się czymś innym niż fabryką deficytów, to już inna sprawa.

Przy rozważaniu tych pytań nie należy zapominać o 40-letnich doświadczeniach sowieckich, z których wynika, że przy komunistycznej polityce gospodarczej można wprawdzie zbudować potęgę przemysłową i wojskową, ale potęga ta powstaje za

cenę zburzenia harmonijnego rozwoju całości gospodarstwa społecznego czyli za cenę podkopywania własnej swej podstawy na jutro i dobrobytu społeczeństwa na dziś. Do materialnej ceny sowieckiego budownictwa przemysłowego należy też dodać cenę moralną, np. fakt, że praca niewolnicza stała się integralnym elementem sowieckiej ekonomii.

Wybór w sprawie: ,,w czyich rękach powinien być przemysł w przyszłej Polsce'', nie jest ograniczony, jak to się nieraz mylnie twierdzi, do dwóch tylko możliwości: *albo* przedwojenni ,,baronowie węglowi'' i w ogóle ,,rekiny kapitalistyczne'', *albo* własność państwowa. Jest znacznie więcej ewentualności, i to takich, które umożliwiają rzeczywiste zdemokratyzowanie własności przemysłowej. Przyglądając się ewolucji stosunków socjalno-gospodarczych w Stanach Zjednoczonych w ostatnich 50-ciu latach (vide np. ,,The Big Change'' Allen'a), można się dużo nauczyć o nowych rodzących się formach gospodarstwa i o ewolucji kapitalizmu amerykańskiego; idzie on w kierunku, który w sensie socjalnym coraz mniej ma wspólnego z klasycznym kapitalizmem 19-go stulecia, a równocześnie pozostaje ustrojem postępu ekonomicznego.

III

Najogólniejszą podstawową ideą reżymu w Polsce, w odniesieniu do gospodarstwa społecznego, jest oczywiście idea tzw. *planowości gospodarczej*, która ujawnia się we wszystkich przemianach, opisanych przez uczestników tej ankiety. ,,Planowość'' jest wyrazem niebezpiecznym, bo wieloznacznym. Żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie może kwestionować np. faktu, że jeżeli państwo chce przeprowadzić elektryfikację kraju albo zbudować sieć szkół powszechnych, to oczywiście musi kierować się pewnym planem: brak jego oznaczałby chaos. Ale co innego plan w znaczeniu organizacyjno-koordynacyjnym, a co innego plan, polegający na tym, że — słowami p. Pawłowicza ,,państwo mówi każdemu w każdej dziedzinie produkcyjnej co ma robić co dzień i na każdym szczeblu''. Taki plan jest nonsensem biurokratycznym, wprawdzie wykonalnym, ale zgubnym. Oczywiście, i taka ,,planowość'' może po pewnym czasie nieco się udoskonalić : wyjść z fazy, w której się np. produkuje spodnie o nierównych nogawkach lub buty na jedną nogę, ale jest rzeczą notorycznie stwierdzoną, że zarówno na terenie wytwarzania dóbr spożycia jak i w dziedzinie produkcji dóbr wytwórczych, nawet po kilkudziesięciu latach gospodarstwa ,,planowego'', nie zostaje osiągnięty stan normalnego zaopatrywania życia gospodarczego w potrzebne dobra.

O ile chodzi o obecną Polskę to nęka ją szereg trudności, wynikających z tego, że Plan zawodzi w praktyce. Czynniki rządowe usiłują przerzucić odpowiedzialność na ludność. Świadczą o tym między innymi — jakże często używane pod rządami

wszechwładnego Planu — wyrazy: sabotaż, szaber, bumelanctwo, wygodnictwo, posiedzeniarstwo, kacykostwo, kumoterstwo, asekuranctwo, mętniactwo, szepciucha itp.

Skoro mowa o odwracalności przemian, jestem więc zdania, że w razie zmiany warunków politycznych, przede wszystkim należałoby zastąpić biurokratyczne z natury planowanie gospodarstwa — przez rozumne planowanie polityki gospodarczej. Polityka ta według mego rozumienia nie byłaby polityką którą radowałby się duch Adama Smitha; byłaby to prawdopodobnie polityka o większym lub mniejszym natężeniu pierwiastków kolektywistycznych, choć oczywiście, nie byłaby komunistyczna. Wzmożenie dyspozycji gospodarczej państwa w stosunku do roku 1939, na nie wiadomo jak długi okres czasu, zwłaszcza w dziedzinach mających związek z handlem zagranicznym, jest nie tylko w wypowiedziach socjalistów, ale i w opiniach niektórych konserwatywnych i liberalnych uczestników tej ankiety, uważana za przemianę nieodwracalną; cóż dopiero w rozumieniu pokoleń, wychowanych w atmosferze ideologii gospodarstwa komunistycznego, które będą rządziły przyszłą Polską (*).

(*) W pracy nadesłanej, niestety, już po zamknięciu ankiety, p. *Zdzisław Broncel* pisze o ewolucji myślowej społeczeństwa w kraju: Dawno już nie było takiej rozbieżności między jednym a drugim pokoleniem, jak obecnie. Wysuwanie szczegółowych wniosków powinno być poprzedzone drobiazgowym studium demograficznym, którego nie sposób w tej chwili podejmować. Wystarczy jednak przypomnieć oczywisty fakt starzenia się i wymierania części społeczeństwa, dobrze pamiętającej lata przedwojenne, a powiększania się grupy ludzi, otrzymujących wykształcenie, albo w pełni wchodzących w życie (wiek od 20 do 30 lat) już po wojnie. Kto dość szybko po wojnie osiągnął lat 30, ten — jeśli idzie o jego karierę osobistą, o rozwój jego indywidualności, musiał sobie wyraźnie powiedzieć: teraz albo nigdy. Tu może leży sekret szerokiej współpracy inteligencji z nowym ustrojem. Wybiegnijmy w przyszłość zaledwie o lat dziesięć, do roku 1965, a otrzymamy następującą tabelę, podkreślającą przesunięcia w czymś, co określiłbym jako „myślowy" skład społeczeństwa.

ROK	1939	1945	1955	1965
Wiek:	44	50	60	70
	34	40	50	60
	24	30	40	50
	14	20	30	40
	4	10	20	30
	—	0	10	20

Starczy szybkiego spojrzenia na to zestawienie aby sobie uświadomić, do kogo należy przyszłość i kto będzie stanowić najbardziej dynamiczną część społeczeństwa, gdyby wyraźne zmiany w sytuacji politycznej Polski miały nastąpić, powiedzmy, za lat dziesięć. Społeczeństwo roku 1965 składać się będzie z ludzi, urodzonych po roku 1915, z potężnym odsetkiem tych, którzy będąc urodzeni po roku 1925, nie przeszli już przez wpływ wykształcenia średniego w Polsce przedwojennej. Tak więc w bliskiej już przeszłości społeczeństwo polskie będzie się składać głównie z ludzi albo

IV

Gdy się czyta odpowiedzi na ankietę, jedna ich cecha wydać się musi uderzająca. Mam na myśli dążenie do praktycznego ustosunkowania się respondentów do poszczególnych przemian. Można powiedzieć, że na ogół nie żadna anty-doktryna i nie żaden hurra-negatywizm zabarwia te wywody. Jest to, moim zdaniem, zaleta tych opinii. Bo jakkolwiek negatywny jest nasz osąd polityczny dzisiejszego systemu rządów w kraju, nie powinno to uniemożliwiać nam pełnego zrozumienia istniejącej tam rzeczywistości — w interesie przyszłości. Nie ma zdrowego sensu ryczałtowy pogląd, że *wszystko,* co robią komuniści, jest złe *bo* to robią komuniści. Zwolennicy takiego poglądu przypominają trochę owego agitatora hitlerowskiego, który głosił: „Nasz naród niemiecki jest dumny i nie chce korzystać z wytworów żydowskiego ducha nawet wtedy, gdy to może przynieść korzyść''. W związku z tym jeden z jego słuchaczy zapytał: „Czy zasada ta obejmuje także środek przeciwko syfilisowi, znany pod nazwą Salwarsan 606, wynalazku Żyda Ehrlicha''?

Nie kierując się tedy przesadną dumą, należy stwierdzić, że pewne rzeczy, które zrobili komuniści, są dobre: przetworzenie Polski rolniczej w kraj przemysłowo-rolniczy i osiągnięcie bardzo poważnego potencjału przemysłowego, zlikwidowanie wielkiej prywatnej własności ziemskiej, umożliwienie zastępom robotników i chłopów lepszego startu życiowego niż miały przed wojną, strukturalne zlikwidowanie bezrobocia, „pokaźny wzrost liczby osób, które nabyły wykształcenie, kwalifikujące je do pracy umysłowej'' (Poniatowski), zdobycie pewnych rynków zbytu, których Polska nie miała przed wojną, częściowa poprawa struktury polskiego importu i eksportu.

Oczywiście i niestety tym zmianom dodatnim towarzyszą zmiany ujemne, niektóre kardynalnej wagi, a ponad wszystkim kompletne zniszczenie wolności narodu polskiego i przesunięcie dyspozycji politycznej poza naród. Co wynika z tego wszystkiego?

Po pierwsze to, że obowiązkiem emigracji, równie ważnym jak praca na rzecz niepodległości, jest pogłębianie zrozumienia rzeczywistości społeczno-gospodarczej w kraju, pamiętanie, iż rzeczywistość jest jedynym czynnikiem, który się liczy w polityce. To powinno wykluczać wsadzanie nosa w propagandystyczny piasek i powtarzanie w kółko, że wszystko jest złe. Żeby skutecznie zwalczać komunizm trzeba, obok siły militarnej, mieć lepszą od niego, nie za mało radykalną — dostatecznie wyrazistą ideologię społeczną, której towarzyszyć muszą rozumne zasady

---

wychowanych w nowym systemie szkolnym i wykształconych na nowych podręcznikach historii i literatury, albo też ukształtowanych pod wpływem zetknięcia się z hasłami komunizmu i z praktyką ustroju, opartego na rządach monopartyjnych i socjalizacji środków produkcji.

gospodarcze. Mam tu na myśli między innymi: 1) dążenie do utrzymania inicjatywy gospodarczej społeczeństwa na możliwie najwyższym poziomie, 2) upaństwawianie przemysłu tylko w tych wypadkach, gdy za tym przemawiają bądź bezsporne względy wyższej polityki państwowej, bądź też rzeczywiście praktyczne względy gospodarcze; upaństwawianie ze względów doktrynalnych jest rzeczą nie wytrzymującą krytyki zdrowego rozsądku, 3) należy stanowczo unikać monopoli gospodarczych zarówno państwowych jak i — jeszcze szkodliwszych — prywatnych, 4) własność przemysłowa winna być jak najbardziej zdemokratyzowana, 5) interwencjonizm państwa w sprawach gospodarczych umiarkowany, zamknięty w granicach praktycznego, zdrowego rozsądku. Wszystko to — na tle i w atmosferze pulsującej życiem wizji rozwoju gospodarczego i socjalnego oraz przy znacznie bardziej inteligentnym i dynamicznym kierownictwie niż przed wojną.

Po drugie, musimy starać się zrozumieć jak najdokładniej polską rewolucję poglądów, która jest takim samym faktem, jak sowiecki gwałt. Jeżeli jej nie zrozumiemy, to nigdy nie znajdziemy z nią wspólnego języka myślowego. Albowiem wspólny front przeciwko bezpiece, odbarwiony od szerokiego programu społeczno-gospodarczego, to stanowczo za mało.

Po trzecie, myśląc o przyszłości, nie uważajmy, że punktem wyjścia naszego rozumowania może być rok 1939. Tak nie jest: ten rok już nie wróci i w ogóle lata przyszłe w żadnej mierze nie będą powtórzeniem tamtych lat minionych. Mówienie o rolniku jako o „rdzeniu narodu polskiego", jak to uczyniło kilku respondentów, jest nieścisłe, gdyż nie odpowiada obecnemu stanowi rzeczy, w którym z równą a zapewne większą racją należałoby powiedzieć, że robotnik przemysłowy jest rdzeniem narodu. Podobnie, mówienie o doniosłej roli rzemiosła trąci myszką: raczej sądzić należy, iż rzemiosło jest w stadium końcowym i wszystko przemawia w tym kierunku, że rola jego, abstrahując od ustroju politycznego, będzie tym bardziej malała, im bardziej technika przemysłowa będzie szła naprzód. Wreszcie wywody dwóch uczestników ankiety na temat „twórczej roli wielkich gospodarstw i kultury ziemiańskiej" trzeba zaliczyć do tematyki historycznej: faktem jest bowiem, że w Polsce nie ma i nigdy nie będzie wielkiej prywatnej własności rolnej. Krótko mówiąc, punktem wyjścia takiego czy innego rozumowania polityczno-gospodarczego na przyszłość musi zawsze być to, co *jest*. Oto jeszcze jeden argument na rzecz tezy, że trzeba dobrze poznać rzeczywistość dzisiejszą.

Po czwarte, w trosce o zdobycie jasnego poglądu na rzeczy ważne nie dajmy się ogłupić infantylnemu sposobowi myślenia ideologów zwietrzałego paragrafu nieważkiej dziś konstytucji, którzy „ciągłość prawną państwa" windują na piedestał najważniejszej zasady polityki polskiej; nie ulegajmy też partyjnikom operującym równie zwietrzałymi programami. Produktem pierwszych jest Hanke, produktem drugich — Berg.

Po piąte, musimy stale pamiętać, że nawet w razie zmiany warunków politycznych w kraju, nie my nim będziemy rządzili. Będą nim rządzili ci, którzy dziś się uczą w komunistycznych szkołach. Dążenie do restauracji przedwojennego stanu rzeczy czy też dążenie do czystej „antytezy" wszystkich elementów charakterystyki dzisiejszego gospodarstwa polskiego nie jest więc rzeczą możliwą do zrealizowania po prostu ze względu na nastawienie przyszłych władców Polski niepodległej; a dodajmy, że idea restytucji stosunków przedwojennych nie wzbudziła też zapału w emigracyjnych uczestnikach ankiety. Można zatem powiedzieć, że dążenie do status quo byłoby politycznym nonsensem. Celem nie może być owa czysta „antyteza"; może i musi być jakaś „synteza". Tylko i właśnie w ramach rozsądnej syntezy ustrojowej można by połączyć mądrość produkcyjną i ekonomiczną kapitalizmu z tymi zawołaniami społecznymi okresu komunizmu, które są słuszne. Innymi słowy:

Gmach dzisiejszego gospodarstwa polskiego to nie jest sobór na Placu Saskim, który można rozebrać sposobem mechanicznym, od razu i w całości.

Pewne rzeczy z niego musiałyby zostać na stałe, inne czasowo, jeszcze inne tylko powoli mogłyby i powinny zostać usunięte albo zreformowane. Tylko pierwiastki przymusu, przenikające dziś całe życie gospodarcze, tylko totalizm polityczny, tylko osad rusyfikatorski powinny zostać wyczyszczone żelazną miotłą. Ale totalizmu może nawet burzyć nie będzie potrzeba, bo sam się w oka mgnieniu zapadnie w nicość pod wpływem wolności, o ile i gdy — wolność odżyje.

Wreszcie ostatnia uwaga. Żyjemy w czasach, w których nierzadko zachodzi dramatyczny konflikt pomiędzy myśleniem ekonomicznym i potrzebami polityki. Dla ekonomisty stwarzanie możliwie największego „bochenka chleba" jest rzeczą pierwszą, sposób jego dzielenia — drugą. Polityk zmuszony jest nieraz, w pewnym okresie czasu i w pewnych warunkach, odstępować od zasad czysto ekonomicznych w imię celów nadrzędnych choć wie, że gwałcenie praw ekonomicznych nie może trwać wiecznie. Gdyby jednak zawsze był tylko „czystym" ekonomistą, zapewne nie mógłby być realnym politykiem. Wydaje mi się, że świadomość tych prawd leży np. u podłoża polityki angielskich konserwatystów, którzy popierają *Welfare State* w zakresie, przekraczającym obiektywne możliwości Wielkiej Brytanii, świadomość ta ma też może pewien związek z „odchyleniem" od ekonomii, ujawnionym przez niektórych konserwatywnych i liberalnych uczestników tej ankiety.

Jaki jest bilans ankiety? Sądzę, że nie tylko stworzyła ona pewien przyczynek do obiektywnej oceny przemian społeczno-gospodarczych w Polsce, ale także udowodniła, że zarzucana emigracji polskiej „reakcyjność" jest podobnym wymysłem, co „pół-feudalność" jej ustroju przedwojennego.

V

Kończąc to sprawozdanie, chciałbym wyrazić trzy prośby. Pierwszą kieruję do Uczestników ankiety. Proszę ich o wybaczenie, że liczne nadesłane rękopisy nie zostały w ogóle wykorzystane i że wszystkie wykorzystane uległy daleko idącemu przeredagowaniu, a niektóre z nich — po prostu ,,masakrze''. Było to podyktowane koniecznością zsyntetyzowania ogromnego materiału.

Druga prośba : do ogółu Czytelników ,,Kultury''. Ankieta nasza nie powinna być zamknięciem sprawy zainteresowań poruszonymi problemami: raczej stać się powinna punktem wyjścia do szerokiej i pogłębionej dyskusji. Do wzięcia udziału w tej dyskusji zapraszamy Czytelników.

Trzecia prośba : do Redaktora ,,Kultury''. Cennym uzupełnieniem tej ankiety byłoby obiektywne i poważne studium porównawcze na temat produkcyjności przemysłu i rolnictwa oraz na temat stopy życiowej po obu stronach barykady ustrojowej. Rzucam myśl, aby ,,Kultura'' — Pismo Problemów — zainteresowała się tą sprawą.

Stanisław ZARZEWSKI

Refleksje o środowisku zamkniętym

Kilka lat temu w kawiarniach paryskich mówiono wiele o końcu przyjaźni między Jean-Paul Sartre'm i Albertem Camus to znaczy o ostrej wymianie listów pomiędzy nimi w miesięczniku ,,Temps Modernes''. Powodem do tej polemiki, jednej z najważniejszych we Francji w ubiegłym dziesięcioleciu, była książka Camusa ,,L'homme révolté''. Chodziło, krótko mówiąc, o filozofię historii, a ściślej o morderstwo jako środek kształtowania historii. Camus je potępiał (wyjątek robiąc dla nihilistów rosyjskich, którzy płacili swoim życiem) a więc występował przeciwko systemom opartym na terrorze. Sartre w tym czasie żeglował w całkiem przeciwnym kierunku. Dalszy ciąg tego sporu przybrał postać nieoczekiwaną. Istnieje operacja literacka która polega na wplataniu szczegółów z biografii żywych ludzi w powieść czy nowelę, żeby ich na odległość ugodzić. Można ją porównać do zabiegu stosowanego w średniowieczu: lepiono woskową lalkę, która symbolizowała osobę znienawidzoną i wierzono, że wbijając w nią szpilki czy zbliżając do niej płomień świecy spowoduje się chorobę względnie śmierć wroga. Przyjaciółka Sartre'a, Simone de Beauvoir, napisała, wydaną w roku ubiegłym, powieść ,,Les Mandarins'' w której swoją wściekłość polityczną wyładowała na lalce woskowej wyobrażającej Camusa. Dziennikarz Perron w tej książce waha się czy ogłosić dane o sowieckich obozach pracy przymusowej, w których istnienie dotychczas nie wierzył. Miotany sprzecznymi pragnieniami (i wpływami) decyduje się wreszcie na ten krok. Teza autorki jest następująca : żaden rozumny i uczciwy człowiek nie może życzyć zwycięstwa Ameryki, to jest kapitalizmu. Kto mówi głośno o obozach działa na szkodę komunizmu, to jest Związku Sowieckiego, musi więc być człowiekiem skażonym. Akt Perrona łączy się z jego upadkiem moralnym : złamał życie kobiecie, przyjaźni się z reakcjonistą Lambertem i zbie-

giem z Rosji (a więc, to jasne, zdrajcą) Skriassinem, zadaje się z aktorką która w czasie wojny była kochanką niemieckich oficerów i, żeby ją ratować przed więzieniem za kolaborację, popełnia krzywoprzysięstwo. Każdy z tych faktów, wzięty osobno, jest możliwy do usprawiedliwienia, ale razem składają się na pewną aurę, dają rysunek człowieka-szmaty.

Powieść Simone de Beauvoir została przyjęta z zadowoleniem przez literatów Partii Komunistycznej uważających Camusa za niebezpiecznego przeciwnika którego trudno zaatakować; natomiast wśród tych literatów jest wielu trzymanych w garści obietnicą milczenia o ich dawnych sprawkach. Powieść, w której po szczegółach można rozpoznać, że Perron to Camus (np. dziennik ,,Espoir'' to założony przez Camusa jako organ Ruchu Oporu ,,Combat''), że jego antagonista Dubreuil to Sartre, jest jedynym środkiem oczernienia. W najgorszym razie coś z tego zostaje.

Simone de Beauvoir jest bardzo złą powieściopisarką. Jej zamiar obrócił się przeciwko niej. Publiczność literacka w Paryżu jest wybredna i dość szybko orientuje się w skali wartości. Ci co znają Camusa zastanawiali się skąd w babie tyle jadu i orzekli że rzecz jest poniżej poziomu, na którym warto sięgać po pióro. Co gorsza, zaczęła się rozpowszechniać wersja według której właśnie przykre zdarzenia z życia Sartre'a zostały przez autorkę przylepione do życia Perrona, rzekomo Camusa. Wprawdzie Simone de Beauvoir otrzymała nagrodę Goncourtów, ale nagroda ta straciła na znaczeniu od czasu kiedy prawie z reguły przyznaje się ją słabym książkom (Co mówi Paryż literacki: nagroda była zapłatą pro-komunistom za zgodę na wprowadzenie Jean Giono do ich grona w Akademii Goncourtów). Notowania nieuchwytnej giełdy literackiej są czasem niesprawiedliwe. Gwałtowny spadek notowań Simone de Beauvoir jest jednak słuszną karą za nikłość myślową i obrzydliwość artystyczną jej powieści.

Szczególny rodzaj literatury ,,z kluczem'' jest możliwy do pomyślenia tylko w środowiskach żyjących plotką i wewnętrzną grą wtajemniczonych. Dawno już stwierdzono, że francuskie życie literackie podlega tym samym prawom co za rządów Ludwików, że więc dwór przeżył upadek monarchii. Literatura poza Paryżem niemal nie istnieje, a w samym Paryżu miejscem wykuwania sław jest ograniczona ilość domów wydawniczych, redakcji, kawiarń i salonów. Albo się należy do dworu, albo się nie należy. Znawcy zapewniają że nie ma żadnych kryteriów wyraźnych; czy ktoś należy czy nie, poznaje się po zapachu dokoła nazwiska. Wszystko to jest egzotyczne w porównaniu z krajami bez centralizacji, gdzie stolica, a raczej ,,dwór'' w stolicy nie wywiera niemal żadnego wpływu i gdzie pisarze mieszkają o sto czy dwieście kilometrów jeden od drugiego. We Francji jednak można opisać ,,Mandarynów'' w ich codzienności licząc na zainteresowanie różnych prowincjonalnych Rastignaców i w ogóle tych co zerkają ku dworowi ze swoich

nizin. Zresztą obraz jaki znajdą u Simone de Beauvoir jest najzupełniej fałszywy. Gdyby „Mandaryni" pochłaniali takie ilości alkoholu jak w jej powieści, nie byliby zdolni do żadnej pracy. Nie włóczą się też po nocnych lokalach. Przebywając, bądź co bądź, w środowisku literackim, nie byłem od pięciu lat w żadnej „boîte de nuit". To są rozrywki dla turystów. Jeżeli większa część akcji odbywa się w łóżku, trzeba to przypisać i bardzo ograniczonemu zakresowi kontaktów z rzeczywistością u autorki (cóż ta intelektualna burżuazja wie o fabryce, o kopalni, o pracy w winnicach, o przemianach we francuskim rolnictwie?) i jej zainteresowaniom, częstym u kobiet w wieku krytycznym — a także, być może, wiedzy zawodowej o tej dozie sexu która zapewnia książkom poczytność. Razem więc „Mandaryni dla ubogich", z obciętą głową. Owszem, można sobie wyobrazić książkę o Boyu-Żeleńskim, Tuwimie itd. napisaną przez kobietę która by ich skróciła o myśl i o poezję. Znamy przykłady: książka Marii Kasprowiczowej o Kasprowiczu, książka Jessie Conrad o Conradzie.

W Polsce dyskutowano o Simone de Beauvoir z zabawną powagą, jak o tym świadczą recenzje w warszawskich pismach. Nieszczęście chciwych na nowinki jest stałe: zza granicy dostają zawsze garnitur trzeciorzędny. Prawdopodobnie ani „L'homme révolté" Camusa, ani zeszyty „Temps Modernes" z ciekawą polemiką między dwoma antagonistami, ani książka „Les aventures de la dialectique" Merleau-Ponty, zawierająca krytykę postawy Sartre'a, nie dotarły do Warszawy.

◆

Dzieło jakie czeka na opracowanie, to historia środowiska literacko-artystycznego w Polsce na przestrzeni wieków, a przynajmniej jakichś stu pięćdziesięciu lat. Zastanawiające jest podobieństwo do Francji przez centralizację i „salon" którego funkcje przejęła kawiarnia. Centralizacja została rozbita około roku 1830. I rola Wilna i później Wielka Emigracja i następnie Kraków jako ośrodek nieco bardziej wolny zmniejszały znaczenie Warszawy, która jednak powoli zaczęła odzyskiwać swój prestiż. W latach 1918-1939 wyrocznie stylu, giełdy walorów, mieściły się w „Ziemiańskiej", „Ipsie" czy „Simie". Śmiesznie pomyśleć jak szczupła jest zawsze ilość tych co „tworzą kulturę". Najpierw wszystko rozgrywa się pomiędzy Stasiem i Jasiem, upływa czas i wreszcie uczniowie w szkołach dowiadują się (jeżeli się dowiadują), że np. postacie „Wesela" naprawdę piły z Wyspiańskim wódkę. „Cóż chcesz — powiedział mi ktoś w roku 1949 — wystarczyłoby trzech wagonów żeby kulturę polską zlikwidować". Przesadzał, ale nie tak bardzo. Po tej wojnie przez krótki czas kłębienie się artystyczne odbywało się w Krakowie, ale już w 1945 padło hasło: „Kto późno do Łodzi, sam sobie szkodzi". Po Łodzi przyszła Warszawa która działa jak pompa ssąca, ogałacając resztę kraju z ludzi najbardziej energicznych i ambitnych. Trzeba heroizmu żeby zostać na

prowincji: system jest ściśle hierarchiczny i centralistyczny, jeżeli się jest daleko od ołtarza, nic się nie da ,,załatwić''. To ściśnięcie w jednym mieście a raczej w kilku domach (Związek Literatów etc.) i kilku kawiarniach ma olbrzymie skutki, bo ,,zarażając się'' wzajemnie, wzajemnie na siebie oddziaływując, członkowie takiej grupy społecznej wytwarzają pewien rytuał umownych znaków, aluzji, niemal telepatii i, co więcej, budują stopniowo, nie wiedząc o tym, cały gmach norm postępowania które biorą za oczywiste.

Nie lubiłem przedwojennego warszawskiego ,,milieu'' i były po temu przyczyny. Miałem sporo snobizmu jak zwykle w młodym wieku, ale nie czułem się tam dobrze. Przybywałem spoza kredowego koła i magia działała na mnie tylko częściowo. Potrafiłbym dzisiaj przeprowadzić analizę tej mojej niechęci. Decydująca była chyba różnica rytmu mojej wileńskiej prowincji i rytmu ,,Królestwa Polskiego'', różnica historycznego tempa. Chcę przez to wyrazić że jako ,,boćwina z Mysichkiszek'', jako ,,dzikus'', widziałem ich maniery, ich zwyczaje społecznie zdeterminowane, których oni byli nieświadomi, bo nie widzi się samego siebie. To kryła moja nieśmiałość, czy wynikająca z nieśmiałości arogancja. Ale czym było ,,milieu'' przed wojną najlepiej przedstawia Gombrowicz i nie chcę z nim konkurować.

Jeżeli tamto środowisko gniotło swoją nieprzejrzystością i jakąś nierealnością, to jego nowe wcielenie, począwszy od roku 1945 budziło we mnie zupełną grozę. Gąszcz psychiczny może osiągnąć takie napięcie, że chce się wyć. Wczepianie się człowieka w człowieka, czytanie jego myśli, wałkowanie każdej opinii, która mu się wymknęła, prowokacja, śledzenie wyrazu ust: należy tego doświadczyć, żeby wiedzieć że nie mówię o naciskach policyjnych tylko o torturze jaką jest nagłe zmienienie się w postać z powieści Dostojewskiego do n-tej potęgi. Ale ci ludzie — a wśród nich wielu którym zazdrościłem przed wojną ich zgody na świat i ich pewności siebie — chcieli żyć i zaczynali tarło żeby idąc ławą ocaleć od wstrętu do siebie samych, który mógłby ich zabić. Musieli znaleźć aprobatę w oczach innego takiego jak oni, stworzyć nowe normy etyczne, nowe zakazy — z całkowitym odwróceniem dotychczasowych pojęć. Musili otoczyć się rzeczywistością autonomiczną, rodzajem hermetycznego klosza, tak, żeby ich zasady nie były konfrontowane z żadnym zewnątrz.

Biografie podrobione; upadki nagradzane laurem jako zasługi; zwycięstwa wewnętrzne uznane za hańbiące upadki; najniezwyklejsze, straszliwe, wstrząsające dzieje kraju i poszczególnych jednostek wtłoczone w konwencję przepisowych terminów; epos który jest w powietrzu, ale który nie może się wcielić w dzieło i który się za to mści. W oczach tych ludzi dziesięć już lat jest strach. Drżą, żeby ktoś nie wymówił *nieprzyzwoitego słowa*. Bo jeżeli ktoś wymówi to słowo, krzykną ,,dzyń'' i padną, jak wariaci, co uważali, że są ze szkła. Żeby

nikt się nie ośmielił, zakazom nadają brzmienie zawodowych przepisów: nie rób, bo to nietakt estetyczny, bo to brak mądrości. Powściągają tak siebie nawzajem, ale czując niejasno że prawdziwa działalność pisarza i artysty zaczyna się tam, gdzie mądrość ostrzega: stop.

Jakież jest nieprzyzwoite słowo? Jestem taktowny. Wyrażę to oględnie. Wiedzą że nad nimi przewala się historyczny potok, że nie mają siły, żeby zaakcentować swoje istnienie, i że nimi się gardzi. Stąd powstaje ta ich rzadko gdzie indziej spotykana intensywność psychiczna, to wgryzanie się w drugiego, żeby przekonać siebie nawzajem że są, że ich czyny rodzą się z nich samych. Dlatego też w porównaniu z tym tropikiem ,,dwór'' paryski jest sielanką, bo nie tkwi pod kloszem a każdy może tam się pojawić i stamtąd odejść kiedy ma ochotę.

Na pewno życzę dobrze ,,odwilży''. Pozwoliła ona już na wypowiedzenie pewnej ilości stwierdzeń ważnych, może truizmów, ale w tamtym klimacie niemal rewelacji — a najprostsza prawda wygarnięta z przezwyciężeniem oporu zmienia się w coś mocnego. Jak dotychczas jednak odwilż jest przykrym widowiskiem. Był sobie raz młody chłopiec który mieszkał sam w niedostępnych górach. Któregoś wieczoru zjawiła się w jego chacie ohydna starucha i zaczęła się do niego zalecać. Przerażony, wlazł w komin, żeby jej nie dotknąć. Kiedy jednak spojrzał w dół, zobaczył zamiast niej dziewczynę cudownej piękności. Wezwać trzeba byłoby wielu poetów żeby opiewali jej oczy, jej usta i pierwszy pocałunek tych dwojga. Powiódł ją do swego ubogiego posłania i już obnażyła się jej biała pierś, kiedy zbladł ze wstrętu: w ramionach trzymał ohydną staruchę.

Bajkę sam ułożyłem. Odpowiada ona, sądzę sytuacji. Naturalnym wyładowaniem intelektu jest myśl filozoficzna i polityczna szukająca przyczyn zła, żeby je usunąć. Co się dzieje jeżeli takie wyładowanie jest niemożliwe?

◆

Mało myślałem ostatnio o tych zagadnieniach, a raczej były one we mnie teoretycznie, ale obraz tej warszawskiej gombrowiczowskiej kupy już się we mnie zatarł. Przeczytałem jednak w ,,Nowej Kulturze'' (z 18 września) opowiadanie Kazimierza Brandysa. Przeczytałem, odłożyłem, wyszedłem do ogrodu w małym francuskim miasteczku — i doznałem chwili dzikiego szczęścia. Być Brandysem ! Ależ oni siedzą jeden na drugim, wiedzą wszystko jeden o drugim — i patrzą sobie w oczy, co jest niemożliwe do wyobrażenia. Sobie nawzajem udzielają gwarancji, istnieje tam na pewno szmerek i małe brawko.

Jest prawdopodobne, że pomysł Brandysowi dała lektura powieści Simone de Beauvoir. Opowiadanie ,,Nim będzie zapomniany'' jest operacją ,,lalka woskowa'', czy też generalnym ,,a kysz ! a kysz !'' Jest to bitwa z upiorem który męczy po nocach siadając na pierś, tak że rano zbierają się przy swojej

kawie szarzy i wypluci. I któżby podejrzewał, że bezustanku będą obcować z duchem, że nie zapomną i że będą musieli uciekać się do egzorcyzmów czy wbijania szpilek w wosk, do którego, jak uczą podręczniki magii, trzeba przypiąć choćby nitkę z ubrania żywej osoby? Któżby podejrzewał, że ich pustka jest aż tak wielka? Że muszą żywić się plotką którą sami wylęgają? Jako odsłonięcie ,,gąszczu'' jest to opowiadanie całkiem rewelacyjne.

Jego treścią jest to *co się mówi* w Warszawie po ucieczce wybitnego malarza, laureata wielu państwowych nagród, Weymonta. Simone de Beauvoir miała za zadanie dowieść że decyzja ogłoszenia danych o sowieckich obozach pracy przymusowej została poprzedzona przez upadek moralny dziennikarza Perrona i że pociągnęła za sobą dalszy jego rozkład. Brandys ma za zadanie dowieść, że Weymont mógł zdobyć się na ucieczkę tylko dlatego że zawsze był dotknięty gangreną i że potwierdził czynami zagranicą swoją ,,esencję'' plugawca. Opowiadanie ma ,,klucz'': w środowisku łatwo się odgadnie, że Weymont reprezentuje częściowo Miłosza, częściowo Panufnika, a raczej przystroi się on dla czytelników w barwę jednego z tych dwuch, zależnie od prywatnych zawiści i niechęci. Natomiast niewtajemniczeni otrzymają portret kanalii i ostrzeżenie: tylko taki człowiek *od nas* ucieka.

Ale któż to są ,,my'' o których ciągle się wspomina? Czy ,,środowisko''? Czy komuniści? Czy ludność Polski? Na próżno domagalibyśmy się odpowiedzi. Od dziesięciu lat zacieranie linii, wzbijanie kurzu, tak żeby niczego nie dało się rozróżnić, jest głównym zajęciem rządzących. Przed rozmaite fronty narodowe, akcje pokoju, ligi i związki ,,z transmisją'' tworzy się atmosferę w której danie po pysku ubekowi urasta do zbrodni przeciwko świętościom na Wawelu. Maskarada identyfikacji, spryt fachowców rozbełtujących uczucia nacjonalistyczne, piszących Naród z wielkiej litery i ryczących ze śmiechu, kiedy poeta w swoim wierszu dwadzieścia razy powtarza ,,Wisła, Wisła'' a wszyscy płaczą jak bobry. Taki mniej więcej jest sens tego ,,my''. Pluralis majestaticus.

Przed wojną ,,środowisko'' wspierało się o mieszczaństwo warszawskie i łódzkie, coniektórzy dygnitarze sanacji dostępowali łaski wmieszania się w jego tłumek. Dzisiaj jest przetkane członkami Partii, urzędnikami ministerstw. Poszło do góry, bo znikli bogacze, właściciele domów, fabryk i sklepów. Jak niektóre warszawskie kawiarnie zachowało jednak stylik specyficzny, odziedziczony. Zresztą kręci się w nim sporo figur stanowiących ,,arkę przymierza między dawnymi i młodszymi laty''.

,,Jednego z tych dni — czytamy u Brandysa — zatrzymała mnie na Nowym Świecie spocona Lola Berg. ,,Mam 60 lat — krzyknęła — i myślałam, że się już nie zdziwię! Ale to przechodzi ludzkie wyobrażenie! Dlaczego mnie tak męczycie! Czy ty rozumiesz, że on nas wszystkich obdarł ze skóry? Moje biedne serce!''

Czyż nie ma ciągłości? Czyż Lola Berg to nie Hela Bertz z „Pożegnania jesieni" Witkacego, młoda wówczas i opisana z przydatkiem zwykłego Witkacemu demonizmu? I profesor Olborski czyż nie był popularny na balach architektury? (mniejsza jak się nazywał naprawdę). Występuje też nieboszczka Zofia Nałkowska której Brandys nie uważał za stosowne zostawić w spokoju. Czyli grupa która brnęła razem przez ogień i wodę, razem przechodząc trudną (ulubione dziś słowo w Polsce) ewolucję. Przestępstwo Weymont popełnił przede wszystkim wobec tej grupy.

Żeby czytelniczki odniosły się do Weymonta z należytym obrzydzeniem, zakochana w nim żona która dla niego wyrzekła się aktorskiej kariery (dokładnie jak przyjaciółka Perrona u Simone de Beauvoir) zostaje w kraju. Weymont wyjeżdża na kongres historii sztuki do Wiednia i tam zrywa, bo tymczasem bogata Argentynka „uwiła mu gniazdko". To już uspasabia nas do niego wrogo. Ten występek jednak i inne podłostki są niczym w porównaniu z ohydą jaką popełnił już zagranicą. Mianowicie napisał książkę. Przeciwko ustrojowi, a w szczególności przeciwko „środowisku". Ładnych rzeczy się dowiaduję jako autor „Zniewolonego Umysłu":

„Rozdęliśmy go ponad naturalną wielkość. Pęczniał jak balon; nadmuchiwaliśmy go własnymi ustami. Kim byłby bez nas? Anonimowym uchodźcą, ryzykantem, szukającym lepszych przygód niż budowanie socjalizmu. Byli tacy. Ale on nie chciał ryzykować, bał się pozostać bezimiennym. Dlatego wziął od nas przed odlotem wszystko, co potrafił udźwignąć. Nie był zwyczajnym dezerterem — był dezerterem z szyframi. A przecież on w głębi duszy wie, że jest to jeszcze jedna z jego mistyfikacji. Bo nikt inny, tylko my umiemy odczytywać owe szyfry, pogmatwane znaki naszych przeżyć, które w cudzych ustach natychmiast zmieniają się w fałsz".

Weymont wymówił *nieprzyzwoite słowo*. To, co jest możliwe do zniesienia dopóki wszyscy porozumiewają się ze sobą na migi, dopóki uczuciowa mgiełka, gwarantowana przez wspólny lęk chroni od niespodzianek, on to zobiektywizował: pokazał ich nie takimi jakimi są w lustrze przez siebie skonstruowanym, ale jakimi ich widzą i „doły" i obcy.

Trzeba przypomnieć, że wiara w szczególny rejestr przeżyć zbiorowych które są *nie do zakomunikowania* ma w Polsce stare tradycje. Literatura polska jest nieznana zagranicą wcale nie z powodu jakiegoś spisku przeciwko mniejszym krajom, ale dlatego że zadawalała się i zadawala się aluzją. Jest łatwiej nawiązać łączność z czytelnikiem jeżeli na wzmiankę o Wiśle, roku 1863 czy Majdanku już wibruje, a trudniej kiedy wyłącznie środkami pisarskimi, bez tego wsparcia, musi się doprowadzić go do stanu wibracji. Jest to jednak chyba kwestia o wiele głębsza niż samego rzemiosła. Skłonność do zamykania się w fikcyjnych, nieodpowiadających rzeczywistości wyobrażeniach o sobie samych, jest niemal rysem narodowego charakteru. Można przypuścić, że książka, która by przedstawiła Polskę

przedwojenną „w jej jestestwie" to znaczy nie od strony dumy z C.O.P.'u, ale w skali porównawczej z resztą Europy zostałaby oskarżona o używanie argumentów „które w cudzych ustach natychmiast zmieniają się w fałsz". Z tego gustu do samodurstwa korzystają dzisiaj obcy, między sobą tylko mówiąc o polskim orzełku: „Kurica nie ptica, Polsza nie zagranica". Korzysta też „środowisko" ze swoim bezustannym „sza! sza!" i niewielu ludzi poza nim zdaje sobie sprawę do jakiej perfekcji doprowadziło ono odruchy samo-chroniącej ślepoty. Przepełnionych więzień naprawdę nie dostrzega. Wracałem raz o czwartej rano Alejami Ujazdowskimi ze „środowiskowej" zabawy i moi towarzysze nie zauważali przelatujących Placem Trzech Krzyży jeepów z konwojentami w grubych kożuchach i aresztowanymi w mizernych marynarkach. Ja natomiast byłem zmuszony myśleć i o sobie i moim towarzystwie jako o zwyczajnych łajdakach. To natomiast, co się odbywa na wschód od Bugu, aż po Ural i Kamczatkę, jest obłożone kompletnym tabu i wielu elegantów których życie upływa pomiędzy jakimś instytutem, kawiarnią i domem wydawniczym, naprawdę nie wie nic o Rosji, bo na każdą o niej wzmiankę obwisają na swoich krzesłach i machają błagalnie rękami. Według relacji lekarza z Berlina Wschodniego, Scholmera, który spędził ponad trzy lata w Workucie i był tam w chwili śmierci Stalina, intelektualiści sowieccy tam zamknięci, doskonale zorganizowani i mający łączność z kolegami z innych lagrów, obliczali ilość więźniów w Związku na 15 milionów, w tym 300 tysięcy ludzi z wyższym wykształceniem. „Nowe" w Rosji po tej wojnie to ruchy konspiracyjne i spiski młodzieży, rozwój literatury i politycznej dyskusji w obozach, wreszcie strajki — do pertraktacji z więźniami Workuty musiała przyjechać delegacja aż z Moskwy i aż z prokuratorem Rudenko na czele. Na tym tle obrzędy Brandysa i spółki ukazują się we właściwych proporcjach. Nic dziwnego że książka Weymonta była dla nich ciosem straszliwym, po którym, jak świadczy opowiadanie „Nim będzie zapomniany", nie mogą się podźwignąć.

Ale co im wygarnął Weymont?

„Treść tej książki nie odbiegała daleko od poglądów wypowiadanych przez Radwana, czy myśli nie wypowiadanych przez innych. A jednak brzmiała podle. Podłość jej tkwiła w miejscu i w adresie; w tym skąd i przeciw komu przemawiała. Przemawiając z cudzego miejsca przeciw rzeczy własnej, pozbawiła się zasadniczych racji i praw, które zdobywa się w uczciwej walce".

Komizm tego ustępu jest jednak nadmierny. Sytuacja z bajki Ezopa. Któż to, ach któż tę uczciwą walkę uniemożliwił? I czy ci, co temu przyklaskiwali, złożyli przez to dowód że troszczą się choć trochę o rzecz własną? Ta „rzecz własna" i ta „uczciwa walka" stanowią tylko drobną część rodzynków szlachetności, jakimi naszpikował swój utwór Brandys. Jest to dziełko odwilżowe w formie, stalinowskie w treści i do-

radzić można jego lekturę wszystkim tym zagranicą, którzy zapominają jak wielkim losem wygranym na loterii jest móc tylko od czasu do czasu zapoznawać się z owocami „double-think" i „double-talk".

Och, nawet znajdujemy wyznania o okresie sprzed roku 1954:

„Zbrodniczy fałszerz rewolucji siał między nami strach. Znaczenie najprostszych słów zmieniało się wówczas zależnie od tego, kto je wypowiadał i do kogo je zwracał".

I, szczególne zaślepienie: osiągnęli już w „środowisku" takie stadium, że potrafią obok siebie drukować zdania które obalają się nawzajem. Gdyż, jeżeli zmiana sensu słów zależnie od tego kto je wypowiadał charakteryzowała tamten etap, to poprzedni ustęp o Weymoncie jest według najlepszych tradycji.

„Przez długie lata — czytamy u Brandysa — upewnialiśmy się, że istnieje nad nami potężny wiadukt *wyższych konieczności* i liczne tablice ostrzegawcze wzywały nas by schylać pod nim głowę. Czy niektórzy nie pochylili głowy zbyt nisko?"

Owszem. Ale gramatyka zna czas teraźniejszy i nie ma powodu zawsze posługiwać się przeszłym.

Jest zdanie Norwida: „Czy śpiącego można przebudzić *grzecznie?*" Jest wiersz Puszkina o Mickiewiczu oskarżający go, że po wyjeździe na Zachód „zaprawił swoje wiersze jadem ku uciesze wrzaskliwej gawiedzi". Jest też sąd Mickiewicza o tych, co kąsają rękę która targa ich obrożę. Jeżeli ten diabelski Weymont swoją książką wywołał w Warszawie aż taki zamęt — to dobrze zrobił.



Nie mogę powiedzieć, żeby operacja „lalka woskowa" mnie szczególnie gniewała. Jest ona interesująca jako doświadczenie. Dobrze tylko byłoby wiedzieć, do jakiego stopnia posunięta jest łatwowierność czytelnika w Polsce. Tak np. kilka miesięcy temu wymieniono moje nazwisko w procesie szpiegów w Warszawie jako tego, który udzielał (wespół, zgadnijcie z kim: byłym wojewodą Grażyńskim) szpiegom instrukcji. Dziwiłem się, że nie znalazłem tego szczegółu w opowiadaniu Brandysa — dobrze by pasował do całości. Co do doświadczenia: jest to jak być oskarżonym w jednym ze znanych tamtejszych procesów i móc równocześnie patrzeć na to bezinteresownie, na zimno. Odsłania się cały mechanizm, który jest identyczny u takiego literata jak Brandys i u urzędnika policji politycznej (ten bliski związek policji z literaturą jest czymś niemal żenującym przez swoją jawność). Można by tu było wyliczyć szereg założeń i właściwie nawet napisać coś w rodzaju pod-

ręcznika. Pierwszym założeniem jest że zło musi być monumentalne. Poświęca się przy tym wiele dla tej monumentalności, na przykład prawdopodobieństwo. Możliwe jest kumulowanie właściwości trzech czy czterech osób żeby stworzyć posąg jednolicie czarny. Wydaje mi się jednak, że dane są zbierane starannie i fakty następnie poddaje się operacji. Tak więc jeżeli w jakimś sprawozdaniu o czynach występnych czytamy, że ten i ten był 15 sierpnia o piątej po południu w kawiarni i tam spotkał się z agentem obcego wywiadu — to rzeczywiście był w kawiarni dokładnie o tej godzinie, ale żeby spotkać się tam z narzeczoną. Tak przynajmniej mogę wnioskować z opowieści o tym Weymoncie. Obcinając początek czy środek jakiegoś wydarzenia też da się wiele osiągnąć. Stosuje się również metodę zlepiania faktów które same w sobie są niewinne, ale które dają razem obraz demoniczny. Osobnym chwytem, bardzo skutecznym, jest operowanie sugestią : przez specjalny ton uczuciowy zdań sąsiadujących można nawet zdaniu : ,,on poszedł do Łazienek'' nadać pożądany odcień grozy. Wszystko to są rzeczy tylko zabawne, jeżeli się nie siedzi w celi. Człowiek w celi jest ugodzony w najgłębszym swoim ja — bo izolacja rozwija w nim taśmę minionego czasu a na tej taśmie dobro i zło nigdy nie ukazują się oddzielnie. Nożyce sędziów śledczych preparują taśmę, tak żeby sam oskarżony uwierzył, że jego upadek polityczny zaczął się w piętnastym roku życia. Jest rok 1955, rok ,,odprężenia'' i opowiadanie Brandysa całkowicie zaprzecza jakimś bardziej optymistycznym prognostykom co do większej publicznej kontroli. Mania dzielenia ludzi na czarne i białe charaktery jest tylko refleksem ducha systemu i jego niezawodną ,,differentia specifica''.



Nigdy nie należy twierdzić, że to co małe jest bez znaczenia dla przeobrażeń świata poddanego ,,historycznemu przyśpieszeniu''. Wiele spraw zaczyna się od prostych słów : ,,tak nie powinno być'', nie połączonych z żadną nadzieją na dobrotliwość możnych tego globu. Nie należy też nigdy być zbyt pewnym, że grając na zniżkę wartości, bądź co bądź, pożytecznych — jak to zdarzyło się Brandysowi i wielu jego towarzyszom — zapewnia się sobie triumf. Pisząc ,,Zniewolony Umysł'' w roku 1951 nie mogłem przewidzieć, że w kilka lat później pojawi się termin ,,beriowszczyzna'' (jak niegdyś był termin ,,jeżowszczyzna''), że nawróceni przemocą na teorie Łysienki będą bici za to że się nawrócili, że Picassa będzie się stawiać za wzór malarzom albo że Einsteinowi złoży się hołd pokaźnie spóźniony. ,,Przyśpieszenie historyczne'' spełniło część postulatów rozsądku, stąd może powstać niepokój, czy inne, trudniejsze do spełnienia postulaty zasługują tylko na pogardę. Tym też być

może tłumaczą się furie rozpętane przez jedną książkę, na rozprawianie się z którą (bo do tego rzecz się sprowadza) poświęca się aż tyle bitych stron „Nowej Kultury".

Opowiadanie Brandysa jest o tyle ważne, że ukazuje się ono w porze bicia się w piersi, a raczej w porze, kiedy cała sztuka polega na takim biciu się w piersi, które nie byłoby biciem się w piersi. Stąd szczególna potrzeba zohydzenia książki która wyprzedziła o kilka lat „odwilż", a raczej wyprzedziła tych, co traktują „odwilż" szczerze. Zawiera ona bowiem krytykę stalinizmu, podczas kiedy przeprowadza się w Warszawie pseudo-krytykę podając ją za krytykę i konfrontacja z oświetleniem niezależnym natychmiast zbyt zręcznych demaskuje.

Warto zastanowić się nad książką wymierzoną w „środowisko" — i mniejsza z tym czy to mój „Zniewolony Umysł", czy utwór jakiegoś fantastycznego Weymonta. Jeżeli „środowisko" jest wzięte w kleszcze, jeżeli decyzje zapadają na szczytach dla pisarzy i artystów niedostępnych, jeżeli mogą oni jedynie osładzać sobie życie zapewniając się nawzajem, że ich działalność ma źródło w ich własnej woli — to cios przychodzący z zewnątrz niepotrzebnie ich tylko rani i rozjątrza.

Tak jednak nie jest, a dlatego, że istnieje upór człowieka, który w najtrudniejszych warunkach dąży, zmaga się z oporem i stara się realizować według swego najlepszego rozumienia. Literatura polska, muzyka, plastyka w nielicznych dziełach nadal trwają, rozwijają się i kontynuują to, co zostało dawniej osiągnięte. Są to jednak wysiłki jednostek zachowujących trzeźwość sądu. Nacisk zbiorowej „ewolucji" i łże-przełomów zmierzał do odebrania im tej trzeźwości sądu i zmuszał ich do wyścigów w mocno poniżającej pozycji. „Środowisko" z jego podziwem dla tych którym „pułap urósł" oplatało ich coraz bardziej. Jeżeli książka zza granicy osłabia tę grupę, ukazując jej samej jej niedomówienia które zmieniały się stopniowo w normalność, to wzmacnia ludzi przez nią schwytanych. Włącza się w fermenty, te na przykład które z chwilą odwilży były gotowe do wybuchu. I, być może, przyczynia się do otrzeźwienia niejednego, bo na histeryczny trans najlepszym środkiem bywa siarczysty policzek.

Obecna liberalizacja jest inteligentnym posunięciem taktycznym. Jednak wynik bitwy nie zawsze zależy od planów generalnego sztabu. Jest w Polsce tyle sił, tyle talentów i tyle żywotnej myśli, że, maluczko, a sztab traci panowanie nad ruchem któremu popuścił. Żeby to rozumieć, wystarczy rozumieć, że czas społeczeństw nie stoi w miejscu, że każde zjawisko, każdy artykuł, wiersz, obraz, rozpętują reakcje łańcuchowe. Stąd poszukiwanie środków i ludzi, którzy by ten proces mogli hamować.

Osobistością, zasługującą na uwagę w opowiadaniu Brandysa jest stary architekt Olborski (a rozpatrujmy go bez bzdurnej historyjki rodzinnej). Przeciwstawia się go Weymontowi. Olborski przez szereg lat był tępiony i odsuwany, ale nie za-

chował urazy. Weymont „przeraził się nas i naszej mordęgi". „Widział, że idziemy po najcięższej ścieżce, że się z niej obsuwamy — jemu potrzebny był asfalt" (Double-think: najcięższa ścieżka to nagrody państwowe za wyrzeczenie się własnego sądu i sesje w „Ali-Babie"; asfalt — to życie w krajach gdzie artysta i pisarz jest zostawiony samemu sobie. Obliczone na tęsknotę mas do szczęśliwego Zachodu). Olborski natomiast:

„Posądzać Olborskiego o jakieś ukryte podszewki, nie, to już nie ślepota, to prawie podłość. Czy nie rozumiecie, że on niczego nie musi ukrywać, ponieważ niemal wszystko z siebie oddał nam na własność?"

I Olborski wyznaje:

„Skrzywdzono mnie ponad zasługi. Podejrzewam jednak, że nie zdajemy sobie sprawy, jak dalece — mimo naszej obolałości — zostaliśmy wchłonięci w problem. Poza jego kręgiem odczuwamy znudzoną wściekłość. Jesteśmy nałogowcami".

Olborski słusznie został wysunięty jako bohater nowych czasów. Jest on człowiekiem ogólno-frontowo-narodowym i „nam", „my" zyskuje w jego umyśle pożądaną mglistość. Wolno wnioskować, że cenny jest przede wszystkim dzięki swemu opóźnieniu politycznemu. Ci co zostali znacznie od niego wcześniej „wchłonięci w problem" i dawno doznali emocji które dopiero odkrywa, miotają się jak szaleni, bo zrozumieli, że trzeba raczej wchłonąć problem, niż być wchłoniętym. Prawdopodobnie uważają, że powinni wszystko przemyśleć od podstaw. Odwilż z Olborskim jest bezpieczna. Z tego co o nim opowiada Brandys widać że entuzjazm pracy nie idzie u niego w parze z żadną skłonnością do pytań zasadniczych. Haussa na ludzi tego typu świadczy o dążności do poskromienia złych geniuszów wyskakujących z odwilży (to jest różnych młodych traktujących myśl na serio) poprzez wpływ „łagodnie-kulturalnych" i poprzez nasiloną akcję unifikująco-patriotyczną.

Niezwykłe zresztą są dzieje patriotyzmu. W ciągu dziesięciu lat dokonano na tym polu znacznych postępów. Z początku Rejtan przebywał na emigracji. Ostatnio jednak kilku pisarzom spoza granic Polski przypadła funkcja ironistów i „miazmatów" natrząsających się z nieco zbyt swojskiego bla-bla (które jest głębią tylko lokalną, ale nie dla ludzi mieszkających trochę dalej na wschód i trochę dalej na zachód). I ta zmiana w historycznym kontredansie, choć Brandysa przebiera w sumiaste wąsy i kontusz, nie jest czymś z czego „środowisko" mogłoby być dumne. Jak świat światem, w rywalizacji między przemówieniem na akademii czy na dożynkach i myślą, dla której wstrętne są masowe komedie, myśl wygrywa.

W lekturze którą omawiałem jest jedna rzecz wykraczająca, przyznaję, poza moje zrozumienie. Ktoś mający jaki taki szacunek dla wiary której służy, nie wspominałby o niej wykonując poruczenia specjalne i aż zbyt specjalne. Brandys jed-

nak wdaje się w rozważania o Celu przyświecającym komunistom :

„Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nasze pokolenie powinno stworzyć nowy szkic człowieka. Człowieka o lepszej wyobraźni niż nasza, nękana widmami strachu i wojny. Powiadam, wyobraźni — ale oczywiście w najlepszym znaczeniu, obejmującym także inteligencję i moralność".

Nie pójdzie dobrze. Jeżeli wszelkie środki są dozwolone żeby zawsze i wszędzie likwidować każdego kto myśli inaczej, jeżeli wrodzona *bassesse d'âme* jest największą kwalifikacją do objęcia posady wychowawców nowego człowieka — to nowy człowiek będzie tylko na miarę wychowawców. I wielu literatów warszawskich jest żywą, chodzącą zapowiedzią nieuniknionej porażki.

Czesław MIŁOSZ

Refleksje amerykańskie

I

Jeszcze parę miesięcy i zacznie się szesnasty rok amerykańskiego okresu mego życia. Piętnaście lat to wielki szmat życia ludzkiego. Ileż rzeczy w ciągu tego czasu zmieniło się dokoła mnie i we mnie! I jakie to były lata!

I coraz częściej zadaję sobie pytanie, w jakim stopniu zbliżyły mnie one do Stanów Zjednoczonych, do ich spraw, cywilizacji, i — przede wszystkim — do tego wszystkiego, co składa się na duchowy klimat Ameryki. W jakiej mierze klimat ten stał mi się bliskim, swoim, stał się żywiołem, w którym czuję się ,,u siebie''. I coraz bardziej mi się wydaje, że Amerykę lepiej rozumiałem lat temu dziesięć, że jej swoistemu klimatowi byłem wtedy mniej obcy, niż teraz.

Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. Od czasu do czasu wchodzę do małej kabinki, zaciągam zasłonę i pociągam za lewarki przy nazwiskach najczęściej mało znanych mi ludzi. Głosuję... To jest moje prawo i mój obowiązek jako obywatela tej wielkiej Republiki. Nie lekceważę sobie tego prawa i obowiązek mój staram się wykonać sumiennie i uczciwie.

Dobrze opanowałem język angielski. Ba, nieraz łatwiej jest mi sformułować swą myśl po angielsku niż po polsku. I coraz częściej łapię się na brzydkich anglicyzmach (to nieszczęsne consecutio temporum — tak logiczne w angielskim i tak różne od polskiego!).

Poznałem dobrze historię amerykańską i nauczyłem się nią pasjonować. Sądzę, że przeszłość Stanów Zjednoczonych znam nie gorzej niż wielu rdzennie amerykańskich college graduates, a od niejednego zapewne i lepiej. Poznałem literaturę amerykańską, rozmiłowałem się w amerykańskim folklorze. Znam pisma myślicieli amerykańskich, publicystów, essaistów. Nie jest mi obca sztuka amerykańska, jej dzieje i tradycje. Słowem, moja wiedza o Ameryce nie jest mała.

I niewątpliwie w tym wszystkim jest znaczna doza uczuciowego zaangażowania się. Mój stosunek do Ameryki jest daleki od chłodnego spektatorstwa. Sprawy tego kraju budzą we mnie reakcje emocjonalne. Boleśnie odczuwam jego niepowodzenia i cieszę się jego osiągnięciami. Nie, na pewno nie jestem tu tylko zimnym, bezstronnym spektatorem! I być nim już bym nie potrafił.

A jednak wiem, że, gdy chodzi o pełnię duchowego utożsamienia się, Amerykaninem nie jestem. I dziś odczuwam to ostrzej, niż lat temu dziesięć, gdy nie byłem jeszcze obywatelem i gdy moja znajomość spraw amerykańskich była znacznie mniejsza a intymność stosunku do nich — znacznie słabsza.

O sprawach tych nie raz rozmawiam z mymi europejskimi przyjaciółmi, równie jak ja od lat przebywającymi w tym kraju. I najczęściej spotykam podobne odczucia i reakcje. Rzecz jasna wiemy, żeśmy na obczyźnie i że nigdzie na obczyźnie nie moglibyśmy przestać czuć się Polakami, Rosjanami czy Niemcami. Nie chodzi tu jednak o jakąś całkowitą asymilację. To byłoby niemożliwe. Ale amerykańska obczyzna daje warunki obiektywnie wyjątkowo pomyślne, by znaleźć w niej swoje miejsce, by poczuć się w niej swojsko, by zapominać o obcości otoczenia. Miejsca tego nie umiemy znaleźć. Są „my" i są Amerykanie. I jedni i drudzy są od siebie różni. My — ludzie z Europy — możemy być lojalnymi obywatelami, możemy być przywiązani do Ameryki, podziwiać bujność jej życia — a jednak, *duchowo* Amerykanami się nie staliśmy, a jednak *klimat kulturalny* Ameryki w swych treściach najistotniejszych jest nam obcy. I odczuwamy to coraz mocniej.

I zdaje mi się, że obcość, jaką ja — i wielu mych europejskich przyjaciół — odczuwamy wobec cywilizacji amerykańskiej, ma swoje głębsze podstawy. Mam wrażenie, że wypływa ona z zasadniczych rozbieżności między cywilizacją amerykańską a cywilizacjami Starego Świata. Ta rozbieżność jest dziś coraz ważniejszym czynnikiem w stosunkach między Ameryką a resztą świata i znajduje ona swój wyraz w moim własnym stosunku do Ameryki.

Po piętnastu latach życia amerykańskiego nie przestałem być Europejczykiem. To jest faktem. Nie przestałem nim być jako produkt określonej cywilizacji, jako określona formacja kulturalna, jako dzieło określonych systemów wychowawczych. Na całkowitą transformację było za późno, gdym schodził ze statku w porcie nowojorskim przed piętnastu laty. Takiej transformacji ulega się tylko w bardzo młodym wieku. Dzieci mych przyjaciół są Amerykanami, ich rodzice — nie są.

Proces asymilowania się do nowej kultury, do nowego środowiska i nowego układu życia jest zawsze i wszędzie rzeczą bardzo trudną. Wie o tym każda emigracja i wie o tym każdy kraj, który stoi otworem dla emigrantów. Procesy asymilacyjne zachodzą powoli i nie zawsze są zakończone nawet w drugim pokoleniu emigrantów.

Znamy dobrze dzieje konfliktów i cierpień tych mas ludzkich, które przez całe stulecie z całego świata napływały do Stanów Zjednoczonych. Jednakże w olbrzymiej większości wypadków masy te stosunkowo dość szybko przyswajały pewne ogólne formy i treści amerykańskiego stylu życia i od ich przyjęcia rozpoczynały swój proces amerykanizacji. Co więcej, formy te i treści starały się przyjąć, przyjmowały z ochotą, aprobowały je. Pewnie, że były trudności. Pewnie, że tradycyjny układ życia wiejskiego, przyniesiony przez emigrantów z dawnych ojczyzn, nie od razu poddawał się wymaganiom życia amerykańskiego. Były konflikty, były tragedie rodzinne, były głębokie i bolesne schorzenia indywidualne i zbiorowe. Ale asymilacja szła naprzód. Ameryka wdzierała się do spraw osobistych każdego z przybyszów, i była przez niego aprobowana. Obcość w stosunku do cywilizacji amerykańskiej, choć nie zawsze w całej pełni ogarniętej i rozumianej, stopniowo zanikała.

Ale ostatnie dwa dziesięciolecia przyniosły do Ameryki zupełnie inny typ emigrantów, dotąd jej nie znany. Do Stanów Zjednoczonych przyszli inteligenci, intelektualiści, ludzie wykształceni, ludzie, którzy stanowili elity umysłowe, społeczne, polityczne swych ojczyzn. Byli to ludzie zupełnie różni od tych mas, jakie od stulecia płynęły do portów Stanów Zjednoczonych.

Ta nowa emigracja znacznie łatwiej, niż emigracje dawne, potrafiła *zewnętrznie* przystosować się do Ameryki. Łatwiej jej było opanować język, o ile go już przed tym dobrze nie znała. Składała się z ludzi miejskich i bez wysiłku mogła przyjąć warunki życia miast amerykańskich. Amerykańskie osiągnięcia techniczne nie wydawały się jej cudem — groźnym i tajemniczym. Większość tych osiągnięć znała z doświadczeń dawnych krajów. Łatwo jej przyszło poznać ustrój Stanów Zjednoczonych, historię amerykańską, literaturę, sztukę, organizację ekonomiczną i stosunki polityczne. Nie musiała robić tego szalonego skoku od prymitywnej wsi podhalańskiej czy sycylijskiej do ulic New Yorku czy Chicago, jaki musiały robić stare emigracje.

A jednak właśnie w tej nowej emigracji najwyraźniej występują te trudności moralne, które ja odczuwam w sobie i do których przyznają się i moi przyjaciele. Dla inteligenta europejskiego utożsamienie się z kulturą amerykańską jest rzeczą bardzo trudną. Proces *duchowej* amerykanizacji u niego nie następuje, lub — jeżeli następuje — to bardzo powoli, niepełnie, fragmentarycznie, w połączeniu z silnymi konfliktami wewnętrznymi. I inteligent ten — bez względu na to, ile lat mieszka w Stanach Zjednoczonych — najczęściej pozostaje Europejczykiem i pozostaje nim do końca życia.

Tak go też odczuwają rdzenni Amerykanie. A i on ich odczuwa, jako ludzi reprezentujących inny typ psychiczny, inną mentalność. Ten inteligent może być najszczerzej przywiązany do Ameryki, może w niej zapuścić korzenie — czy jednak stanie

się Amerykaninem? — W ogromnej większości wypadków nigdy nim nie będzie.

Taka analiza mego własnego stosunku i stosunku wielu mych przyjaciół do duchowej amerykanizacji posłuży mi za punkt wyjściowy dla pewnych ogólniejszych rozważań nad tymi fundamentalnymi różnicami, które dzielą cywilizację amerykańską od cywilizacji Starego Świata. Są to różnice bardzo duże i głębokie. A nie często są one dostrzegane i należycie oceniane. Bez zrozumienia zaś ich trudno jest uchwycić i sens antyamerykanizmu w Europie, Azji i nawet w Afryce, i sens tej antyeuropejskości, z jaką nieraz można się spotkać w Ameryce.

II

Mam wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych miała miejsce pierwsza w dziejach nowożytnych *udana* próba stworzenia cywilizacji *ludowej*. A może nawet — *plebejskiej*. Zdaje mi się, że próba ta jest bardziej udana od analogicznych prób, jakich widownią jest Związek Sowiecki i kraje tzw. demokracji ludowej. W każdym razie przypuszczam, że cywilizacja amerykańska jest od nich bardziej i wszechstronniej ludowa.

Ludowa — czy raczej plebejska? Z pojęciem ludu łączy się obraz ustabilizowanego życia społecznego, kultury opartej na mocnym i przez tradycję utrwalonym systemie wartości. Lud jest związany z ziemią, lud jest tradycyjny, konserwatywny, nieruchliwy.

Plebs jest ludem, w którym wszystkie te wartości uległy załamaniu. To lud, wyrzucony z tradycyjnych kolein swej egzystencji. Jeżeli wyrzucenie to prowadzi do anarchizacji, plebs staje się motłochem. Ale plebs może z kolei się przetworzyć, może stworzyć dla siebie jakieś formy, nowe, trwałe, stając się znów ludem, choć żyjącym innym układem życia i innymi systemami wartości, niż lud dawnej wsi. Mam wrażenie, że to właśnie stało się w Ameryce. Cywilizacja amerykańska z plebejskiej staje się ludowa, choć w dalszym ciągu zachowuje cechy swej plebejskości.

Cywilizacje europejskie, z których wyszliśmy my, inteligenci, ludowymi nie były. Tak samo, jak nie były nimi wielkie cywilizacje azjatyckie, z których wyszli inteligenci azjatyccy.

Można się spierać co do właściwości operowania nazwą feudalizm, ale nazwa ta jest wygodna dla oznaczenia tego układu stosunków zarówno politycznych jak i społecznych i kulturalnych, jaki w ciągu tysiącleci panował w całym Starym Świecie: w Europie Zachodniej i Wschodniej, w Chinach, Japonii, Indiach, nawet w cywilizacjach afrykańskich. Układ ten poza tym przyjął się również w Ameryce Łacińskiej. Charakteryzuje go podział całej zbiorowości ludzkiej na hierarchicznie uporządkowane zespoły, od siebie zależne prawnie i gospodarczo, każdy z określony-

mi funkcjami i z określonym miejscem w życiu zbiorowości. Człowiek rodził się w takim zespole i najczęściej pozostawał w nim przez całe życie. A rodząc się w nim, tym samym otrzymywał określone miejsce w życiu zbiorowości, określone zadania i określoną rolę. Zbiorowość oczekiwała od niego, że zadania te wykona i rolę odegra.

Cały ten system mógł być prawnie i gospodarczo bardzo skomplikowany. Poza tym w ciągu dziejów zachodziły w nim pod tymi względami daleko posunięte przeobrażenia. Jednakże w sensie społecznym i kulturalnym dawało się w nim odróżnić istnienie dwóch zasadniczych pięter czy nawarstwień. Były warstwy wyższe i warstwy niższe — lud. Jednych od drugich dzieliło bardzo dużo: inna pozycja w hierarchii społecznej, inne role społeczne, inne funkcje gospodarcze i daleko posunięte różnice kulturalne.

Albowiem w systemie tym istniały obok siebie dwie różne kultury : kultura warstw wyższych, która w praktyce stała się oficjalną kulturą narodową, i kultura ludowa. Badaniem pierwszej zajmowała się historia, historia literatury, sztuki, obyczajowości itd. ; druga była przedmiotem zainteresowań folklorystyki i etnografii. A i te zainteresowania są sprawą bardzo niedawnych czasów. Aż do wieku XIX tylko pierwsza z tych dwóch kultur była uznawana na godną zainteresowań. Tylko ona mówiła o narodzie, o jego cywilizacji, o jego miejscu w rodzinie narodów świata.

Obie kultury różniły się nawet językiem. Język warstw wyższych to był język literacki, język szkoły. Posługiwali się nim ludzie wykształceni, zaliczani do elity. Język warstw niższych to była mowa ludowa, gwara, dialekt. Tak mówili ludzie niewykształceni i niewychowani. Te różnice językowe były bardzo ważnym — nieraz zasadniczym — czynnikiem w ocenach społecznych, miernikiem w klasyfikowaniu jednostek. Przypomnijmy sobie ,,Pygmaliona''. Shaw uprościł tu sobie zagadnienie, ale jego zasadnicza obserwacja była słuszna. Aby należeć do warstw wyższych, trzeba było mówić językiem, który był uznawany za im właściwy.

Wszystko to nie oznaczało, by między tymi kulturami nie zachodziły oddziaływania wzajemne. Były one ciągłe i stałe, nieraz bardzo silne. Szczególnie kultura warstw wyższych potężnie oddziaływała na kultury ludowe. Cały szereg wartości, które stały się częścią folkloru, pierwotnie były przez lud zapożyczone od warstw wyższych. Stroje łowickie (daleką drogę przebyły renesansowe mundury szwajcarskiej Gwardii Papieskiej, zanim trafiły do chat łowickich) i cyfrowane portki góralskie (tu droga była bliższa — od mundurów huzarów węgierskich) mogą służyć jako typowe przykłady. A przykłady takie można by mnożyć bez liku. Olbrzymia większość legend, tych, które, jak powiada Żeromski, są ,,jakby westchnieniami ludzkości'', była produktem kultury dworskiej i tylko z czasem dotarła do ludu.

Oczywiście te wątki i motywy kultur wyższych, przyswajane przez lud, ulegały przetworzeniom. Geniusz kultur ludowych

wypowiadał się w sztuce asymilowania, przetwarzania, przysposabiania do własnego użytku tego, co — często dla innych zupełnie celów — tworzyły warstwy wyższe. Ale oddziaływanie było i było ono bardzo wszechstronne i potężne.

Było ono bez porównania silniejsze z góry na dół, niż z dołu do góry. Świadome i planowe przejmowanie przez warstwy wyższe wątków i motywów ludowych jest zjawiskiem bardzo późnym. A i tu jest wielkie pytanie, czy w tym przejmowaniu nie było więcej oddziaływania warstw wyższych na lud, niż odwrotnie. Sztuka zakopiańska i setki podobnych przykładów — czyż nie było w tym więcej z narzucania ludowi pewnych treści i form, właściwych warstwom wyższym, niż brania od ludu jego wartości na użytek tychże warstw wyższych?

We wszystkich folklorach daje się zauważyć wzorowanie się na warstwach wyższych. Najwyraźniejsze jest ono w folklorach współczesnych, kiedy wielka rewolucja przemysłowa stworzyła nowe, niezliczone i szczególnie potężne środki oddziaływań kulturalnych. Na ogół też da się powiedzieć, że lud, wzorując się na warstwach wyższych, przejmuje od nich to, co u góry już zatraciło zapach swej nowości. Jest to uderzające w dziedzinie mód, strojów, różnych szczegółów stylu życia. W przedwojennych robotniczych mieszkaniach warszawskich panowały meble secesyjne i uważane były za szczególnie piękne i pożądane. Amerykańskie fabryki mebli masowo produkują i Department Stores masowo sprzedają meble wiktoriańskie. Lud w swych ocenach estetycznych jest co najmniej o jedno pokolenie, a nieraz — i o kilka, spóźniony w stosunku do kulturalnej elity warstw wyższych!

To daje uzasadnienie socrealizmowi. W gruncie rzeczy jest on powrotem do tych gustów, które panowały lat temu kilkadziesiąt. I jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że masowy odbiorca chwali sobie i aprobuje ową twórczość socrealistyczną. Tak samo jak w Ameryce chwali sobie i aprobuje ów odpowiednik socrealizmu (może kaprealizm?), wyrażony w okropnych meblach wiktoriańskich, komercyjnym malarstwie, w bestsellerach, magazynach, Reader's Digestach, telewizji i Hollywood.

Różnica jest w tym (a nie mała to różnica!), że w Ameryce ów soc- czy kaprealizm *nie jest* normą obowiązującą i przymusowym dla wszystkich narzuconym wzorem estetycznym. Żadna rezolucja nie nakazuje pisarzowi produkowania bestsellerów. Może ich nie produkować. Co najwyżej nie znajdzie wydawcy, albo — jeżeli książkę wydać mu się uda — spotka go fiasco finansowe. A i to nie zawsze. Mimo wszystko prawa popytu i podaży, rządzące Ameryką, są nieskończenie mniej bezwzględne i zostawiają więcej możliwości dla talentu, niż nieubłagane prawa państwa policyjnego, socrealizmem bez reszty niszczącego twórczość kulturalną. W Ameryce jest wciąż obok ludowego kaprealizmu jakieś miejsce na twórczość prawdziwą. I twórczości tej niekiedy udaje się narzucić swą wolę masowej produkcji kaprealizmu i udaje się tworzyć dalsze możliwości rozwojowe.

Ten podział na dwie warstwy kulturowe i na dwie kultury — kulturę pana i kulturę chama — przetrwał w Starym Świecie aż do naszych dni. Jeszcze lat temu kilkadziesiąt był on nadzwyczaj wyraźny w całej Europie. Dziś w całej pełni utrzymuje się on w Azji i w Afryce, istnieje w Ameryce Łacińskiej. Jednakże wielkie rewolucje przemysłowe i polityczne, rozwój szkolnictwa powszechnego i instytucji demokratycznych, niosąc niwelację życia, załamały same podstawy systemu dwóch kultur. Tradycyjna kultura warstw ludowych w doświadczeniu tych mas przestała być czymś żywym i wartościowym. Dziś jest ona zabytkiem muzealnym, przedmiotem zainteresowań etnografii i folklorystyki. Lud przejmuje kulturę dawnych warstw wyższych, przystosowując ją do swych potrzeb i czyniąc z niej produkt masowy. W ten sposób kultura Starego Świata zaczęła ulegać plebeizacji.

Jednakże podstawy jej są wciąż w tradycjach kulturalnych dawnych warstw wyższych. I nie mogło być inaczej. Tradycje te stanowią o ciągłości historycznej narodów. Z nich wychodzą i na nich opierają się nasze systemy wychowawcze, nasze ideały i filozofie. W Sowietach wkrótce po rewolucji Łunaczarski i jego zwolennicy próbowali tworzyć kulturę proletariacką. Ale proletkult okazał się bezpłodny i szybko załamał się. W rzeczywistości cała ta filozofia była na wskroś inteligencka. Wywodziła się z Proudhon'a i Sorel'a, proletariatowi była najzupełniej obca. I nie inaczej było z innymi próbami tworzenia nowych układów kulturowych na podstawach ludowych czy rzekomo ludowych. Niektóre z nich — jak próby hitleryzmu — były jeszcze bardziej karykaturalne, niż proletkult Łunaczarskiego.

Kultura, z której wyrósł europejski (czy azjatycki lub południowo-amerykański) intelektualista, jest ta, jaką otrzymaliśmy w puściźnie po świecie feudalnym. Możemy być gorącymi demokratami, możemy szczerze wierzyć w lud i w jego siły twórcze, nie przestaniemy jednak być synami tej kultury arystokratycznej i elitarnej. Na jej przecież podłożu wyrosły i rozwinęły się ideały i filozofie demokracji, nadzieje ludowości. Filozofia stoików, chrześcijaństwo (Ojcowie Kościoła byli intelektualistami i synami elitarnych kultur swych czasów), Odrodzenie, racjonalizm angielski i francuski, socjalizm wieku XIX — wszystko to nie szło od ludu i jego kultury, ale od warstw wyższych.

Kultura, z której wyrośliśmy, dała nam pewne nawyki myślowe, postawy moralne, systemy wartości i metody działania. Jej zawdzięczamy nasze oceny moralne i estetyczne, nasz stosunek do prawdy, dobra i piękna. I z tym wszystkim niektórzy z nas wolą losów zostali rzuceni do Ameryki. Tu zaś spotkali się z kulturą, która szła innymi drogami. Kultura ta jest pasjonująca i pełna obietnic. Ale jest inna. Możemy ją podziwiać, ale miejsca w niej znaleźć dla siebie już nie możemy. Na to dla nas, inteligentów starszej generacji, jest już za późno. I stąd odczuwamy ją, jako obcą.

III

Jest rzeczą jasną, że kultura amerykańska korzeniami swymi tkwi w wielkich kulturach starej Europy. *Istnieje* ciągłość duchowa między Stanami Zjednoczonymi a Anglią. Wspólny jest język (choć Anglicy co do tego mają wątpliwości), wspólna była początkowa historia kolonialnej Ameryki. Amerykański system prawny wywodzi się z prawa anglosaskiego. Twórcy Stanów Zjednoczonych — Washington, Jefferson, Hamilton, Adams, Madison — byli wspaniałymi przedstawicielami kultury angielskich klas wyższych swej epoki. Amerykańska Deklaracja Niepodległości i Bill of Rights są produktami racjonalizmu wieku XVIII. A i w czasach późniejszych oddziaływanie Europy na klimat kulturalny Ameryki było bardzo znaczne i wielostronne. Silniejsze i bardziej wielostronne niż oddziaływanie Ameryki na Europę — oczywiście przed pierwszą wojną światową, żeby nie mówić o czasach dzisiejszych.

Ale nie te oddziaływania stanowią o zasadniczych treściach cywilizacji amerykańskiej i życia kulturalnego Stanów Zjednoczonych. To, co tu jest istotne, rozwinęło się własnymi siłami i oblicze swe wyłącznie zawdzięcza ziemi amerykańskiej.

Stany Zjednoczone w historii swej nie przeszły przez okres, który w dziejach innych krajów i kontynentów da się określić jako feudalizm. W Stanach Zjednoczonych nigdy nie zdołał rozwinąć się układ społeczny, oparty na hierarchii warstw społecznych, każda o specyficznym obliczu prawnym, obyczajowym i kulturalnym, niezależnym od sytuacji materialnej. Wszelkie nawarstwienia, jakie tu powstały, miały jako swą podstawę sytuację ekonomiczną jednostki. Jeżeli zaś były jakieś inne zróżnicowania, to w praktyce były one czymś wtórnym i podporządkowanym wobec dominującego czynnika, jakim był moment ekonomiczny.

Nie znaczy to, aby w dziejach amerykańskich nie istniały tendencje w kierunku tworzenia się hierarchii społecznej, nie opartej na zróżnicowaniu ekonomicznym. Takie tendencje były, nie zdołały się jednak ani utrwalić ani rozwinąć.

Były one w Ameryce kolonialnej. Ameryka ta była dziełem Anglii wieku XVII. Wśród Brytyjczyków, którzy jako kolonizatorzy płynęli do Ameryki, byli też przedstawiciele świata feudalnego. Pierwsze kolonie powstały jako nadania królewskie dla możnych rodów arystokratycznych. Lordom Baltimore i De La Warr zawdzięczają swe nazwy wielkie miasto amerykańskie i jeden ze stanów. Pennsylwania powstała z nadania królewskiego, jakie otrzymał Penn i jego rodzina. Virginia była w pierwszym rzędzie kolonizowana przez dobrą szlachtę angielską. Nie z chudopachołkowskich rodów angielskich wywodzili się Washington, Jefferson, Madison i wielu innych Ojców Republiki. W okresie Wojny o Niepodległość istniała wcale liczna kategoria ludzi, która słusznie da się określić jako arystokracja. I podobnie w

tym samym czasie w miastach wschodniego wybrzeża istniała patrycjuszowska burżuazja handlowa, również wywodząca się z Anglii i również pełna arystokratycznej dumy. Resztki tego po dziś dzień można zauważyć w Nowej Anglii i szczególnie w Bostonie.

Ludzie ci utrzymywali bliskie związki nie tylko z Anglią, ale i z Francją. Były to przede wszystkim związki kulturalne. Młodzież męska była posyłana do szkół w Anglii. Wszystkie nowości literackie Londynu i Paryża znajdowały drogę do bibliotek prywatnych Bostonu, Filadelfii i plantacji Virginii. Jefferson był Europejczykiem całą gębą. Miał głęboką wiedzę humanistyczną, znał kilka języków, w Paryżu czuł się doskonale.

Rewolucja, obalając system kolonialny, znacznie osłabiła związki z Europą, a zarazem potężnie uderzyła w arystokrację amerykańską. Rewolucja nie była wyłącznie walką o niepodległość. Była ona wojną domową. Duża część kolonistów stała po stronie króla i była przeciwna oderwaniu się od Anglii. Pułki, których Anglia używała do walki z Washingtonem, nie składały się z samych najemników hesskich. W szeregach królewskich również walczyli koloniści, przeciwni oderwaniu się. Na sto tysięcy oblicza się tych, którzy po wojnie opuścili Stany Zjednoczone, chcąc zachować wierność królowi. Bardzo znaczną część wśród nich stanowili ludzie, sytuacją społeczną i kulturalną związani z wyższym światem cywilizacji anglosaskiej.

A jednocześnie w toku samej Rewolucji Ameryka była widownią ostrych walk klasowych. Obóz rewolucyjny nie był jednolity. Składała się na niego z jednej strony ta część arystokracji i plutokracji, która była za oderwaniem się, i, z drugiej strony, radykalna i plebejska masa Pogranicza. To, że wśród przywódców tej masy byli tacy ludzie jak Thomas Jefferson, nie miało znaczenia. Rewolucje ludowe najczęściej mają arystokratycznych czy nieludowych przywódców. Walka tych dwóch sił szła równolegle z walką przeciwko królowi i trwała od niej znacznie dłużej. W rzeczywistości zakończyło ją zwycięstwo wyborcze Andrew Jacksona, kiedy to Pogranicze ostatecznie zatriumfowało nad arystokracją Wybrzeża.

Nie tu miejsce na dokładną analizę tego, czym było Pogranicze. Turner i jego szkoła widzieli w Pograniczu czynnik decydujący dla całej historii Stanów Zjednoczonych. Historycy współcześni nie idą tak daleko. Nie ulega jednak i dla nich wątpliwości, że rola Pogranicza w dziejach Stanów Zjednoczonych była kolosalna i że miało ono przemożny wpływ na kształtowanie się najbardziej zasadniczych cech życia amerykańskiego.

I kraje europejskie miały swoje pogranicza. Marchie niemieckie, Kresy polskie — mogą tu służyć za przykłady. Lecz te pogranicza europejskie były raczej epizodami — niewątpliwie bardzo ważnymi, ale nie decydującymi o zasadniczym rozwoju krajów Europy. Były one pochodnymi tego, co działo się w centrum kraju, nigdy nie stały się motorami zasadniczych przemian historyczno-kulturalnych.

Inaczej w Stanach Zjednoczonych. Historycznie rzecz biorąc, całe Stany Zjednoczone, poza wąskim skrawkiem wybrzeża wschodniego, były w jakimś okresie Pograniczem. Pogranicze posuwało się na zachód, w kierunku Pacyfiku, zmieniając kraj, nadając mu swoiste oblicze, wpływając stale na to, co już przestawało być Pograniczem.

Tam też mogła jedynie powstać, utrzymać się i rozwinąć cywilizacja, którą określimy jako plebejską. Pogranicze było w stanie ciągłej płynności — topograficznej i społecznej. Nie było tam miejsca dla sztywnych form społecznych, dla nawarstwień, opartych na podstawie faktu urodzenia się w danej grupie, na przywilejach rodowych, nawet — na wykształceniu. Pogranicze było niesłychanie dynamiczne. Wszystko tam było w ciągłym ruchu, wszystko tam ciągle się przetwarzało. Nie było tam miejsca na zapuszczanie trwałych korzeni, na jakąś stabilizację, na wytwarzanie się jakichś mocniej utrwalonych, wyraźniej zarysowanych układów społecznych.

Człowiek fizycznie słaby musiał tam zginąć. Człowiek o wyrafinowanych gustach i arystokratycznych skłonnościach nie miał tam nic do roboty. Było to miejsce dla ludzi energicznych, brutalnych, nie liczących się z niczym i z nikim, gotowych iść na wszelkie wysiłki i przyjąć wszelkie trudności. Przyjąć je, by je pokonać lub zginąć ! Szacunek otoczenia zdobywał człowiek, który umiał dać sobie radę, który w walce osiągał sukces.

Mocne ręce i chytrość — oto co tam było potrzebne. Wiedza, wykształcenie nabyte w szkołach, były tam mało cenione. Gorzej — były uważane za przeszkodę. Gdy stosunki zaczynały się nieco stabilizować, na Pogranicze zaczynali napływać ludzie z wykształceniem. Potrzebni byli prawnicy, lekarze, nauczyciele, duszpasterze. Nie stawiano im wysokich wymagań. Prawnik powinien był umieć napisać kontrakt, lekarz dać doraźną pomoc, nauczyciel nauczyć czytania, pisania i — przede wszystkim — rachowania. Na duszpasterza najlepiej nadawał się metodystyczny czy baptystyczny kaznodzieja, który umiał mówić językiem jego trzódki duchowej. Duchowieństwo episkopalne nie było tam dobrze widziane.

Na Pograniczu rozwinęła się wiara w praktyczne rozwiązywanie zagadnień i pogarda dla teoretyzowania i intelektualizmu. Amerykański pragmatyzm — pomówimy o nim jeszcze osobno — był dzieckiem Pogranicza i jego atmosfery. I Pogranicze mogło było stworzyć doskonałe warunki dla heroizacji Człowieka Sukcesu, tego tak zasadniczego mitu Ameryki.

Bez Pogranicza nie byłoby tego, co nazwiemy amerykańskością. Tam ludzie prości, ludzie z ludu, wyrzuceni ze swoich tradycyjnych kolein, przemieszani, w wiecznym ruchu i w wiecznej walce, w pogoni za dobrami materialnymi, zaczęli tworzyć nową cywilizację. Plebeje tworzyli cywilizację plebejską.

Jej wielkim zwycięstwem była Wojna Domowa. Wojna ta faktycznie położyła kres wszelkim możliwościom zachowania się feudalizmu w Ameryce. Siłą, która szła przeciwko Południowi,

była nie tyle Północ, ile Pogranicze. Nie jest rzeczą przypadkową, że Lincoln wyszedł z Pogranicza. Tylko człowiek Pogranicza mógł poprowadzić tę walkę.

Jeżeli można mówić o feudalizmie amerykańskim, to tylko w odniesieniu do Południa sprzed Wojny Domowej. Tam na podłożu gospodarki plantatorskiej powstały formy życia nieobce Europejczykowi. Przede wszystkim istniało tam sztywne nawarstwienie społeczne. Byli ludzie wolni i czarni niewolnicy. Sytuacja tych ostatnich niezbyt różniła się od doli czy niedoli chłopów pańszczyźnianych wieku XVIII w wielu krajach Europy. Niewolnik był ex definitione siłą roboczą, był glebae adscriptus, był obiektem handlu. Jego obowiązki i funkcje były ściśle zdefiniowane przez fakt przynależności do właściciela. Z drugiej strony świat ludzi białych nie był jednolity. Byli tam gentlemeni i była ,,biała hołota'' (white trash). Nie same różnice materialne dzieliły jednych od drugich. Można było być biednym i być gentlemanem. Człowiek *rodził się* gentlemanem, jeżeli rodził się w ,,dobrej'' rodzinie. Człowiek stawał się gentlemanem, jeżeli nabywał odpowiednie wykształcenie i sposób życia, właściwy gentlemanowi. To, że świat gentlemenów wywodził się z plantacji, miało takie znaczenie jak to, że inteligencja polska wywodziła się ze wsi szlacheckiej.

Gentleman obowiązany był żyć tak, jak gentlemanowi przystało. A nie odbiegało to zbytnio od wzoru życia ziemiaństwa polskiego czy wszelkiego innego ziemiaństwa Europy i Azji. Plantatorstwo było godziwym zajęciem południowego gentlemana, jak rolnictwo było zgodne ze wzorem szlachcica polskiego. Miasto dostarczało rozrywki, było niezbędne dla celów politycznych czy handlowych, ale zajęcia ,,miejskie'' nie były zgodne ze wzorem gentlemana, zwłaszcza jeżeli wymagały pracy fizycznej. Gentleman nie był człowiekiem wytężonej pracy gospodarczej — ideałem jego były wywczasy. Gentleman chętnie politykował, ale niechętnie brał się do bankowości, do przemysłu lub spekulacji. Wreszcie gentleman lubił książki i sztukę. Na plantacjach Południa nierzadkie były ze znawstwem dobrane kolekcje książek i dzieł sztuki.

Południe starało się też utrzymywać jakieś związki z Europą, w pierwszym rzędzie — z Anglią. Nie tylko gospodarcze względy sprawiły, że w dobie Wojny Domowej opinia angielska i francuska, nawet częściowo opinia liberalna, była po stronie Południa. Europejczyk, nawet potępiający niewolnictwo, czuł się bliższym południowemu plantatorowi-gentlemanowi, niż ordynarnemu Yankee z Północy. Coś ze starej Europy znalazło dla siebie miejsce na południu Stanów Zjednoczonych.

Wojna Domowa położyła temu koniec. Klęskę poniosła tu cała specyficzna cywilizacja. Wraz z likwidacją niewolnictwa — rzecz słuszna, rzecz konieczna i nieunikniona ! — gentleman stracił podstawy swego istnienia i szybko zeszedł ze sceny amerykańskiej. Zniknął dwór, zniknęło wyrafinowanie, zniknęło prawo do beztroskiego życia. Plantator, jeżeli miał nadal istnieć,

musiał stać się farmerem i businessmanem. Na gentlemana dawnego stylu w Ameryce po Wojnie Domowej nie było już miejsca. Pewnie, że Południe po dzień dzisiejszy zachowuje swe odrębności, pewnie, że stary antagonizm wobec Północy wciąż tam istnieje. Ale są to tylko formy przeżytkowe, nieraz już zwyrodniałe. Południe amerykanizuje się coraz szybciej. I dziś z jego dawnej swoistej cywilizacji jakże mało się zachowało !

Wojna Domowa zlikwidowała ostatnie możliwości zachowania się form i treści feudalnych w Ameryce. Dla ekspansji nowej cywilizacji plebejskiej stawiała ona otworem cały obszar Unii. Cywilizacja ta nie znała odtąd żadnych ograniczeń terenowych. Mogła swobodnie się rozwijać. I rozwijała się, wykazując przy tym zdumiewający dynamizm.

IV

Od Rewolucji i od Wojny Domowej wartości, zrodzone na Pograniczu, stają się w Ameryce siłą kształtującą cywilizację amerykańską. Siła ta przede wszystkim znajduje dla siebie wyraz w tej kolosalnej rewolucji gospodarczej, jakiej widownią stała się Ameryka. Dynamika tej rewolucji była jedyna w swoim rodzaju. Wielcy jej przywódcy — Astory, Vanderbilty, Harrimany, Fricki, Morgany, Rockefellery — w całym swym podejściu do businessu byli spadkobiercami ideologii Pogranicza. Na giełdzie, w przemyśle, w budownictwie kolejowym stosowali te same metody, jakie pionierzy Pogranicza stosowali wobec przyrody, czerwonoskórych i białych, którzy im wchodzili w drogę. Były to metody brutalne, nie liczące się z niczym, posługujące się siłą i podstępem. Celem był sukces, potęga ekonomiczna, budowanie wielkich imperiów finansowych i przemysłowych. Kiedy Morganowi zwrócono uwagę, że pewne z jego posunięć jest ze szkodą dla ogółu, wielki potentat odburknął : ,,Pal diabli ogół'' (Public be damned).

Potentaci ci byli plebejuszami i parweniuszami. Wszyscy pochodzili z bardzo skromnych środowisk. Z małymi wyjątkami nie mieli wykształcenia. Ich zainteresowania kulturalne były mizerne. Prawda, że wszyscy oni w pewnym okresie swej działalności zaczynali zbierać dzieła sztuki, dawać kolosalne sumy na różne fundacje, budować biblioteki, muzea i uniwersytety. Prawie jednak wszyscy — Morgan i w pewnej mierze Carnegie byli tu godnymi uwagi wyjątkami — nie wykazywali prawdziwie głębokich zainteresowań w tych dziedzinach. Czasami działał tu snobizm (zwłaszcza żon !), jeszcze częściej — względy podatkowe, bardzo ważne w czasach późniejszych, gdy amerykańskie ustawodawstwo podatkowe zaczęło się dobierać do wielkich fortun. Nieraz opłacało się dać ogromne sumy na jakieś cele, aby zmniejszyć dochody i tym samym podatki. A do tego majątki fundacyjne były wolne od opodatkowania.

Ludzie ci — i w dobrym i w złym — tworzyli wzór postępowania dla milionów swych rodaków. W żadnym chyba kraju na świecie legenda potentata gospodarczego, herosa businessu, nie przyjęła się tak bardzo, jak w Stanach Zjednoczonych. I bodaj Stany Zjednoczone są jedynym krajem na świecie, gdzie wielki businessman stał się bohaterem mas, ideałem, wzorem, do którego realizacji tak się dążyło. W amerykańskim systemie wartości społecznych businessman zajął miejsce naczelne. I tak jest nawet w czasach dzisiejszych. Parafrazując znane powiedzonko polskie, że „sierżant Pierwszej Brygady wszystko potrafi", można by rzec, że w Ameryce panuje następująca filozofia: „człowiek, któremu powiodło się w businessie, wszystko wszędzie potrafi". Taka filozofia zapewne nie była obca Prezydentowi Eisenhowerowi, gdy formował swój gabinet. I miała swe oparcie w masach. Tak jest dziś, w blisko trzydzieści lat po Wielkim Kryzysie roku 1929, gdy zdawało się, że prestiż businessmana został w samych swych podstawach podważony.

W arystokratycznej Europie czy Azji tradycyjny wzór osobowy dla mas był dostarczany przez warstwy wyższe, arystokrację. Ideałem i herosem społecznym był arystokrata, ewentualnie rycerz-wojskowy. Później miejsce to zaczął zajmować człowiek wykształcony — pisarz, uczony, artysta, inżynier. Urodzenie i wykształcenie miały tu całkowitą przewagę nad działalnością gospodarczą i nad sukcesem osobistym, wymierzonym w sumie dochodu. Był to ideał, w którym łączyły się w różnorodnych kombinacjach: dobra krew, rycerskość, prawo do swobodnego rozporządzania czasem, twórczość wszelkiego rodzaju. Był to ideał arystokratyczny. W ludowej Ameryce ideałem stał się człowiek prosty, któremu powiodło się w businessie i to bez względu na metody, jakich używał dla zdobycia powodzenia. Był to ideał plebejski.

W takiej cywilizacji mogły znajdować dla siebie miejsce milionowe masy emigrantów ze Starego Świata. I te masy były plebejskie. Pomijając nieliczne wyjątki, ludzie dobrze urodzeni i ludzie wykształceni nie emigrowali do Ameryki. I nie emigrowali ludzie, których pozycja w Starym Świecie była ustabilizowana, utrwalona, którzy czuli się tam pewnie, na swoim miejscu. Nie emigrowali ludzie majętni, ani posiadający określone zawody, ani mocniej w ten czy w inny sposób związani ze swym środowiskiem. Emigrowała biedota wiejska, która w ojczyźnie przymierała z głodu i dla której emigracja była jedyną szansą życiową. W Stanach Zjednoczonych stosunkowo mało jest Włochów z Lombardii i Toskany. Ale są miliony Włochów z Południa — głównie z Sycylii. Chłop polski szedł do Ameryki z Podhala, z Podlasia, z Małopolski. I nawet Irlandczycy — synowie kraju, gdzie wszędzie była bieda — głównie płynęli z najbiedniejszych części Zielonej Wyspy. Hrabstwo Cork jest w Ameryce doskonale reprezentowane.

Ci emigranci we własnych ojczyznach byli elementem marginesowym, najprymitywniejszym, najbardziej upośledzonym.

Byli analfabetami, ich związek z oficjalnymi kulturami własnych ojczyzn był żaden. Cóż chłop sycylijski mógł wiedzieć o Dantem, o Renesansie, o poezji włoskiej wieku XIX? I cóż chłop podlaski mógł wiedzieć o Kochanowskim, o Mickiewiczu, o humanizmie polskim czy o Młodej Polsce? Przypuszczenie, że emigracje stały się narzędziem przenikania kulturalnych wpływów Europy do Ameryki, jest wielkim nieporozumieniem. W Ameryce emigrant się amerykanizował, ale Ameryki nie europeizował.

Amerykanizacja była procesem długim, bardzo ciężkim, często bardzo bolesnym. Jeżeli jednak była możliwa, to dlatego, że Ameryka szła na spotkanie przybyszom, że dawała im wartości dla nich zrozumiałe, wartości, których oni sami szukali. Nieraz odnoszono się do nich z góry, wyzyskiwano. Przejście od prymitywnej organizacji życia wiejskiego do wysoce skomplikowanej industrialnego miasta Ameryki oznaczało kolosalną rewolucję w całym układzie życia emigranta. Był to trudny egzamin — emigrant jednak najczęściej go zdawał. Miał pracę, która nie była cięższa od pracy w wiosce rodzinnej. Miał zarobek. I skoro miał pracę i zarobek, był szanowany. Im lepiej mu się powodziło, tym bardziej był szanowany. Stawał się obywatelem, jego głos był pożądany i za nim uganiali się lokalni bossowie partyjni. Życie jego wzbogacało się, stawało się bardziej pełne. On sam nabierał zaufania do siebie i swych sił. Nic dziwnego, że stawał się patriotą amerykańskim, że Ameryka go wciągała, pochłaniała, porywała za sobą. W żadnej innej cywilizacji nie było by to możliwe.

Duma z tego, że jest się ,,self-made-man'' — tak typowa dla całej Ameryki — jest szczególnie mocna w środowiskach emigracyjnych. ,,Oto czym stałem się w Ameryce'' — mówi stary emigrant, oprowadzając po swoim domu, pokazując swe auto, opisując swą pracę. I często dodaje: ,,Oto co Ameryka zrobiła dla mnie''. Oba sformułowania są słuszne. Stał się tym, czym jest, w Ameryce dzięki temu, co Ameryka zrobiła dla niego.

V

Spróbujmy teraz zrobić pewne podsumowanie — zresztą zgoła niewyczerpujące — tych zasadniczych elementów życia amerykańskiego, które — jak sądzę — wynikają z plebejskości cywilizacji amerykańskiej.

Przede wszystkim w najgłębszych swych treściach jest to cywilizacja demokratyczna, cywilizacja mas — a nie elit, co jednak nie oznacza, by nie przyjmowała ona faktu istnienia i nie uznawała faktu kierownictwa pewnych elit. Jednakże elita, aby być uznana, musi być odczuwana jako część masy, nie może sposobem myślenia i stylem życia zbytnio od mas odbiegać, musi podzielać ich wartości i ideały, i nie może być elitą zamkniętą. Słowem — nie może być elitą arystokratyczną. Jeżeli Amerykanin przyjmuje autorytet społeczny i przewództwo świa-

ta businessu, to zarazem wymaga, by świat ten nie był zamkniętą kastą a członkowie jego byli takimi samymi Amerykanami (przede wszystkim w życiu duchowym), jak „każdy Tom, Dick czy Harry".

Mówi się dużo o indywidualiźmie amerykańskim — również jednym z produktów Pogranicza. Ten indywidualizm wyraża się jednak głównie w dziedzinie businessu oraz — niekiedy — w tych falach protestu, jakie od czasu do czasu ogarniają Amerykę. A i w tym proteście masy przyłączają się do jednostek. W całości życia Amerykanin jest konformistą. Takim, jakim bywa każdy chłop w każdej wiosce świata. „To belong", „to join", „to live up to the Joneses" — oto typowe wyrażenia, w których wypowiada się konformizm amerykański. Stąd nieufność do tego, co obce, co nie zostało przyjęte jako amerykańskie. Jest w Amerykaninie duża doza ksenofobii, czy — raczej — parafiańszczyzny. Amerykanin łatwo przyjmie „obcego", gdy wie, że ten „obcy" chce stać się „swoim", Amerykaninem. I pod tym względem cywilizacja amerykańska, zachowując cechy parafiańszczyzny, nie jest ekskluzywna. Przeciwnie — jest dynamiczna, chłonna, gościnna. Ale Amerykanin nieufnie odnosi się do ludzi, którzy z trudem podlegają „uswojszczeniu", i do spraw, które są poza obrębem jego domowo-amerykańskich doświadczeń. W tym psychiczne podłoże izolacjonizmu. Jest to nieufność chłopa, jakże podobna do tej, którą opisywali Prus i Reymont, Hamsun i Maupassant.

Jeżeli masowa produkcja przemysłowa stała się potężnym motorem demokratyzacji amerykańskiego stylu życia, to z drugiej strony zasadniczy demokratyzm tego życia stworzył doskonałe warunki psychiczne dla utwierdzenia się systemu ekonomicznego, polegającego na masowej produkcji. Masowa produkcja mogła w Ameryce dojść tak wcześnie do takich rozmiarów, albowiem każdy uważał się za *uprawnionego* do korzystania z jej wyników i każdy oczekiwał od niej, że potrafi zaspokoić jego potrzeby. Zarazem produkcja ta czyniła wszystkie wysiłki, by nie tylko przystosować się do istniejących potrzeb i je zaspokoić, ale by stwarzać wciąż nowe i nowe potrzeby.

Ceną tego była monotonia. Ale w plebejskim społeczeństwie, które jest egalitarne, monotonia nie była ceną wysoką. Przeciwnie, to, że mieszkanie moje jest tak urządzone jak moich sąsiadów, że nie różnię się od nich ubraniem, że jem to samo, że mam takie samo auto — wszystko to podkreślało moje poczucie związania się z nimi, moją przynależność do szerokiego zespołu Amerykanów. W arystokratycznych cywilizacjach elitarnych to, że jestem taki sam, jak wszyscy inni, wydaje się czymś głęboko wulgarnym, odrażającym. Ale cywilizacja amerykańska w tym ujednostajnieniu znajduje źródła zadowolenia, pewności i siły.

I ma to swoje praktyczne uzasadnienie. Mieszkanie moje jest takie samo, jak wszystkich innych. Ale jest wygodne, jest zaopatrzone we wszystko to, co ułatwia i uprzyjemnia życie. Odżywiam się tak samo, ale smacznie, obficie (nieraz za obficie !)

i zdrowo. I wszystko to nie wymaga ode mnie nadmiernego wysiłku materialnego, jest w ramach mego budżetu.

W gruncie rzeczy różnice w stylu życia człowieka zamożnego i niezamożnego są w Ameryce nie duże, bezporównania mniejsze niż w innych krajach. Człowiek bogaty mieszka w New Yorku na Park Avenue i ma posiadłość na Long Island czy w Westchester County. Przeciętny Amerykanin na to pozwolić sobie nie może. Ale wygląd wewnętrzny jego mieszkania niewiele się różni od wyglądu apartamentu na Park Avenue. Są tam te same udogodnienia, te same gadgets, które tak ułatwiają życie. Człowiek bogaty jeździ Cadillac'em, człowiek uboższy — Chevroletem. Ale tak samo ma auto, które daje mu nie mniej satysfakcji i nie gorzej mu służy. Zresztą wierzy, że jeszcze lat kilka i sam będzie jeździł Cadillac'em! Człowiek bogaty ubiera się w eleganckim magazynie, gdzie wszystko robi się na obstalunek. Człowiek niezamożny kupuje gotowe ubrania w Department Store. Trzeba jednak być znawcą, by zauważyć między nimi różnicę. Wyglądają tak samo i — poza ceną — w praktyce mało czym się różnią. Jest jednak dziedzina, w której cena za masowość jest bardzo wysoka. Jest to dziedzina kultury duchowej. Lecz jest to cena, którą może kiedyś wypadnie zapłacić przyszłym pokoleniom. Dzisiejsze społeczeństwo amerykańskie tak samo chłonie bestsellery i filmy hollywoodskie, jak ubrania, auta i lodownie. I jest z tego zadowolone.

W Ameryce istnieje przeszło tysiąc uczelni, które są zaliczane do kategorii instytucji wyższego wykształcenia. Rok rocznie dają one dyplomy setkom tysięcy młodych ludzi. Niektóre z tych instytucji są na znakomitym poziomie. Nikt nie może zaprzeczyć, że Harvard, Columbia, Yale, Princeton, Chicago, California (Berkeley) i szereg innych reprezentują poziom nie gorszy od najlepszych uniwersytetów Starego Świata. Ale olbrzymia większość innych uczelni tylko z nazwy może się zaliczyć do szkół wyższych. Są to masowi producenci ludzi pseudo-wykształconych. I tu zasady masowości są stosowane w całej pełni. A jednak dzięki nim Ameryka dostaje kolosalne zastępy ludzi, których wykształcenie, choć powierzchowne i niedostateczne, jest jednak jakimś wykształceniem. I można mieć nadzieję, że dzieci tych ludzi w swoim czasie zdobędą wykształcenie lepsze. Na ogół poziom wyższego wykształcenia w Ameryce jest dziś bezporównania lepszy niż lat temu pięćdziesiąt.

Masowość jest więc pierwszą cechą cywilizacji amerykańskiej. Drugą jest — pragmatyzm. Jest to cywilizacja praktycznego działania, przede wszystkim w sferze gospodarczej.

Historycznie rzecz biorąc, zbiegło się w tym kilka ważnych momentów. Przede wszystkim — spadek po Pograniczu, o czym już była mowa poprzednio. Następnie, nie bez znaczenia były tradycje przyniesione z Anglii. W świecie anglosaskim bardziej niż w każdym innym świecie panuje wiara w praktykę życiową. Jest tam nieufność do teoretyzowania, do apriorycznych uogól-

nień, tak drogich narodom kontynentu. Pragmatyzm angielski mógł z łatwością przyjąć się na gruncie amerykańskim.

Szczególnie jednak wielką rolę w kształtowaniu się pragmatyzmu amerykańskiego odegrał purytanizm. W żadnym kraju, w którym działała filozofia kalwińska, nie zostawiła ona tak głębokich, wszechstronnych i swoistych śladów, jak to miało miejsce w Ameryce. Cały szereg cech życia amerykańskiego nabierze sensu, gdy się je oprze na podłożu purytańskich tradycji.

Był to purytanizm różny od genewskiego, szkockiego czy holenderskiego. Przystosował się on do warunków amerykańskich i dzięki nim nabrał swoistego zabarwienia. Kalwińska nauka o predestynacji i łasce przybrała na gruncie amerykańskim zgoła osobliwe formy i doprowadziła do wyciągania bardzo swoistych wniosków. Powodzenie materialne już w wieku XVIII zaczęto tu uważać za dowód stanu łaski. Rozumowanie było dość proste. Człowiek służy chwale Bożej. Ale Boga najlepiej się chwali przez praktyczne działanie, tworzące nowe wartości. Stąd im zakres tego działania większy, tym rośnie chwała Boża. Majątek pozwala człowiekowi na rozwijanie działalności. Im człowiek bogatszy, tym wszechstronniej i intensywniej może działać i, w konsekwencji, tym lepiej służyć sprawie chwały Bożej. Jeżeli więc majątek człowieka rośnie, tym więcej danych, że Bóg mu sprzyja, że zaliczył go do rzędu wybranych. Wybrani bowiem służą chwale Bożej. Bóg, dając im majątek, tym samym daje im środki służenia Jego chwale.

Dało to głębsze podstawy kultowi Powodzenia, który rozwinął się już na Pograniczu. Sukces gospodarczy jest widomą oznaką działania łaski. Stąd ludzie, którym się powiodło, są ludźmi łaski, nosicielami charyzmy.

Amerykanin nie ma uznania dla człowieka, któremu się *nie* powiodło. Może mu współczuć, ale go nie szanuje. ,,A successful man'' jest przedmiotem jego adoracji. Taki człowiek staje się autorytetem w każdej dziedzinie. Z goryczą mówi William James o kulcie owej ,,bitch-goddess Success'' wśród jego rodaków.

Trudno sobie wyobrazić, by filozofia taka mogła się przyjąć w społeczeństwie arystokratycznym czy w świecie intelektualistów. Nie przyjął jej purytanizm europejski. Mogła ona powstać, przyjąć się i rozwinąć w społeczeństwie ludowym czy plebejskim. Społeczeństwo takie wszędzie ceni tych, którzy o własnych siłach dobijają się czegoś. ,,Self-made-man'' nie jest ideałem arystokracji, jest ideałem plebsu. Wybraństwo bogatych mogło się było przyjąć tylko w świecie plebejskich dorobkiewiczów.

Zauważmy, że majątek sam przez się nie jest tu wartością. Staje się on wartością jako środek zdynamizowania działalności praktycznej. Młody rentier, bogaty ,,playboy'' to nie są ideały Amerykanina. Człowiek może być bardzo bogaty, ale jeżeli nic nie robi, jeżeli jest tylko konsumentem — nie będzie szanowany. Jeżeli bogacz jest szanowany, to nie tyle ze względu na ilość jego milionów, ile ze względu na zakres działania, jaki wynika

z tych milionów. Jest to szczególnie uderzające w czasach ostatnich, gdy majątek z osobistego coraz bardziej staje się funkcjonalnym. Ideałem jest dziś ,,big executive'', ,,manager'', wielki organizator businessu. Rozmiar jego osobistego majątku ma tu podrzędne znaczenie. Istotne są rozmiary jego kierownictwa gospodarczego, wielkość i aktywność przedsiębiorstw, którymi kieruje, pozycja jego w świecie gospodarczym. Dawna heroizacja businessmana przeszła dziś w heroizację managera. Treść jednak jest ta sama : ideałem jest człowiek ekonomicznego działania i ideał ten sublimuje się w miarę tego, jak działanie rozszerza się i potęguje.

VI

Z kultu praktycznego działania płyną dalsze ważne konsekwencje. Jedną z nich jest antyintelektualizm. Cywilizacja ludowa z nieufnością odnosi się do teorii, do oderwanego myślenia, do tego wszystkiego, co — zdaniem jej — nie da się praktycznie zastosować.

Lat temu przeszło pięćdziesiąt uniwersytet Harvardzki postanowił stworzyć specjalny dział, poświęcony kształceniu businessmanów i zagadnieniom praktyki i teorii gospodarczej. Była to słynna Harvard School of Business and Business Administration. Projekt ten spotkał się z gwałtowną opozycją właśnie w świecie wielkiego businessu. Studia w takiej dziedzinie uznano tam za rzecz bezsensowną i niebezpieczną. Business jest sprawą praktyki, jak można się tego uczyć w szkole ? Harvard do businessu chce wprowadzić niebezpieczne teoretyzowanie. Czołowi wodzowie businessu z dumą powoływali się na własny brak wykształcenia. I w pierwszych latach istnienia szkoły jej wychowankowie mieli wielkie trudności ze znajdowaniem pracy. Dziś sprawa wygląda zupełnie inaczej : dyplom Harvard School of Business and Business Administration otwiera drogę do najwyższych stanowisk w przemyśle, handlu i bankowości. I znakomita ta szkoła nie waha się już nawet z wprowadzaniem pewnych przedmiotów teoretycznych !

Wypadek z Harvard School of Business and Business Administration jest wysoce pouczający. Zrodził go strach, że teoretyzowanie musi zaszkodzić praktycznemu działaniu. I dziś wciąż jeszcze studiująca młodzież amerykańska uważa przedmioty teoretyczne za próżną stratę czasu. Idzie się uczyć po to, by być lepiej usprawnioną w życiu praktycznym. Szuka faktów, szuka techniki, nie chce teorii.

Teorie do Amerykanina nie przemawiają. Chce faktów, nie zastanawiając się nad tym, że fakty, należycie niezanalizowane, wprowadzają go w błąd. Stąd też jego kult statystyki. Jego myślenie, myślenie człowieka cywilizacji masowej, jest kwantytatywne. Statystyka, liczby — oto co do niego przemawia.

Nastawienie Amerykanina jest czysto technologiczne. W tej dziedzinie jest on bezkonkurencyjny. Zarówno jako inżynier jak

i zwykły majster-klepka. Ale rozwój technologii amerykańskiej nie idzie w parze z pracami teoretycznymi, których użytkowość nie rzuca się wyraźnie w oczy. A że technologia bez takich prac obyć się nie może, przeto technologia amerykańska musi korzystać z owoców pracy innych. Było szczęściem dla Ameryki, że w czasie wojny ostatniej znalazło tu schronienie tylu znakomitych uczonych-teoretyków europejskich. Bez ich wkładu osiągnięcia amerykańskich inżynierów-technologów byłyby znacznie mniej imponujące.

Na amerykańskich zjazdach naukowych wciąż słyszy się słowa niepokoju z powodu zaniedbania prac teoretycznych. Ostrzega się, że wielki technologiczny postęp Ameryki może być przez to zatrzymany, zauważa się, że lekceważenie teorii może okazać się zgoła niepraktycznym.

Nie można powiedzieć, by wołania te nie znajdowały odgłosu. Jak jednak często trzeba przemycać badania teoretyczne, posługując się dla nich nazwą ,,praktyczną'' ! Nieufność Amerykanina dla rzeczy nieużytkowych, zwłaszcza — dla teorii i abstrakcji stawia w pracy naukowej wielkie przeszkody, które nie zawsze dają się przezwyciężyć.

Nie mniejsza jest nieufność do ludzi, których się określa jako intelektualistów. W Europie, w Azji, w Ameryce Łacińskiej za intelektualistów chętnie podają się ludzie, których kwalifikacje w tym kierunku wydają się mocno wątpliwe. Mówimy przecież po polsku o półinteligentach. W Stanach Zjednoczonych intelektualistami niechętnie nazywają się ludzie, najzupełniej do tej nazwy uprawnieni. Nie jest to dobra nazwa.

Wilson był pierwszym i jak dotąd jedynym autentycznym intelektualistą, który stał się mieszkańcem Białego Domu. W obu jego kampaniach wyborczych zarzut intelektualizmu był ostro stawiany przeciwko niemu. Franklin Delano Roosevelt ośmielił się na zrobienie wyłomu w tradycji amerykańskiej, powołując jako swych doradców cały szereg intelektualistów (słynny brains-trust). Przeciwnicy jego aż po dziś dzień mu to wypominają. Eisenhower poszedł po linii tradycji : otoczył się businessmenami.

W historii Stanów Zjednoczonych nieraz powtarzały się całe prądy antyintelektualistyczne. Taki charakter miała np. głośna w dziejach Ameryki ,,know-nothing party''. W naszych czasach McCarthyzm był przede wszystkim skierowany przeciwko intelektualistom. Antykomunizm był tu raczej momentem ubocznym. Służył do wykazania, że intelektualiści są komunistami. I to trafiało do przekonania zwolenników senatora z Wisconsin. Człowiek wykształcony jest zawsze podejrzany. Nie jest on taki, jak ja i mój sąsiad. Jest skłonny do heretyckich idej.

I jeszcze jest jeden ważny moment w tych postawach wrogich intelektualistom. W cywilizacji, która jako zasadniczą wartość stawia sukces, mierzony w dolarach, intelektualista nie może zajmować uznanego stanowiska. Z punktu widzenia panujących ocen społecznych bardzo rzadko bywa on człowiekiem sukcesu.

Wyniki, jakie osiąga przez swą działalność ekonomiczną, są bardzo skromne i zgoła niewspółmierne do jego pretensji do społecznego prestiżu. Bardzo powoli i raczej niedawno intelektualista amerykański zdołał na tyle wzmocnić swój prestiż, że zaczęto mu darowywać niepowodzenia materialne. A i to głównie dzięki temu, że zaczęto zdawać sobie sprawę ze znaczenia dla businessu i życia praktycznego pewnych badań naukowych i technologicznych.. W każdym razie autorytet społeczny profesorów uniwersytetu (szczególnie humanistów), pisarzy, artystów (gwiazdy filmowe — rzecz jasna — należą do świata Sukcesu!), nauczycieli — jest wciąż bardzo mały.

Z podobnymi postawami spotykamy się w każdej cywilizacji ludowej. Chłop wszędzie odnosi się do inteligenta z nieufnością czy lekceważeniem. ,,Co z tego, że uczony, kiedy goły'' — takie powiedzenie sam nieraz w Polsce słyszałem z ust ludowych. Folklor każdego kraju wykpiwa ludzi uczonych, intelektualistów czy inteligentów, jako istoty niepoważne, śmieszne, gadające bzdury. Gdy zaś inteligent zabiera się do rzeczy praktycznych, to tylko ośmiesza się, nie potrafi zrobić tego, z czym tak łatwo daje sobie radę człowiek nieuczony. Śmieszność intelektualisty płynie stąd, że użyteczność jego nie mieści się w sferze doświadczeń i potrzeb społeczności ludowej.

W społeczeństwie amerykańskim tego rodzaju postawy znalazły doskonałe warunki dla stania się poniekąd oficjalną doktryną. Ale w cywilizacji technologicznej są one nie do przyjęcia. Cywilizacja ta nie może się obyć bez ludzi wykształconych. Co więcej — musi ich mieć jak najwięcej. Tak sprawa wygląda od strony obiektywnej. Ale intelektualista jest tu bardziej potrzebny jako specjalista, jako ekspert w konkretnej dziedzinie, a nie jako człowiek zainteresowań uniwersalnych, humanista. Stąd zaczyna się cenić tylko specjalistę, zwłaszcza ze specjalnością dającą powodzenie materialne. Tradycyjnie jednak zachowuje się nieufność i nieżyczliwość wobec intelektualisty jako intelektualisty, wobec człowieka, dla którego celem i radością są jedynie procesy twórczości duchowej.

Następstwem tego jest osamotnienie intelektualistów w społeczeństwie amerykańskim. Nie mają oni autorytetu, jakiego pragną. Trudno im znaleźć wspólny język ze społeczeństwem. Nie jest rzeczą przypadkową, że tylu pisarzy i artystów amerykańskich osiada w Europie, że Paryż od lat stał się amerykańską kolonią kulturalną. Nie jest też rzeczą przypadkową, że filozofie radykalne znajdują dla siebie teren w świecie intelektualistów amerykańskich. Komunizm w Ameryce nigdy nie był prądem ludowym. Był on typowym zjawiskiem inteligenckim. I od tej strony antyintelektualistyczna akcja McCarthy'ego ma pewne uzasadnienie. Wśród intelektualistów amerykańskich nieraz spotyka się odludków, ludzi ,,emigracji wewnętrznej'', escapistów, ludzi estetyzujących, zamkniętych we własnym światku, unikających szerszych kontaktów. Alkoholizm i inne formy nar-

komanii nie są tu wyjątkowymi zjawiskami. Intelektualiście amerykańskiemu bardzo jest trudno przystosować się do własnego społeczeństwa.

VII

Ideologia sukcesu osobistego i ideologia praktycznego działania stworzyły swoisty sposób patrzenia na pracę i odpoczynek. Tradycje purytańskie odegrały w tym wybitną rolę. Praca jest celem życia, bezczynność — grzechem. Sabat jest dniem poświęconym Bogu.

Ale taka filozofia — typowa dla starej Ameryki — nie mogła się utrzymać w wielkomiejskiej cywilizacji industrialnej. Życie poczyniło w niej korektywy. Odpoczynek został uznany za właściwy i nawet potrzebny, gdy spostrzeżono, że przyczynia się do podniesienia wydajności pracy. Jest potrzebny nie jako cel, ale jako środek. I stopniowo Amerykanin, zachowując w systemie swych wartości prymat pracy, przyjął ideę wywczasów i wczasów. Ba, stworzył cały szereg kolosalnych przemysłów, których zadaniem jest służenie wywczasom. Przemysły te ze swej strony są żywo zainteresowane w tym, by Amerykanin odpoczywał. Przemysł automobilowy, telewizyjny, radio, płyty gramofonowe, hotelarstwo, kolejnictwo — oto tylko kilka przykładów roli gospodarczej odpoczynku w ekonomice amerykańskiej.

Dzisiejszy Amerykanin odpoczywa i bawi się. Ale i w tym wypowiadają się zasadnicze cechy całej cywilizacji. Amerykański odpoczynek prawie nigdy nie ma charakteru kontemplacyjnego. Jest zawsze aktywny, ruchliwy. Amerykanin wsiada do auta i jedzie. Jedzie setki i tysiące mil. W ciągu dwóch tygodni stara się zobaczyć, czy raczej objechać, jak najwięcej. Zadowolenie daje mu sam ruch, maksymalna ilość miejsc, przez które przejechał i przy których na chwilę się zatrzymał. Idea spędzania dłuższego czasu na jednym miejscu jest mu raczej obca.

Najchętniej odpoczywa w towarzystwie. Raczej — w gromadzie. Bawi się wtedy hałaśliwie, dziecinnie, dużo pije, dużo śmieje się. Albo odwrotnie — odpoczywa w osamotnieniu przed aparatem telewizyjnym. A i wtedy pociąga go ruch na ekranie, akcja, awantura. Zresztą telewizja jest czymś nowym i wciąż trudno jest przewidzieć, jakie zmiany wprowadzi ona do obyczajów amerykańskich. Że będą to zmiany bardzo duże — to pewne.

Nie tu miejsce na wyczerpujący opis amerykańskich wywczasów. Przy całej różnicy form zewnętrznych i środków technicznych, zabawa amerykańska w swej treści nie odbiega od zabaw, z jakimi na całym świecie spotkać się można w zbiorowiskach ludowych. Są to wywczasy, w których momenty intelektualne, momenty refleksji myślowej i rozmowy odgrywają bardzo małą rolę.

Ameryce nie znane jest spędzanie czasu na konwersacji, na intelektualnej rozmowie, na swobodnej i żywej wymianie myśli w gronie przyjaciół. To wielkie osiągnięcie salonów i kawiarń

starej Europy było obce Stanom Zjednoczonym na całej przestrzeni ich dziejów.

Prawda że w kolonialnej Ameryce było coś w rodzaju salonów. W eleganckich domach spotykali się gentlemeni i damy, by rozmawiać. Jeszcze dłużej przetrwało to na plantacjach Południa. I tam prowadzono inteligentne rozmowy. I jeszcze na początku wieku XIX w New Yorku były kawiarnie w stylu kontynentalno-europejskim.

Szybko jednak ślad po tym wszystkim zaginął. Zakwitły ,,kafeterie'', gdzie miliony ludzi w błyskawicznym tempie pochłaniają standardowe, na masowy użytek spreparowane potrawy. Stanom Zjednoczonym kawiarnie typu kontynentalno-europejskiego, południowo-amerykańskiego czy azjatyckiego nie są znane. Nie ma na nie miejsca. Nikt tu nie będzie siedział przez kilka godzin, żeby czytać gazety i rozmawiać ze znajomymi. Próby Europejczyków transplantowania na teren amerykański kawiarń europejskich kończyły się żałośnie.

I nikt tu nie słyszy o salonach — politycznych, literackich czy artystycznych. Oczywiście istnieje życie towarzyskie: przyjmuje się gości, urządzane są ,,parties''. Brak jednak jest rzeczy najważniejszej — tej, która tak uprzyjemniała życie w dawnej, dziś już umierającej Europie — intelektualnej rozmowy.

W tym być może przyczyna, dla której szerszy dialog jest słabą stroną powieści amerykańskich, nawet najlepszych. Pisarz amerykański nie przeszedł przez szkołę swobodnej, wytwornej, dowcipnej wymiany myśli w niewielkim zespole ludzkim. I nie mógł jej odtworzyć w literaturze, bowiem nie znalazł jej w życiu.

VIII

Rzeczy, o których dotąd była mowa, dalekie są od dania pełnego obrazu cywilizacji amerykańskiej. Jak wszystko, co ludzkie, jest ona pełna sprzeczności i bogata w konflikty. Zdaje mi się jednak, że momenty poprzednio poruszone są dla tej cywilizacji szczególnie doniosłe i że właśnie one ilustrują jej ludowy czy plebejski charakter. Ale jest jeszcze jeden moment, który jest poniekąd syntezą poprzednio omówionych momentów.

Jest to cywilizacja bardzo dynamiczna. I jak każda dynamiczna cywilizacja, która może szczycić się swymi sukcesami, jest to cywilizacja wiary w postęp. Inaczej — jest to cywilizacja optymistyczna.

I znów nie wynika z tego, by Ameryce obce były czasy zwątpień, upadku ducha, nawet — paniki. Nie brakło ich w dziejach Ameryki. Zasadniczy jednak ton stanowi optymizm, wyrażający się w wierze w ciągły postęp.

Jest to cywilizacja z siebie zadowolona. Ma ona ufność w swoje siły i możliwości — co znów jest bardzo charakterystyczne dla zbiorowisk ludowych. Ufność ta ma zresztą obiektywne uzasadnienie: osiągnięcia Ameryki są rzeczywiście zdu-

miewające. Czyż był w historii naród, który mógł się wykazać czymś podobnym? W ciągu zaledwie stu pięćdziesięciu lat prymitywna, kolonialna, słabo zaludniona Ameryka przeobraziła się w dzisiejszą potęgę, w kraj, który w zakresie swych osiągnięć przoduje całemu światu.

Słowem — Ameryka była wielkim sukcesem. Amerykańska popularna teologia widzi w tym dowód łaski Bożej. Ameryka jest krajem wybranym przez Boga dla potwierdzenia i wzmożenia Jego chwały. Stąd płynie amerykański mesjanizm, wiara w dziejowe posłannictwo Ameryki, jako narodu, który dla reszty świata ma być wzorem i inspiracją. Bez uwzględnienia istnienia tego mesjanizmu nie można zrozumieć całego szeregu posunięć Ameryki na arenie międzynarodowej, posunięć zarówno bardzo zasadniczych jak i drobnych.

Jak dotąd mesjanizm ten zgodnie idzie w parze z izolacjonizmem. Nie ma tu konfliktu, przeciwnie — jedno uzupełnia drugie. Nie jest to bowiem mesjanizm wojowniczy, agresywny, zaborczy. Amerykanin wierzy, że kraj jego jest wybrany. Nie sądzi przy tym, aby inne kraje również mogły być narzędziami łaski. Bóg zrobił ścisłą selekcję. Amerykę spotkało wyróżnienie, na które zresztą zasłużyła. Ale człowiek sprawiedliwy i wybrany nie powinien innym narzucać swego szczęścia. Byłoby to nawet nie zgodne z wolą Boga. Będąc jednak wspaniałomyślnym, człowiek wybrany powinien innym pomagać, kierować ich kroki na właściwą drogę, dawać im przykład i naukę. Mesjanizm amerykański w stosunkach światowych jest wciąż bardziej kaznodziejskim i filantropijnym, niż agresywnie politycznym. Wspaniałomyślność amerykańska, która nieraz przybiera tak wielkie rozmiary i tak wzruszające formy, wypływa z tego źródła.

Bóg sprzyja swemu wybrańcowi. Darzy go powodzeniem. Dotychczasowe sukcesy były porywające. Czy wolno nam przypuszczać, że przyszłe będą mniejsze?

I tu występuje cecha, której nie uda się odnaleźć w tradycyjnych wiejskich cywilizacjach ludowych. Ufność w siebie — tak, ale nie wiara w stały postęp. Społeczeństwo ludowe jest statyczne, nieufnie odnoszące się do zmian, nie szukające ich, nie wierzące w postęp.

Nie można tego powiedzieć o społeczeństwach plebejskich. Są one ruchliwe i dynamiczne. Stale w nich zachodzą daleko posunięte przewarstwienia. Ludzie z tych środowisk dzięki temu, że wypadają z dawnego statycznego i tradycyjnego świata, szukają awansu osobistego i najczęściej znajdują go w sukcesie materialnym. Jest to świat parweniuszowski, świat nowobogackich, świat Geldhabów. W ludziach tego świata powodzenie rodzi optymizm i wiarę w przyszłe sukcesy. Inaczej, są to środowiska wiary w postęp.

Społeczeństwo amerykańskie jest społeczeństwem dorobkiewiczów — historycznych i ekonomicznych. Wiarę w siebie racjonalizuje. Taką racjonalizacją jest filozofia postępu.

Filozofia ta znajduje dla siebie wyraz w popularnym wyra-

żeniu ,,bigger and better''. Nowe musi być lepsze, musi być większe i musi go być więcej. Przede wszystkim jednak musi być nowe. Kult przeszłości — cecha starych, żyjących tradycją społeczeństw — dopiero od niedawna w Ameryce zaczął odgrywać istotną rolę. Było to następstwem krzepnięcia poczucia narodowego, dojrzewania Ameryki jako narodowości. A i stosunek do przeszłości nie jest czysto kontemplacyjny i obrzędowy. W przeszłości widzi się rękojmię przyszłości. Znajduje się w niej uzasadnienie wiary w dynamizm Ameryki, dowody wybraństwa ojczyzny.

Taką wiarą w postęp żyją pokolenia Amerykanów. Jest w niej pewność rodziców, że dzieciom będzie lepiej i że wnukom będzie jeszcze lepiej. Wiara ta jest nieraz lekkomyślna. Amerykanin spekuluje na przyszłość. Nie waha się robić ryzykownych inwestycji, gdyż jest przekonany, że ostatecznie muszą one dać dobre wyniki.

Wielki Kryzys roku 1929 wiarę tę podważył i przyniósł falę pesymizmu. Wstrząs psychiczny był wtedy nie mniejszy od wstrząsu materialnego. Ale kryzys skończył się. Po nim przyszły długie lata dobrobytu, trwające po dzień dzisiejszy. I Amerykanin znów stał się optymistą.

Ale taki optymizm kryje w sobie niebezpieczne momenty. Amerykanin nie ma wątpliwości, że świat, w którym żyje i który rozwija, jest najlepszy z możliwych, że Ameryka przoduje zawsze i we wszystkim i że nie przodować nie może. Stąd wiadomości, że jakiś kraj wyprzedza Amerykę, zwłaszcza w dziedzinie, którą Ameryka uważa za szczególnie własną, wywołuje zdumienie, niedowierzanie i oburzenie. Przeciętny Amerykanin jest pewien, że Sowiety swe osiągnięcia w zakresie bomby atomowej i lotnictwa zawdzięczają wyłącznie wykradzeniu tajemnic amerykańskich. Ale po co mówić o Sowietach ! Przeciętny Amerykanin z największym niedowierzaniem przyjmuje wiadomości o zdobyczach technologii w takich krajach, jak Anglia, Szwecja czy Szwajcaria Ma jednak szacunek dla Niemiec i nie dziwi się zdobyczom niemieckim.

Taka ślepa wiara we własny postęp może być bardzo niebezpieczna dla samego postępu amerykańskiego. Niedowierzanie innym, nadmierna ufność w siebie — oto co prowadzi do rutynizacji i zatrzymuje rzeczywisty postęp. Pewna doza pesymizmu na pewno przyniosłaby korzyść Ameryce. Ale pesymizm jest cechą cywilizacji starych i arystokratycznych. Ameryka jest wciąż cywilizacją młodą i plebejską.

IX

Inteligent europejski, którego umysłowość i nawyki kształtowały się w okresie międzywojennym czy wcześniej, może mieć największy podziw dla cywilizacji amerykańskiej, ale nie czuje się w niej swojsko.

W okresie, gdy Stany Zjednoczone były celem masowych emigracji, panowała legenda o Ameryce jako kraju obiecanym. Była to legenda par excellence ludowa. Ameryka nie pociągała inteligencji europejskiej. Intelektualiści europejscy, którzy ją wtedy odwiedzali, zazwyczaj mówili o niej dość sarkastycznie. Wystarczy powołać się tu na Dickensa, Sienkiewicza czy Kiplinga. Ba, nawet Bryce — ten wielki badacz Ameryki — nie ukrywał swej dezaprobaty dla wielu rzeczy, które tu znalazł. I jego raził ten brak atmosfery dobrego wychowania i zainteresowań intelektualnych, jaka cechowała jego Anglię.

A i dzisiejsze nastroje wrogie Ameryce zdają się głównie — jeżeli nie wyłącznie — występować w środowiskach inteligenckich. Z tej strony wychodzą zarzuty zmaterializowania, uniformizmu, babbittyzmu.

Większość tych zarzutów polega na nieporozumieniu. Często wynikają one z prostej nieznajomości spraw amerykańskich. Ale są one bardzo charakterystyczne. Są to zarzuty ludzi, mocno związanych z określoną kulturą i nie zdolnych do przyjęcia kultury innej. Bardzo wątpię, by zarzuty takie mogły naprawdę przemówić do europejskich mas ludowych. W gruncie rzeczy — jak sądzę — to, czego masy te pragną, jest właśnie to, co spełnia się w Stanach Zjednoczonych.

Ameryka jest pierwszym w dziejach nowożytnych przykładem powstania i rozwoju cywilizacji plebejskiej. Czy jednak rozwój tej cywilizacji kończy się na Ameryce? — Jest to bardzo wątpliwe.

W rzeczywistości w warunkach znacznie trudniejszych i bardzo bolesnych cywilizacja ta zaczyna dochodzić do głosu na całym świecie. Jest to nieuniknione następstwo rozkładu tych cywilizacji, które powstały w erze feudalizmu. Ludzkość plebeizuje się i ten proces plebeizacji staje się coraz szybszym i wszechstronniejszym. Obojętne jest przy tym, jak się ten proces nazywa — demokratyzacją, zrzucaniem jarzma kolonializmu, czy jeszcze inaczej.

Często jednak mówi się tu o ,,amerykanizacji''. Mówi się o stosowaniu metod amerykańskich, techniki amerykańskiej, amerykańskich form masowego oddziaływania. Ale pod nazwą tą kryje się coś znacznie więcej. Oznacza to, że świat przetwarza się w tym kierunku, jaki od stulecia wybrała Ameryka. Stany Zjednoczone dostarczają tu jedynie gotowych wzorów, ale sam proces odbyłby się i bez ich udziału.

To jest bodaj zasadniczy fakt w dziejach kulturalnych naszego świata. Stąd wywodzą się nowe systemy wartości i nowe metody działania. To przetwarza literaturę i sztukę, i to zmienia filozofie.

Zmiany te najciężej odczuwają intelektualiści starszej generacji. Intelektualista w swych przekonaniach politycznych, społecznych, filozoficznych czy religijnych może być skrajnym radykałem i nowatorem. W swej konstrukcji psychicznej jest konserwatystą. Albowiem jest spadkobiercą dawnej cywilizacji. Jego

zadaniem jest być kontynuatorem wielkich tradycji kulturalnych. Intelektualista jest produktem przeszłości i żyje w przeszłości, i to nawet wtedy, gdy cała myśl jego i wysiłki są skierowane w stronę przyszłości.

I dlatego sytuacja inteligenta starszej generacji jest dziś tak trudna. I to nie tylko w Ameryce. Choć w Ameryce jego osamotnienie i obcość wobec istniejącej cywilizacji muszą być szczególnie wielkie.

Zdaję sobie sprawę, że po tylu latach życia w Ameryce nie doszedłem do duchowego utożsamienia się z cywilizacją amerykańską. Czuję się w niej samotnie i obco. Czy jednak czułbym się dużo lepiej w każdym innym kraju, w którym dziś zachodzą tak wielkiej przemiany? — Wątpię. Ja i ludzie mego pokolenia urodziliśmy się w niewłaściwym czasie. Jak w niewłaściwym czasie rodzi się i dojrzewa każda generacja intelektualistów, której sądzone jest żyć w epoce wielkich przewrotów kulturalnych. Tak kiedyś musiał czuć Boecjusz, gdy pisał swe ,,De consolatione''...

Wiem jednak, że cywilizacja ta — choć obca mi — jest wielka i pełna rozmachu. I jej może zawdzięczam tę dozę optymizmu, która każe mi wierzyć, że cywilizacja ta stworzy wielkie wartości, które wzbogacą dorobek duchowy człowieka. Nie przyjdzie to łatwo ani prędko, ale dzieje uczą nas cierpliwości. Lat tysiąc bez mała musiało upłynąć zanim okazało się, że Boecjusz nie żył nadaremnie.

Aleksander HERTZ

Amerykańskie ścieżki

,,Czy pan będzie pisał o swojej podróży?''. Słyszałem to pytanie chyba ze sto razy podczas mojej trzymiesięcznej wędrówki po Ameryce Południowej, gdzie przecwałowałem przez Brazylię, Urugway, Argentynę, znowu Brazylię, i jeszcze na dodatek — Wenezuelę.

Taka podróż pod batem w krajach, o których tyle tylko wiedziałem, że istnieją, cały świat wrażeń, miliony twarzy, przepyszna natura, ludzie którzy stawali mi się przyjaciółmi wtedy właśnie kiedy już trzeba było ruszać dalej — cóż za idealna pożywka dla bystrego dziennikarza. A przecie na zapytanie czy będę pisał, nie wiedziałem co odpowiedzieć, bo od pierwszej chwili czułem, że reaguję nie tak, jak sam oczekiwałem : to niezręcznie, to obok, to zupełnie głucho. ,,Morze jak morze'' — mówiłem sobie znudzony chodząc po pokładzie i zażywając Dramaminę przeciw mdłościom. Nie wiem jednak czy te mdłości miałem od morza — było prawie spokojne, czy z lektury artykułów o plastyce w zabranych ze sobą ,,Przeglądach Kulturalnych'' (między innymi dyskusja jak ma wyglądać *antywojenna* ,,martwa'' i *antyfaszystowski* ,,akt''!), czy od tych głupich ,,chrztów'' na równiku, które mnie tylko irytowały. Tego wszystkiego nie umiałem zobaczyć, co zdawało mi się że widzieć i przeżyć powinienem, ale czyż tak nie było ze mną zawsze — kiedyś, w 1920 roku, zostałem zwymyślany przez mego dowódcę szwadronu, bo nie zauważyłem przed przeglądem, o który pułk dbał specjalnie, ogromnej futrzanej papachy, którą jeden z żołnierzy mojego plutonu zdarł z bolszewika i nałożył sobie na głowę zamiast czapki ułańskiej — za to niektóre spotkania, nikłe asocjacje, ciągnęły za sobą taki świat wspomnień, że samo wrażenie pierwsze ginęło jak blady nadruk.

Odciąć te wspomnienia ? Ale pozbawione tła i korzeni dawnych doznań moje wrażenia zdawały mi się suchsze i do tego mniej ściśle niż pierwszy lepszy artykulik we ,,France-Soir'', gdzie przygodny dziennikarz podaje nam w paru wierszach bar-

wę ziemi i gatunek drzew w Antsirabé dokąd go na dwa dni zaniosła wizyta generała Catroux u Ben Jussefa.

Gorzej jeszcze: na początku podróży miałem wrażenie, że już nie jestem zdolny do świeżych reakcji. Wiek? Już za dużo tłukłem się po świecie i za ostro czuję przemijanie.

Zobaczyć naprawdę, to zawsze mieć na nowo uczucie *jedyności* przeżycia. Cézanne, już stary, mówił do Emila Bernard, że malarz widzi naturę dopiero wtedy kiedy ma wrażenie, że on jest pierwszym, który ją widzi: *Il faut voir la nature comme si personne ne l'avait vue avant nous.*

Ileż lat temu ruszaliśmy z Krakowa wczesną wiosną z Zygmuntem Waliszewskim po okropnych drogach kieleckich do Kazimierzy Wielkiej na pejzaż. Waliszewskiego lata późniejsze wyniosły wysoko, stał się on malarzem, którego klasa malarska i wpływy dominowały w mojej generacji i dotychczas wpływ ten istnieje w Polsce nawet pod socrealistycznym gwałtem. Jechaliśmy więc wozem chłopskim, czwórką, i coraz to trzeba było wysiadać i iść ścieżką przydrożną. Konie grzęzły w płynnym, czekoladowym, chwilami, aż zielonkawym błocie. Pola w ostrej wiosennej zieleni, strumyki, okolone wierzbami, skowronki, i tak idąc coraz to szturchaliśmy się wzajemnie: »Patrz, ,,Malczewski'', ,,Van Gogh'', Gauguin'' czy nawet ,,Stachiewicz«. I sami z pasją odrzucaliśmy od siebie ten nacisk i nawał dobrych i złych reminiscencji. Dopiero po dniach pracy upartej nad jednym pejzażem, odkrywaliśmy *jedyność* otaczającego świata, zapominaliśmy o naszych mistrzach, a także o malarzach tanioobrazkowych — postrachu naszej młodości.

Dziś jechałem nie wozem po błocie kieleckim, ale statkiem włoskim, potem samolotami francuskimi czy amerykańskimi, ale tak samo jak wtedy tylko silniej jeszcze zaczynałem od nawarstwienia wspomnień, dawało mi to poczucie starszej bezsilności. I nie było pejzażu, ani nie było spotkania, przy którym mogłem się zatrzymać, by się ,,wpracować'' jak trzydzieści lat temu w pejzaż kielecki, bo musiałem gnać dalej i dalej.

Wrażeń zewnętrznych było coraz więcej, ale pod nimi, poprzez nie, nie przestawały się wyrysowywać inne obrazy, już zdawało mi się, dawno zgasłe. Rysowały się na tyle ostro i uporczywie, że wrażenia ostatnie, bezpośrednie blakły lub wrastały w tamte najdawniejsze — powstawał nowy obraz, *nowy deseń,* do niczego niepodobny.

I wtedy pomyślałem, że może tylko tak mogę o mojej podróży coś opowiedzieć. Wcale nie to czego ode mnie oczekują przyjaciele z Ameryki, czy redaktor ,,Kultury''. W malarstwie jestem do tego przyzwyczajony, ileż moich przyjaciół ,,bolą zęby'' na widok moich obrazów. Ilu z nich mi wymyśla, że z Marsylii przywożę ,,Ślepą'', przy szpetnym zielonym stoliku kawiarnianym, a nie ,,Vieux Port''; że w Paryżu maluje brudne schody na Gare Saint-Lazare, i nawet w Polsce, w okresie radosnej twórczości i C.O.P.'u, jedno z moich głównych płócien to była najmizerniejsza ,,obojętna'' stacja wąskotorówki w Ot-

wocku. Ale żeby naprawdę opisać te nowe nawarstwione desenie czy znajdę słowa, czy potrafię w sieć tych słów zagarnąć tyle zwierza, czy potrafię powiązać wrażenia plus myśli, plus wspomnienia, zmieszać czas i nie zgubić się w całości? A przecie to dla mnie jedyne wyjście poza pośpieszny, powierzchowny tylko, reportaż.

Może najostrzej to podwójne widzenie (wrażenie plus wspomnienia) ścigały mnie na początku, na statku. Jechało ze mną wielu Niemców, spotkałem paru sympatycznych, kochali Schuberta i Schumana, jeden mówił mi o dziełach Böhmego i Angelus Silesiusa, drugi cytował Schillera. Nie umiałem nie stawiać sobie pytania co robili, czym byli w latach 1939-1945, *kiedy* się dowiedzieli, że tuż przy Weimarze Goethego w krematoriach palono Polaków, Żydów, Cyganów. Czyż naprawdę, jak mi opowiadała miła pani o siwych włosach, zajmowali się namiętnie ,,jak od czterdziestu lat'' tylko muzyką kameralną nawet w bombardowanym Monachium?

Tak samo w Argentynie: kiedy dwa dni po moim przyjeździe wybuchła rewolucja i coraz to słuchałem oceny sytuacji czy uwag psychologicznych, nieraz zadziwiająco naiwnych, czyż mogłem nie myśleć równolegle o 17-ym roku przeżytym w Piotrogrodzie? Czułem się prawie tak samo sceptyczny i ,,zgorszony'' jak ci dwaj sowieciarze, którzy wtedy właśnie zwijali wystawę techniki sowieckiej w Buenos Aires i orzekli: ,,Kraj w którym dwa dni robi się rewolucję, a na trzeci idzie się do kina, jest dla nas niezrozumiały''. I ja wtedy, jak i oni, przykładałem kategorie zza morza do innej rzeczywistości.

A potem jeszcze: kiedy jadąc przez dziką puszczę, albo sawannę-step, z Caracasu nad Orinoko z dwoma przyjaciółmi konstatowałem nagle, że przez dosłownie parę godzin przestaliśmy widzieć świat nas otaczający, jeden z najegzotyczniejszych, jaki mi się w życiu widzieć zdarzyło. Dlaczego? Bo jeden z moich przyjaciół opowiadał jak w jego obecności suchotnikom w Mauthausen, przeważnie młodym chłopcom, zastrzykiwano śmierć. Musieli oni jeszcze po zastrzyku, w przeciągu 20 sekund, które im pozostawały do życia, sami biec do trupiarni. By zaoszczędzić trudu wynoszenia trupów SS'om? Chyba nie, bo byli na to inni więźniowie, wprost po to, żeby jeszcze te ostatnie dwadzieścia sekund ci ludzie przeżyć musieli w grozie. Drugi zaś mój towarzysz opowiadał w szczegółach jak to w Oświęcimiu dziwny Niemiec, również więzień, a wówczas Kapo, chytrością, humorem, pomysłem, szaloną śmiałością uratował życie nie wiadomo ilu Polakom, stokrotnie narażając własne. Nagle uświadomiliśmy sobie wszyscy trzej ilu ludzi zupełnie takich samych jak my... Dlaczego my właśnie łupimy Packardem po szosie budowanej przez dyktatora wśród bezludnych zielonych gór i niedostępnych dla nas gąszczów puszczy tropikalnej, przez wioski nędzne z ubitej gliny, czy obok samotnych w pustej sawannie szałasów (dach z liści kukurydzy na chudych palach), pod którymi stara Indianka z gołymi dziećmi i włochatymi brą-

zowymi w czarne łaty prosiakami na zapytanie czy boi się dzikich zwierząt, węży, odpowiedziała nam z niecierpliwością, że takich w ogóle tu nie ma, a boi się tylko tych przeklętych aut, które jej kury duszą.

Jeszcze na statku myślałem sobie czy przeżyć Amerykę tylko jako środek do rozpętania wspomnień, do powrotu myślą w przeszłość?

Ale pierwsze wrażenie Ameryki: Rio! Malowniczość tyle razy opisywana, fotografowana — zobaczona po raz pierwszy, robi przecie wrażenie niesamowitej niespodzianki. Przepych żywiołowy, wiecznie wiosennej wdzierającej się zewsząd natury, znów nieoczekiwanej urody; ludzie na ulicach o bogactwie typów, ilości odcieni, barwy skóry niespotykanej przeze mnie nigdzie — wszystko to razem dało mi szok tak silny, że znowu jak kiedyś na wsi kieleckiej zacząłem widzieć świat nowy, jakby przez nikogo przede mną nie zobaczony.

Więc cóż ostatecznie zobaczyłem? Amerykę? Amerykę mojego wyobrażenia. *Die Welt, als meine Vorstellung,* świat nie tylko niepodobny do Europy, ale i do wszystkich innych Ameryk, już opisanych — *moją* Amerykę, Amerykę mojej, jakże pobieżnej, obserwacji, zachwytu i przeczucia.

Jeszcze jedna wątpliwość. Mówią, że można pisać o kraju, w którym się było więcej niż dziesięć lat lub mniej niż sześć tygodni. Mam więc prawo — nigdzie nie zagrzawszy miejsca. Ale jakże łatwo wpaść w „rudych fryzjerów" (wszyscy fryzjerzy w Paryżu są rudzi — napisał pewien zagraniczny dziennikarz, który natrafił na dwóch rudych fryzjerów podczas tygodniowego pobytu w Paryżu). Myślałem już bez żadnej ironii o Dumasie i jego przysłowiowej klukwie (żórawina). Pisał pono po powrocie z Rosji, że pod cienistym drzewem, które się nazywa „klukwa" siedziała para, a u jej stóp biegały małe zwierzątka, które się nazywają „konià" i specjalny gatunek psów „sobaka". Teraz po stu latach wiemy tylko o przysłowiowej klukwie a nic o jego może bystrych uwagach o Rosji.

Jak łatwo, w notatniku, ciekawie dla cudzoziemca brzmiącą nazwę kwiatu czy drzewa pomieszać z tuż obok zapisaną nazwą wodza czy rzeki, i to wszystko grozi niejedną, a setką „klukw". Jeżeli przez kontrolę „fachowców" da się to może ominąć, trudniejsza i wprost niemożliwa jest ścisła kontrola informacji, ocen, nieraz wykluczających się wzajemnie a słyszanych z ust osób całkiem jakby wiarygodnych. Te oceny, poza tym co widzimy własnymi oczami, krystalizują nam obraz kraju. To sprawa instynktu komu wierzyć.

Moja ignorancja Ameryki Południowej, w chwili gdy tam wyjeżdżałem, była chyba prędzej typowa i dla tych mas, które dla Ameryki kraj swój porzucić muszą czy porzucić chcą.

Mam jeszcze w oczach ten długi pociąg na Gare de Lyon w 1948 roku nabity emigrantami z Europy Środkowej, wysyłany tam przez I.R.O. Starcy, dzieci, mężczyźni i kobiety w sile wieku. Miałem wrażenie, że z otwartych żył Europy wypływa

jej krew. Czy ci ludzie wygnani wiedzieli więcej ode mnie wyjeżdżając do Ameryki? A emigracje z krajów wolnych (do samej Wenezueli dociera około 500 emigrantów, przeważnie Włochów, tygodniowo)?

,,Paanie, ależ ja nawet nie wiedziałam gdzie na mapie ta Wenezuela'', opowiada mi Włoszka, która w Caracasie wyszła za mąż za Polaka. Ją też najdziwniejszymi drogami powojenne paszportowe absurdy zaniosły do Wenezueli.

Bez języka docierałem do autochtonów nie łatwo, przeważnie przez emigrantów, naturalnie przez Polaków przede wszystkim, z którymi spotykałem się wszędzie słuchając ich ocen najuważniej. Byłem tylko turystą, nie przechodziłem przez próbę zdobywania tam sobie miejsca pod palącym słońcem. Patrząc na tych ludzi, przeważnie już nie młodych, którzy musieli sobie tam budować życie od nowa, odruchowo pytałem jakimi drogami tu przyszli, ale wówczas jakże prędko rozmowa szła w innym kierunku, zapominaliśmy kraj który nas otaczał. Nigdy nie widziałem tak ostro, do jakiego stopnia sądy to apodyktyczne, uproszczone, to cieniowane i wnikliwe, są zwykle uzależnione od samopoczucia, sukcesów, porażek, najdawniejszych doświadczeń, czy urazów, jak przeważnie są projekcją naszych stanów. Jakże rzadko człowiek jest zdolny obserwując siebie, zapomnieć i naprawdę nasiąknąć nowymi wrażeniami bez uprzedzeń czy z góry powziętej od pierwszej chwili kształtującej widzenie teorii. Przecie Taine nawet *przedtem* konstruował teorię o narodach, o ich sztuce, a potem dopiero jechał do Włoch czy Anglii, by tam szukać argumentów i przykładów.

Jeżeli wśród ocen krajów Ameryki pozytywnych, a nieraz entuzjastycznych, o szybko nawet narastającym ,,patriotyźmie'' lokalnym (Rio czy Sao Paulo na przykład) spotkałem wiele też uwag niechętnych, skrajnie krytycznych, to pewnego dnia nagle i najlepiej zrozumiałem ukryte *dno* tych sądów w rozmowie z warszawianinem w Rio.

Jasne mieszkanko, pełne pamiątek z Polski, na półkach książki z Polski a na jedynym fotelu sterta paczek do Polski. Gdy się z okna wychylić widać z jednej strony migotliwy skrawek pysznej zatoki, a z drugiej nagi, prostopadły stok górski wrzynający się wprost w ulicę. A dalej wyżej *favelle* (*) murzyńskie w gąszczu drzew wszelakich kształtów i wszelakiej zieleni. Gospodarz mieszkania mówi mi, stojąc tyłem do okna: ,,Natura! Ależ panie, ona tu nawet nie jest wroga, ona jest wprost *obojętna*. Bo widzi pan u mojego ojca, w Skolimowie, był taki trawnik... koło tennisu. Za ten trawnik, proszę Pana, jabym oddał całą tę naturę i całą tę Brazylię''.

Jeszcze słyszę głos staruszki, pani Wańkowiczowej z Bobrujszczyzny, wymiecionej ze swego dworka przez rewolucję i za-

(*) Favella — skupiska murzyńskich drewnianych domków, które pną się wysoko w górę na skrajach miasta, a nawet tuż przy centrum. Ustawione jedne nad drugimi, z dykt, różnorakich deseczek, na cienkich słupach, wyglądają jak kupa starych, połamanych pudełek od zapałek.

mieszkałej w 1920 roku w Alejach Ujazdowskich, w nowym mieszkaniu, tuż przy Placu Św. Aleksandra. Słyszę jej śpiewną białoruską polszczyznę: ,,Ach panie, ta Warszawa! Tu i ludzie uobce i kraj uobcy i nawet kościół uobcy''.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej
. . . .
Piękniejszy kraj niż ten co w oczach stoi.
. . . .
Tam w pośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę wśród bujnej i wonnej trawy...

◆

Już od dawna zdawało mi się, że wszelka egzotyka przestała mnie pociągać. ,,Dlaczego jechać tak daleko — powiedział Renoir o Gauguinie, który wyjechał do Tahiti — jeśli tak dobrze można malować w Bagneux?'', a ja bym dodał: ,,i w Maisons Laffitte''. Biała deska ustawiona w kącie korytarza, drabina przystawiona do ściany, twarze w wagonie, wiozącym mnie na Gare Saint-Lazare — wystarczają. A przecie nie jeden raz w tej ostatniej podróży odczułem, jak kiedyś za młodu, radosny skurcz serca, jaki się ma przy zetknięciu ze światem nieoczekiwanej, obcej, naprawdę egzotycznej piękności.

Ouro Preto — to Wilno brazylijskie, pełne kościołów barokowych, miasto kiedyś dwusto- a dzisiaj dziesięciotysięczne w pustym kraju, porzuconym przez poszukiwaczy złota.

Pampa argentyńska, bezkresne pastwiska, a wśród nich wzorowy zakład dla setek trędowatych z ich opiekunką, polską Franciszkanką.

Orinoko — rzeka kajmanów, gdzie jeszcze, u jej źródeł, Indianie strzelają zatrutymi strzałami do białych, a bliżej jej ujścia, największy na świecie port przeładunku rudy żelaznej powstał na miejscu, gdzie pięć lat temu była jeszcze dzika puszcza.

Światy. Ileż rzeczy *różni* portugalską Brazylię, gdzie elementy indo-amerykański, afrykański i portugalski stworzyły całkiem specjalny skład etniczny, z Argentyną czy Urugwajem, które są prawie wyłącznie europejskie. Co ma wspólnego arcydemokratyczny Urugwaj, ten kraj spokojny, równinny, gdzie najwyższy szczyt ma 300 metrów z Wenezuelą, krajem wiecznego lata, śnieżnych szczytów, węży o ukąszeniu śmiertelnym i dyktatorów.

Jeżeli na zapytanie: ,,Czy pan będzie pisał?'' nie wiedziałem co odpowiedzieć na początku podróży, bo zdawało mi się, że tak mało mógłbym powiedzieć, to dziś, choć zrozumiałem że już życia mi nie starczy by wejść naprawdę w światy tego kontynentu, odpowiadam z zakłopotaniem, że choć skrawek tych wrażeń błyskawicznych, zazębionych o milion wspomnień, spróbuję opowiedzieć.

Józef CZAPSKI

Ceną kompromisu - nowa linia demarkacyjna

We wrześniu br. odbył się w Mediolanie międzynarodowy kongres socjologów i ekonomistów na temat „Przyszłość Wolności". Celem kongresu było zbadanie realiów gospodarczych i społecznych zarówno w świecie zachodnim jak w świecie sowieckim, w oderwaniu od wszelkich sloganów ideologicznych, aby mieć bardziej obiektywne podstawy do określenia szans wolności w obecnym rozwoju świata. Najlepsi eksperci zachodni od spraw sowieckich komentowali rozwój Z.S.S.R. od śmierci Stalina. Ekonomiści i socjologowie zastanawiali się nad możliwościami i groźbami rozwoju techniki. Delegaci z Azji i Afryki przedstawiali dylemat stojący przed ich krajami: uprzemysłowienie na modłę sowiecką, czy na wzór i z pomocą Zachodu. O krajach Europy środkowo-wschodniej nie mówiono wcale. Przerwał to milczenie Aleksander Weissberg-Cybulski, austriacki fizyk światowej sławy, długoletni komunista i założyciel sowieckiego instytutu fizyki doświadczalnej w Charkowie. Weissberg, aresztowany w Sowietach w okresie wielkiej czystki, i wydany przez N.K.W.D. hitlerowcom po pakcie Ribbentrop-Mołotow, zdołał zbiec i przebył lata wojenne w Polsce. Jego książka o wielkiej czystce „L'Accusé" (w niemieckim oryginale „Das Hexensabbat") słusznie uchodzi za najlepszy obraz życia sowieckiego. Weissberg-Cybulski posiada przy tym specjalny prestiż wśród ekspertów od spraw sowieckich, gdyż pierwszy zapowiedział, w kilka dni po śmierci Stalina, w artykule ogłoszonym na łamach „Preuves", że nie będzie w Rosji powrotu do jednoosobowej dyktatury. Jego plan uwolnienia Europy Środkowo-Wschodniej na mocy kompromisu jest całkowicie różny od wszelkich wysuwanych dotychczas koncepcji „liberation". Jako znawca Sowietów, jako człowiek który wielkie nadzieje pokłada w ewolucję demokratyczną świata komunistycznego, Weissberg-Cybulski nakreśla plan który leży w jego pojęciu zarówno w interesie świata zachodniego, jak i w interesie sowieckiego społeczeństwa. Weissberg kategorycznie

wyklucza możliwość wojny. Ale wyścig zbrojeniowy ciąży na gospodarce świata zachodniego, a w znacznie większym jeszcze stopniu na gospodarce sowieckiej. Zbrojenia utrudniają Sowietom podniesienie poziomu życia, do którego dążą teraz sowieccy przewódcy, i hamują proces liberalizacji, który będzie konsekwencją wyższego poziomu życia. Jak położyć kres wyścigowi zbrojeń? Takie jest główne pytanie, na które starał się odpowiedzieć Weissberg-Cybulski na mediolańskim kongresie. Nigdzie nie opublikowane, wystąpienie to zostało specjalnie udostępnione „Kulturze" przez Aleksandra Weissberg-Cybulskiego.

Ideolodzy dialektycznego materializmu w Rosji cytowali w latach trzydziestych dwie wypowiedzi Marksa:

„Filozofowie ograniczali się dotąd do tłumaczenia świata. Świat trzeba zmienić".

Oraz:

„Trzeba broń idei zastąpić ideą broni".

W latach po 1947 mężowie stanu Związku Sowieckiego postarali się wprowadzić w czyn te słowa Marksa, i to z nadzwyczajnym powodzeniem.

Wolny świat stoi po konferencji genewskiej przed następującym problemem: pod jakimi warunkami można zakończyć zimną wojnę i wkroczyć w okres prawdziwego współistnienia; nie dopuszczając jednocześnie do zagrożenia naszego stanu posiadania. Postaram się nieco wyjaśnić ten problem.

Celem każdej prawdziwej wojny jest pokój. Najczęściej, obie strony prowadzące wojnę dążą do zwycięstwa, które by im umożliwiło podyktowanie wrogowi warunków pokoju. Wojny na małą skalę kończą się czasem kompromisem. Wojna Izraela z Arabami i wojna koreańska mogą tu posłużyć za przykład. Dynamika nowoczesnej wojny światowej wyklucza taką możliwość. Ale czy istnieje szansa zakończenia tego jedynego w swoim rodzaju zjawiska które nazywamy „zimną wojną" i które w historii Europy nie ma bliższego odpowiednika od Kontynentalnej Blokady z okresu wojen napoleońskich, kompromisem i bez uciekania się do rozwiązania zbrojnego? Może nawet kompromisem korzystnym dla wolnych narodów? Te pytania wydają mi się godne zastanowienia.

W dzień kapitulacji Niemiec mówiłem w Łodzi z jednym z polskich przewódców komunistycznych, przyjacielem z lat młodości. Przebył on wojnę w Rosji i należał do tego kręgu ludzi, z których Stalin utworzył w Moskwie prowizoryczny rząd polski. W Łodzi powtórzył mi on rozmowę, która miała miejsce na Kremlu w roku 1944. W tej rozmowie Stalin miał powiedzieć: „Czerwoną Polskę przełkniemy, czerwone Niemcy nie".

W tych słowach tkwiło bez wątpienia sformułowanie jednego z celów tej zimnej wojny, którą rozpoczął Stalin przez zerwanie stosunków dyplomatycznych z rządem generała Sikorskiego po wykryciu masowego morderstwa w Katyniu. Ostrożnie i z wahaniem rozszerzy on później zakres swoich ambicji.

W zachodniej Europie stoją jeszcze miliony pod bronią. Obawia się amerykańskiej potęgi produkcyjnej, obawia się nowoczesnych broni... Ale staje się cud, wojsko zostaje zdemobilizowane, broń zniszczona lub oddana przyszłemu nieprzyjacielowi — Rosji i jej satelitom. Prekursor planu Marshala, U.N.R.R.A. robi wszystko, by umożliwić blokowi sowieckiemu powrót do pewnej równowagi gospodarczej i wzmocnienie zbrojeń. W Jałcie i Poczdamie rezygnują alianci zachodni z jakiegokolwiek wpływu na polityczne ukształtowanie Wschodniej Europy, bez żadnych kompensujących gwarancji.

Stalin otrzymuje w ten sposób prezent, którego się wcale nie spodziewał. Jako cyniczny realista, uznający tylko potęgę i przyjmujący że te same motywy kierują jego kontrahentami, wcale na to nie liczył. Ale natychmiast nastawia się na to, żeby najowocniej wykorzystać łatwowierność i polityczną krótkowzroczność Anglosasów. Czerwona Armia stoi na Elbie i na Ennsie. Odmawia zawarcia pokoju z Austrią,aby mieć pretekst do przeciągania okupacji Rumunii i Węgier. Pod bagnetami rosyjskich wojsk zaczyna się sprowadzanie Wschodniej Europy do wspólnego mianownika.

Polska jest najtrudniejszym kęskiem. Naród jednomyślnie nienawidzi obcego okupanta i jego quislingów. Układy jałtańskie zmusiły Stalina do przyjęcia niezależnych ludzi do nowego rządu polskiego. Otoczony agentami despoty, podejmuje Mikołajczvk w Warszawie bój o oswobodzenie swej ojczyzny. Osiemnaście miesięcy trwa nierówna walka. Cały naród stoi po stronie opozycyjnego Stronnictwa Ludowego. Przy plebiscycie pada tylko dziesięć procent głosów za rządem — dziewięćdziesiąt za Mikołajczykiem. Z pomocą tajnej policji ogłasza się dokładnie odwrotny rezultat. Zachodnie mocarstwa przyjmują to fałszerstwo milczeniem. Mikołajczyk opuszcza kraj.

W tym samym czasie Wyszyński i Anna Pauker tworzą w Rumunii rządy, które stają się coraz bardziej powolne woli mocarstwa okupacyjnego. Stary przewódca rumuńskich chłopów, Maniu, zostaje aresztowany. Wreszcie tajna policja otacza Zamek, izoluje młodego króla, zmusza go do kapitulacji i opuszczenia kraju.

Zamach stanu w Budapeszcie ogranicza się do wymiany telegramów z przebywającym w Szwajcarii premierem Nagy i sfałszowanej proklamacji jego powrotu. Prawdziwy układ sił w kraju został już wcześniej podany do wiadomości parlamentu poprzez aresztowanie i zamordowanie sekretarza partii ludowej, Kovacsa. Posłowie nie chcieli podzielić losu Kovacsa i ulegli żądaniom komunistów. Nieco później zlikwidowano większość partii ludowej w parlamencie poprzez terrorystyczne wybory. Proces Rajka, przypominający najlepsze tradycje moskiewskich procesów pokazowych, łamie opór elementów proletariackich.

W Bułgarii jeden z najszlachetniejszych ludzi tego kraju przypłaca własnym życiem to, że przeciwstawiał się przemocy

rosyjskiej równie bezkompromisowo jak przedtem przemocy niemieckiej. Ale morderstwo Petkowa budzi ducha oporu nawet w szeregach bułgarskich komunistów. Sam Dimitrow zostanie przez Rosjan odsunięty. Nie jest on już dostatecznie pewną rękojmią dla sowieckiego panowania.

W Czechosłowacji uciekają się Rosjanie do ulicznego powstania. Tam gra jest najniebezpieczniejsza. Prezydent republiki mógł tam, w oparciu o wojsko i partie demokratyczne, pokonać komunistów. Oczekuje jednak słowa zachęty z Zachodu. Ale tutaj polityka „appeasement" świeci swój ostatni triumf. Świadomi swej słabości wojskowej, Amerykanie ustępują. Benesz milczy, Masaryk wyskakuje przez okno. Praga pada w ręce totalizmu.

Moskwa osiągnęła cele swojej zimnej wojny. Większa część Europy jest sowiecka. Reszta jest za słaba aby bez zewnętrznej pomocy stawić najmniejszy opór w razie agresji.

Ale dramatyczne wypadki w Pradze budzą ducha oporu wśród wolnych narodów. Zaczyna się kontrofensywa. Blokada berlińska zostaje przełamana. W tym samym roku secesja Jugosławii zadaje sowieckiemu imperium ciężki wewnętrzny cios. Stalin wie teraz że okres „zimnych" zdobyczy jest zakończony, przynajmniej w Europie. Zwraca się do Azji wschodniej i tu spotyka się po raz pierwszy z poważnym oporem. Mały kupiec włókienniczy z Missouri, który został prezydentem Stanów Zjednoczonych, zdobywa się na odwagę, której nigdy nie miał jego wielki poprzednik. Nie troszcząc się o literę prawa konstytucji amerykańskiej, nie czekając na decyzję Kongresu, rozkazuje amerykańskim wojskom interweniować w Korei.

W Europie Stalin osiągnął swoje cele wojenne. Przechodzi teraz do defensywy, stara się zapewnić swój stan posiadania przez układ z Zachodem.

Cele wojenne Zachodu w zimnej wojnie nie zostały dotychczas nawet określone. Nigdy nie doszło na ten temat do porozumienia między aliantami nigdy nie doszło nawet do poważnej dyskusji, nigdy nie przedłożono tego problemu przed parlamenty wolnych narodów. W miarę jak nasycony Stalin mięknie, dochodzi do paradoksalnego stanu rzeczy w którym Zachód może uchodzić za „podżegacza wojennego". Ci sami ludzie, którzy w ciągu łańcuchowych agresji okupowali niemal tuzin wolnych narodów, próbują teraz, pod pokrywką „pokojowej" ofensywy zrzucić odium agresji na mężów stanu Zachodu. To oni chcą pokoju — to my się opieramy. To oni chcą rozbrojenia — to my jego nie chcemy. Oni wypuszczają gołąbki Picassa, my mówimy o polityce siły. Oni chcą zjednoczonych pokojowych Niemiec, my uzbrajamy „niemieckich militarystów". Między Pragą i Koreą role zostały zamienione.

Nie zdaliśmy sobie całkowicie sprawy z tego nieznośnego stanu rzeczy, gdyż był on zaciemniony agresją na Dalekim Wschodzie. Stalin chciał tam uzyskać tylko dogodny punkt strategiczny. Nie miał zamiaru wszczynać wojny światowej. Gdyby

taki był jego zamiar, posłałby swoje dywizje pancerne na Paryż i Bonn, a nie na Seul. W roku 1950 obezwładniłby śpiące wolne narody, zdobyłby porty atlantyckie zanim by Ameryka zdążyła zmobilizować choćby jedną dywizję. Dzisiaj jest już za późno. Jakiekolwiek by były zamiary Stalina, agresja na Dalekim Wschodzie była brzemiennym w skutki jego błędem. Wywołał on, jak żaden poprzedni jego krok, wolę oporu narodu amerykańskiego. Stany Zjednoczone zaczęły się poważnie zbroić, zawarto Pakt Schumanna, ważny krok w kierunku integracji Europy. Siły Zachodu zaczęły być jednoczone poprzez N.A.T.O. Układy Paryskie i w Bonn zdecydowały o remilitaryzacji Niemiec. Rosjanie musieli zdać sobie sprawę że potencjalna przewaga Zachodu może się lada chwila przemienić w rzeczywistą przewagę wojskową.

Zdał sobie z tego sprawę już sam Stalin. On sam dążył już do kompromisu. Te tendencje w rosyjskim obozie znacznie się wzmocniły po jego śmierci. Następcy Stalina stanęli przed następującym dylematem : powrót do jednoosobowej dyktatury, powstanie mas ludowych, albo liberalizacja i układ z Zachodem.

Ze śmiercią Stalina umiera totalna dyktatura w Związku Sowieckim. Owa forma rządów, którą się rozpoznaje po dwóch kryteriach : kontrola wszystkich aparatów władzy przez jednego człowieka i jednoosobowa kontrola ideologii.

Stalin osobiście kierował aparatami wojska, tajnej policji i partii. Z jego śmiercią rozpadła się ta totalna władza. Tym niesamowitym krajem rządzi teraz kolektyw. Wewnątrz tej grupy stała się możliwa wolna dyskusja, a gdzieniegdzie wolna dyskusja schodzi nawet na poziom stugłowego kolektywu Centralnego Komitetu. Ale kolektyw nie może uprawiać tego samego totalnego terroru co pojedyńczy despota. I trzeba, chcąc nie chcąc, dać ludom Związku Sowieckiego więcej wolności.

Diadochowie Stalina zdecydowali się pójść drogą powolnego odprężenia. Chcą nawrócić na drogę opuszczoną przez Stalina w roku 1929. Życzą sobie wskrzeszenia przynajmniej wewnętrzno-partyjnej demokracji. Zdają sobie oni sprawę z tego, że zbrojna walka między diadochami o władzę doprowadziłaby albo do przywrócenia despotyzmu jednego z nich, albo do powstania mas ludowych, które jedna z walczących stron mogłaby łatwo zmobilizować. A następcy Stalina obawiają się przyszłego dyktatora nie mniej niż powstania ludowego. Mają oni za sobą doświadczenie wielkiej Czystki. Wiedzą doskonale, że przyszły dyktator, chcąc umocnić swe panowanie, byłby zmuszony zlikwidować fizycznie swych dawnych rywali w walce o władzę. Wobec tego dylematu nie mają innej drogi jak powolne, małymi dawkami dozowane odprężenie wewnętrzne i nawrót do demokracji wewnątrz partii.

Ale nie jest bezpiecznie dać więcej wolności ludziom głodnym. Trzeba ich przedtem nieco podkarmić. Do tego celu skierowali następcy Stalina wszystkie swoje wysiłki natychmiast po

śmierci dyktatora. Rzucili na rynek wszystkie zapasy, które Komitet Rezerw zebrał na wypadek wojny, w celu zaspokojenia najkonieczniejszych potrzeb wojska i ludności miejskiej. Sprzedali zagranicą znaczną część zapasu złota, tezauryzowanego przez starego skąpca Stalina, aby kupić masło w Ameryce, śledzie w Islandii, wełnę w Australii. Wszystko to jednak były zaledwie paliatywy. Ruina rolnictwa poprzez kolektywizację skazuje rosyjski naród jeśli nie na głód, to na chroniczny niedobór. Biurokratyzacja gospodarcza uniemożliwia stały wzrost produkcji. Tej prawdy nie zakryją nam żadne kunsztyki rosyjskiej statystyki. Na długą metę muszą Rosjanie przegrać wyścig zbrojeniowy. Totalna dyktatura dawała Stalinowi możność rzucenia w razie potrzeby dwóch trzecich ludności do produkcji zbrojeń i ciężkiego przemysłu zbrojeniowego. Ale nawet ten wysiłek nie dawał więcej niż równowartość około 10 procent zbiorowych dochodów narodowych wolnych narodów. Dla następców despoty, wydatki zbrojeniowe są ciężarem nie do zniesienia. Za kilka lat zostanie prawdopodobnie osiągnięta równowaga wojskowa obu stron. Dalsze prowadzenie wyścigu zbrojeniowego mogłoby doprowadzić do sytuacji, w której Związek Sowiecki zostanie beznadziejnie zdystansowany.

Wydaje się że następcy Stalina uważają tę okoliczność za zagrożenie ich bytu i władzy. Nie są w stanie uwierzyć, że potworna siła niszczycielska nowoczesnych broni sprawia, że agresja ze strony Zachodu jest wykluczona. Oni sami nie obawiają się wcale zniszczenia : obawiają się tylko klęski i przypuszczają że przeciwnik ma ten sam punkt widzenia. Obawiają się że naród amerykański, jeśli osiągnie decydującą przewagę zbrojeniową i techniczną, ucieknie się do wojny, jako jedynego sposobu zakończenia konfliktu.

Rosjanie dokładają wszelkich sił aby ten rozwój wypadków powstrzymać. Szukają równowagi, ale jakiż kompromis jest możliwy do pomyślenia i do zrealizowania? Anglosascy mężowie stanu są empirykami. Czują, że jutro będą silniejsi niż dzisiaj. Chcą czekać. Za kilka lat mają nadzieję postawić żądania, których dziś obawialiby się nawet sformułować. Ale czy można przeciągać dalej zbrojenia i napięcie w polityce światowej, nie mówiąc wyraźnie społeczeństwom w krajach zachodnich pod jakimi warunkami bylibyśmy gotowi zakończyć zimną wojnę?

Nadszedł czas określenia celów zimnej wojny i warunków pokojowych, jeśli się chce uniknąć znużenia w naszym własnym obozie.

W walce o kompromis, który miałby zakończyć zimną wojnę nie może się w Europie rozchodzić o nic innego, jak o nowe wyznaczenie linii demarkacyjnej dzielącej wolny świat od świata totalitarnego.

W roku 1945 Czerwona Armia osiągnęła Elbę. Granica wolnego świata szła od Lubeki do Triestu. Utrzymanie tej linii wyklucza jakąkolwiek możliwość powrotu do europejskiej równowagi. To co pozostaje z Europy jest nie do obronienia bez

stałej obecności silnej armii amerykańskiej. Agresor ze wschodu osiągnąłby Atlantyk zanim by kraje za Elbą mogły dokończyć mobilizacji.

Także i linia Odry, którą Rosjanie gotowi byli zaofiarować, nie daje Amerykanom możliwości opuszczenia Europy. Języczek u wagi został w ciągu ostatniego dziesięciolecia zbyt daleko przesunięty na zachód. Musi on być odrzucony aż do granic państwowych Związku Sowieckiego.

Odwrót Rosjan poza San i poza Bug, uwolnienie i przywrócenie systemu demokratycznego w okupowanych krajach Europy Wschodniej jest jedynym koniecznym i wystarczającym warunkiem przywrócenia równowagi w Europie.

Jeśli się w ten sposób przesunie języczek u wagi, jej szale znajdą się na jednym poziomie, nawet jeśli się z zachodniej szali zdejmie ciężarek wojsk amerykańskich. Narody Europy odzyskają wówczas poczucie bezpieczeństwa, zniknie strach, polityczne zjednoczenie naszej części kuli ziemskiej dokona wielkiego kroku naprzód. Nasza gospodarka znów zakwitnie, jeśli powróci do nas rolniczy wschód.

Co mogą zaofiarować Rosji wolne narody wzamian za opuszczenie wschodniej Europy?

Nic innego jak zgodę na jednostronne zakończenie wyścigu zbrojeniowego. Marzenie aby poddać zbrojenia po obu stronach poważnej kontroli jest utopią. Totalne państwo jakim jest Związek Sowiecki uniemożliwia wszelką kontrolę. Pierwszym krokiem to takiej kontroli musiałby być upadek dyktatury i demokratyzacja Kraju. Ale jeśli by się to udało — to zimna wojna byłaby i tak zakończona i nie trzeba by żadnych układów.

Rosjanie mogą łatwo kontrolować zbrojenia wolnego świata. Kiedy Parlament amerykański ograniczy kredyty wojskowe z 60 miliardów dolarów do 20 miliardów dolarów, to siłą rzeczy zbrojenia skurczą się w tejże proporcji. Zbrojenia Związku Sowieckiego wymykają się spod jakiejkolwiek kontroli. Ale nie zważając na to, wolny świat byłby w stanie zgodzić się na ryzyko jednostronnego ograniczenia zbrojeń, pod warunkiem, by granice wolnej Europy zostały przesunięte poza linię Sanu i Bugu.

Lenin określił zawarcie pokoju brzeskiego w roku 1918 słowami: „Wyzbyliśmy się przestrzeni, aby zyskać czas". Dzisiaj po naszej stronie, trzeba by potrafić poświęcić czas grający na naszą korzyść, aby zyskać przestrzeń.

Nie robię sobie żadnych iluzji, że żądanie opuszczenia wschodniej Europy, i przeprowadzenia tam, podobnie jak w Niemczech wschodnich, wolnych wyborów, byłoby już teraz przyjęte przez Rosjan. Ale w obecnej chwili nie ma żadnej w ogóle możliwości owocnego kompromisu. Żądanie tego typu nie jest niczym innym jak określeniem dalekiego celu. Cel ten zaś jest do osiągnięcia, jeśli mocarstwa zachodnie nadal będą

konsekwentnie i energicznie prowadziły politykę, którą zapoczątkowały w Korei. Tego rodzaju polityka zagrodziłaby ludziom na Kremlu drogę do nowej stabilizacji na zasadzie obecnego podziału Europy. Zaostrzyłaby wewnętrzne kryzysy w przeciwnym obozie, i dopomogłaby wewnętrznemu dążeniu do liberalizacji w ramach sowieckiego imperium. Utrzymałaby nadzieję ludów ujarzmionych. Jednocześnie dałaby możliwość przywódcom sowieckim wycofania się bez tracenia twarzy.

Ale ludzie na Kremlu znają wyłącznie język siły i energii i obawiają się tylko przewagi. Jeżeli rządy zachodnie istotnie postawią taki cel wojenny i podadzą go do wiadomości krajom ujarzmionym, dokładając jednocześnie wszystkich sił, by ten cel osiągnąć, tylko w tym wypadku sowieccy przewódcy dadzą rozkaz do odwrotu.

Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI

Dramat polskich "klerków"

Na emigracji mamy skłonność do stosowania wielkich skrótów: ,,podpisali — bo im kazali'', ,,piszą i mówią co im dyktuje UB'', ,,wywarli na nich nacisk'' itp. — Istnieją: UB, inspiracje, dyktaty, naciski a nawet wymuszenia — mimo to intelektualiści w Kraju mają większy margines swobody niż na emigracji skłonni jesteśmy sądzić. Jeszcze ciągle istnieje możliwość wypowiedzenia własnego, nie-ortodoksyjnego sądu pod warunkiem, że jest po temu wola i odwaga. Ten margines jest bardzo niewielki. Lecz faktem, który uderza obserwatora jest nie jego wymiar lecz bezużyteczność. Nawet owej małej swobody nie wykorzystuje się w pełni.

Krytyka krajowa emigracji (oczywiście nie mam na myśli krytyki oficjalnej) — wychodzi z założenia, że wszystko co robimy jest bez sensu, ponieważ nasze działanie oparte jest na fałszywym rozpoznaniu. Wbrew rzeczywistości i logice wszystkie nasze akcje i nadzieje łączymy z ,,wyzwoleniem z zewnątrz'' — mimo, iż Amerykanie tłumaczą nam dobrotliwie, że ani wojny prewencyjnej, ani wojny wyzwoleńczej nie będzie. Ale na tym nie koniec.. Naszą polityką — tym co piszemy i mówimy zamiast pomagać utrudniamy pracę tym, którzy w Kraju dążą do ,,wyzwolenia'' od wewnątrz. (W Kraju nikt nie używa terminu ,,wyzwolenie od wewnątrz''. Użyłem tego terminu tutaj dla określenia poglądów i tendencji tych intelektualistów

w Kraju i na obczyźnie, którzy wierzą w ewolucyjną przebudowę ustroju komunistyczego).

Powyższą teorię można by ująć w następujący schemat. Bez względu na to czy się nam to podoba czy nie, zmierzamy ku epoce państwowego socjalizmu. Wcześniej czy później dojdzie do podpisania paktu zbiorowego bezpieczeństwa i pewnych form międzynarodowej kontroli atomowej. Prawdopodobieństwo wojny maleje z każdym miesiącem. Być może, że za kilka lat ryzyko zbrojnego konfliktu spadnie do zera. Musimy planować w powyższych ramach, bo to są jedynie ramy realne. Wyzwolenia z zewnątrz nie będzie. Nadzieje wschodnich europejczyków związane są z ewolucyjnymi przemianami jakie zachodzą w ustrojach komunistycznych. W sumie, pozycją wyjściową zwolenników tego poglądu jest „status quo". Za jedynie realne uważa się polepszenie obecnej sytuacji a nie jej radykalną zmianę. Celem jest poszerzenie sfery wolności i poprawa warunków materialnych w ramach obecnego ustroju a nie obalenie tego ustroju.

Proponuję byśmy rozważyli dwa następujące punkty:

W jakiej mierze (i czy w ogóle?) sfery intelektualne w Kraju dążą do poszerzenia sfery wolności?

— Czy jest rzeczą możliwą i pożądaną byśmy na tym odcinku z intelektualistami w Polsce współpracowali?

Analizę musimy rozpocząć od odpowiedzi na pytanie zasadnicze: czy w ramach ustroju komunistycznego jest rzeczą realną podjęcie jakiejkolwiek akcji zmierzającej do poszerzenia sfery wolności? Musimy również ustalić co rozumiemy przez „sferę wolności" w tym kontekście.

Weźmy przykład klasyczny. Koncepcja Gomułki w porównaniu z linią Bieruta była niewątpliwie próbą poszerzenia sfery wolności na pewnym odcinku. Sięgnijmy po przykład z innego krańca krajowej rzeczywistości. Prof. Chałasiński, w jednym z artykułów, opublikowanym w „Nauce Polskiej" w ubiegłym roku, wystąpił z tezą, że problem naukowego poglądu na świat nie został wyczerpany i definitywnie ustalony przez klasyków marksizmu. W obrębie tego systemu — pisał Chałasiński — winno być miejsce na kontrowersje i dyskusje.

Niewątpliwie, gdyby teza Chałasińskiego została przyjęta, byłby to milowy krok w kierunku poszerzenia sfery wolności w niezmiernie istotnej dziedzinie.

Przykładów tego typu jest bardzo nie wiele. Wszystkie kończyły się jak dotąd klęską i w tym miejscu zaczyna się problem.

Bez względu na piękne słowa i pobożne życzenia trzeba obiektywnie stwierdzić, że polscy intelektualiści w przytłaczającym procencie *nie* szukają poszerzenia sfery wolności lecz kolaborują. Każdy już nie „heretyk" lecz kandydat na „heretyka" jest natychmiast izolowany i potępiony — najczęściej piórami swych własnych kolegów.

Jeżeli wykluczy się politykę siły — to do narzuconego ustroju można ustosunkować się trojako:

— Można stosować bierny opór;
— Usiłować wpłynąć na rozwój danego ustroju w pożądanym kierunku;
— Kolaborować.

Kolaborant rezygnuje z góry zarówno z oporu jak i z wpływu. Współdziałanie z reżymem takich panów jak Słonimski czy Iwaszkiewicz porównane być może wyłącznie do roli odegranej przez tych nielicznych Żydów, którzy kolaborowali z Gestapo. Słonimscy i Iwaszkiewicze pracują nad tym by już nigdy w Polsce nie było ani Słonimskich ani Iwaszkiewiczów. To jest filozofia tych Żydów, którzy pomagali palić w krematoriach innych Żydów w nadziei, że w ten sposób uratują się przed zagładą.

Na emigracji jesteśmy szkoleni w myśleniu sloganowymi skrótami. Do tej kategorii należą poglądy, że... na nic nie zdadzą się ,,odwilże'' dopóki Rosja wszystko trzyma w garści; że... komunizmu nikt nie przerobi itp. To jest o tyle zrozumiałe, że przeciętnego Polaka na emigracji interesuje tylko rozwiązanie ,,generalne''. A więc pełna likwidacja dyktatury komunistycznej i odzyskanie niepodległości. Tylko wówczas do Polski można by wrócić i tylko wówczas misja emigracji politycznej dobiegłaby kresu.

Ten sam problem rozpatrywany z punktu widzenia Polaka w Kraju wygląda zgoła inaczej. O ile ogół emigrantów na Zachodzie wypatruje znaków na ziemi i na niebie zwiastujących możliwość rozwiązania ,,generalnego'', o tyle zainteresowania ogółu Polaków w Kraju skupione są przede wszystkim na bieżącej sytuacji wewnętrznej i perspektywach jej poprawy.

Czy jest rzeczą możliwą w pewnej mierze wpływać na rozwój sytuacji w Kraju — czy też najpewniejszą formą przetrwania jest ślepa kolaboracja?

Obiektywna analiza sytuacji w Polsce wykazuje niezbicie, że jest rzeczą możliwą w pewnym stopniu i w pewnym zakresie wpływać na rozwój wewnętrznej polityki komunistycznej. I tak chłopi wykorzystują te możliwości — intelektualiści natomiast jak dotąd rezygnowali z tych możliwości na rzecz lojalizmu i kolaboracji.

Chłop polski okazał się twardszy niż chłopi w innych krajach satelickich i choć byłoby może przesadą twierdzić, że zmusił reżym do taktycznego odwrotu na odcinku kolektywizacji — to niemniej jest pewne, że tempo tego procesu zostało wydatnie przyhamowane. W roku 1953 zorganizowano ponad 3.000 kołchozów. W roku 1955 — jak dotąd — nowoutworzonych kołchozów nie ma nawet 500. W Jugosławii — jak wiadomo — opór chłopów doprowadził do całkowitej rewizji polityki agrarnej.

Przykłady powyższe świadczą, że jest rzeczą możliwą do pewnego stopnia i w ograniczonym zakresie wpływać na roz-

wój sytuacji w pożądanym kierunku nawet w ustroju komunistycznym.

Na pewien opór zdobyli się do tej pory tylko chłopi i katolicy. Natomiast intelektualiści zdobyli się dotąd jedynie na kolaborację i propagandę mętnego „ewolucjonizmu".

Reżymowi katolicy zostali przez Watykan potępieni. Mimo to należy obiektywnie stwierdzić, że ich doktryna jest znacznie bardziej zbliżona do autentycznego katolicyzmu, niż pewne powieści socrealistyczne do tego, co na Zachodzie nazywamy literaturą.

Reżymowi katolicy stanowią tylko fragment polskiego katolicyzmu — frakcję kolaborującą z reżymem. Jednak, o ile reżymowy katolicyzm jest pewną formą kompromisu, o tyle socrealizm jest całkowitą kapitulacją.

A cóż powiedzieć o takich dyscyplinach jak filozofia, nauki społeczne, polityczne, ekonomiczne, historia, historia literatury itd. Wszystkie powyższe gałęzie wiedzy zaakceptowały dogmatykę marksistowską. Nikt nie usiłował nawet stworzyć kompromisu w tej dziedzinie na wzór reżymowego katolicyzmu. Były i są indywidualne opory i samotnie prowadzone walki ale to tylko jednostki broniły „białego pióropusza" w beznadziejnym starciu.

Nie mieliśmy żadnych szans by stać się drugą Jugosławią, ale pomiędzy współczesną Polską a współczesną Jugosławią istnieje cała gama odcieni pośrednich.

Teoria, która titoizm sprowadza do warunków geograficznych jest całkowicie fałszywa. Titoizm powstał i zwyciężył w Jugosławii bo miał po temu sprzyjające warunki między innymi i natury geopolitycznej. Warunki geopolityczne bywają czasem w 90 procentach przyczyną klęski. Lecz do zwycięstwa warunki geopolityczne nie wystarczą — trzeba czegoś więcej. Nie wiem czy gdyby na miejscu Jugosłowian znaleźli się Polacy, czy dziś mieliby Gomułkę zamiast Bieruta, a jeżeli tak, czy zdołaliby się uniezależnić od Moskwy w stopniu w jakim dokonał tego Tito.

Pod pewnymi względami intelektualiści mieli w Polsce lepszą szansę niż ich koledzy w Jugosławii. O ile bowiem jugosłowiańska partia komunistyczna posiadała grupę marksistów na pewnym intelektualnym poziomie — o tyle niedobitki polskiej partii komunistycznej w roku 1945 pod względem intelektualnym przedstawiały się raczej ubogo.

Chłopi stosują bierny opór — pewien procent katolików kolaboruje w ramach mizernego wprawdzie kompromisu, ale przecież kompromisu. Intelektualiści skapitulowali. Były przed nimi dwie drogi, którymi należało iść równolegle. W pewnych dyscyplinach nauki i w pewnych gałęziach twórczości kulturalnej należało bronić pewnego minimum niezależności za cenę popierania polityki reżymu na innych polach. W sprawie katolicyzmu reżym poszedł na kompromis i w mojej opinii gotów jest pójść na dalsze ustępstwa. Ale kompromis zawiera się tyl-

ko wówczas jeżeli przeciwnika nie można ani zlikwidować, ani zmusić do kapitulacji. Z elitą intelektualną reżym nie zawarł żadnego kompromisu, bo nie musiał zawierać kompromisu.

Druga droga wiodła poprzez partię. W tym wypadku nie chodzi o żaden wallenrodyzm. Gdyby jednak z kół intelektualnej elity polskiej wyszło — w okresie ubiegłego dziesięciolecia — trzydziestu czy pięćdziesięciu wybitnych marksistów — siłą rzeczy polski komunizm byłby czymś innym niż sowiecki. W polskim wydaniu komunizm zatraciłby cechy typowo rosyjskie i w przyszłości mógłby się stać bazą ideową nie kontr-rewolucji lecz stopniowej ewolucji.

Jest nonsensem twierdzić, że komunizm nie podlega przemianom, że stoi i upada swoimi dogmatami. To jest prawdą jedynie w odniesieniu do Rosji. Ale już na przykładzie Jugosławii widać, że komunizm jest zdolny do ewolucji.

Byłoby również nonsensem twierdzić, że Rosja nie dopuściłaby do najmniejszej odrębności — choćby tylko w sensie jakościowym. Dziś o wielkiej czystce na wzór i skalę stalinowską w Polsce nie może być mowy. W moim przekonaniu polscy intelektualiści mieli możliwość zaakcentowania naszej jeśli nie wyższości to odrębności w stosunku do Rosji w dziedzinie marksizmu.

Jedno jest pewne. Nawet najbardziej uzdolnieni kolaboranci nie przerobią komunizmu. Los tej doktryny spoczywa w rękach jej wyznawców i... wrogów. Komunizm albo upadnie na skutek akcji przeciwników, albo ulegnie ewolucji na skutek dążeń marksistów.

Ktoś powie, że zarzucam intelektualistom w Kraju, iż... nie pozwolili się skomunizować. Przeciwnie — zarzucam im, że stali się czymś gorszym niż polskimi komunistami. Z fałszywym i bojaźliwym uśmiechem wyższości przyjęli rolę nawet nie agentów Moskwy lecz rolę wykonawców poleceń agentów Moskwy. Toteż po dziesięciu latach trwania Polski „ludowej" naszymi profesorami uniwersytetów, uczonymi, pisarzami, artystami — rządzą tacy „luminarze" jak Cyrankiewicz czy Sokorski.

Na coś trzeba się było zdecydować. Albo na opór, albo na kompromis, albo na przyjęcie komunizmu z zamiarem ewolucyjnej jego przebudowy. Nie idę tak daleko by twierdzić, że mieliśmy szanse stać się Grekami sowieckiego Rzymu — niemniej nikt mnie nie przekona, że jedyne co nam pozostało to bezideowa, bezwyznaniowa, kolaboracja.

Gdyby szło ku wojnie, gdyby w obiektywnej kalkulacji należało brać w rachubę, że wojna wybuchnie w najbliższych latach — wówczas istotnie można by stanąć na stanowisku, że jedynym obowiązkiem intelektualistów jest przetrwać i doczekać chwili wyzwolenia. Przetrwać nawet za cenę kolaboracji.

Ale ku wojnie nie idzie. Jeżeli się nie mylę idzie ku długiemu okresowi pokoju. Tacy ludzie jak Chałasiński, którzy mają za sobą zaplecze zachodniej kultury — wychodząc z pod-

staw doktryny marksistowskiej, mogli zaważyć na kształtowaniu się polskiego ustroju pod warunkiem, że Chałasińskich byłoby dziesiątki a nie dwóch czy trzech.

Być może, że przykład z Chałasińskim nie jest szczęśliwie dobrany. Nie chodzi w tym wypadku o nazwisko i osobę. Chodzi natomiast o ludzi ostatniego pokolenia, które wzrosło i uformowało się w ramach kultury Zachodu.

Nasi intelektualiści przyjęli komunizm jako „ideową okupację" a nie jako „challenge" i to był błąd.

Jeżeli nie będzie wojny a tym samym wyzwolenia z zewnątrz — na przestrzeni najbliższych dwudziestu lat „zachodnie" pokolenie w Kraju zejdzie ze sceny. Młode pokolenie wychowane w innym klimacie duchowym i w różnym kręgu kulturalnym — nie wniesie żadnego myślowego fermentu do ewolucji ustroju komunistycznego. I w ten sposób Moskwa osiągnie swój kardynalny cel: nie będzie polskiego komunizmu. Młode pokolenie zaakceptuje rosyjski komunizm i rosyjski styl. Starsze pokolenie wymrze kolaborując i... czekając.

Pokolenie „zachodnie" jest ostatnim z którego mógł wyjść polski Tito czy wielki heretyk i apostata budzący ferment. Z tego kręgu mogli wyjść pisarze i działacze, którzy obecnemu ustrojowi w Kraju nadaliby polskie indywidualne piętno — którzy, choćby w końcu wylądować mieli w więzieniach, pozostawiliby za sobą smugę światła czy krzyk rozpaczy. Tylko to pokolenie ubiegłemu dziesięcioleciu mogło nadać patos historycznego dramatu.

Nie wydaliśmy jednak ani wielkich komunistów, ani wielkich apostatów — tylko legion kolaborantów.



Streśćmy w kilku punktach wnioski jakie wypływają z naszych dotychczasowych rozważań.

1. — Intelektualiści w Kraju nie podjęli wyzwania komunizmu. Nie dążyli ani do kompromisu, ani nie usiłowali przyjąć komunizmu by z bazy doktryny marksistowskiej wpłynąć na ewolucję ustroju wewnętrznego Polski ani nie podjęli prób ucieczki na Zachód w manifestacyjnej skali.

2. — Znakomita większość kolaboruje. Kolaboracjonizm tej warstwy jest w praktyce nieustanną manifestacją, zmierzającą do skompromitowania w oczach młodego pokolenia nie tylko całej naszej przeszłości kulturalnej lecz również podstawowych wartości cywilizacji zachodniej — którą chcąc czy nie chcąc ci ludzie reprezentują. Każdy z profesorów czy pisarzy, który szesnaście lat temu był za wolnością słowa, demokracją, liberalizmem a dziś wypisuje w wstępie do swych dzieł laurki Marksowi i Leninowi — w oczach młodych jest żywym eksponatem ilustrującym upadek zachodniego świata i potwierdzającym naocznie logikę tez komunistycznych o prawach rozwoju dziejowego. W tej dziedzinie kolaboranci „zachodniego" poko-

lenia są cenniejsi dla Moskwy niż ideowi, partyjni komuniści i w dziele kompromitowania kultury z której wyszli są nie do zastąpienia.

3. — Nigdy nie mieliśmy góry na miarę dołów. Ani w schyłkowym okresie Rzeczpospolitej, ani po roku 1863, ani w czasokresie dwudziestolecia niepodległości. Niemniej ,,zdrady klerków'' w tej skali i w tym wymiarze co obecnie — nie notowały nasze dzieje.

Gdyby okupacja niemiecka trwała o pięć lat dłużej — hitlerowcom prawdopodobnie powiodłoby się zlikwidować całkowicie warstwę inteligencji do czego konsekwentnie dążyli. Kultura jednak, którą ta warstwa tworzyła i reprezentowała — byłaby przetrwała nienaruszona.

Metoda sowiecka jest znacznie bardziej celowa. Od kolaboranta nikt nie oczekuje nawrócenia na komunizm — oczekuje się natomiast, że potępi kulturę z której wyszedł. Z politycznego punktu widzenia proces ten służy dwóm celom: likwidacji po-szlacheckiej kultury oraz ideowej sowietyzacji.

4. — Jeżeli przez ,,wyzwolenie'' od wewnątrz rozumieć powolną ewolucję ustroju komunistycznego w kierunku demokratyzacji i zwiększonej narodowej samodzielności — to stwierdzić należy obiektywnie, że kapitulacja elity intelektualnej możliwości rozwojowe po tej linii utrudnia, jeśli nie całkowicie przekreśla.

Kolaboracja z upływem lat wywołuje swoiste poczucie ,,wspólnoty interesów''. Załóżmy, że obecny stan rzeczy potrwa jeszcze lat pięć czy dziesięć. Intelektualiści, którzy będą mieli za sobą dwadzieścia lat kolaboracji będą zainteresowani tylko w jednym a mianowicie w utrzymaniu ,,status quo''. To będą najwierniejsi pretorianie reżymu i nieubłagani wrogowie jakichkolwiek odchyleń.

5. — 48 pisarzy i intelektualistów podpisało odezwę apelującą do emigrantów by wrócili do Kraju. Pisarzom i naukowcom emigracyjnym daje się do zrozumienia, że w Kraju nastąpiła wielka ,,zmiana''. Tłumaczy się nam, że przemiany dotyczą wyłącznie ustroju społecznego a nie politycznych imponderabiliów. Podkreśla się, że współczesna Polska jest potężnym niepodległym państwem a od Polski sprzed 1939 roku różni się jedynie ustrojem społecznym.

Kolegom w Kraju odpowiadamy : przemiany widzimy i poświęcamy im wiele uwagi i studiów. Nie spostrzegamy natomiast żadnej *zmiany*. Intelektualiści na łamach prasy krajowej nie podejmują z nami dyskusji, nie polemizują z wypowiedziami poważnych pism emigracyjnych, nie starają się nawet stworzyć pozoru, że między nimi a nami istnieje choćby w teorii możliwość swobodnej wymiany zdań.

Nie zatrzaskujemy drzwi ani nie tracimy nadziei. Gra idzie o tak wielką świecę, że do końca nie pogodzimy się z myślą, że jej płomień i światło mogłyby zgasnąć.

Mamy jednak zbyt wiele doświadczeń i wiedzy, by pójść na lep inscenizowanych „odwilży". Owa *zmiana* — choćby najskromniejszych wymiarów — której czekamy i wypatrujemy musi być spowodowana nie taktyką lecz postawą. Waszą postawą.

Niewątpliwie warunki wiele tłumaczą i bardzo wiele usprawiedliwiają. Ale w Kraju gdzie ludzie zachowali niezależny sąd i własną osobowość w cieniu hitlerowskich krematoriów — nie jest rzeczą możliwą okolicznościami i warunkami usprawiedliwić wszystkiego.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

BILETY...

Na ubiegłej konferencji w Genewie obserwatorami polskimi byli następujący przedstawiciele Egzekutywy: amb. Kajetan Morawski z Paryża, konsul gen. St. Fiedler-Alberti z Genewy, dr Leszek Kirkien, naczelny dyrektor „Dziennika Polskiego" z Londynu, red. Al. Bregman, członek Rady Jedności Narodowej z Londynu i mjr. M. Czarnecki z redakcji tygodnika „Syrena" z Paryża.

W „Wiadomościach Skarbu Narodowego", Nr 3(23) — w artykule p. Wasiutyńskiego czytamy co następuje: „W ostatniej akcji genewskiej brakowało pieniędzy na niektóre bardzo potrzebne bilety i koszty przejazdu".

Z kolei w „Komunikacie Informacyjnym Głównej Komisji Skarbu Narodowego" Nr 5(25), czytamy: „Skarb Narodowy pokrywa koszta przejazdu i pobytu w Genewie tylko amb. Kajetana Morawskiego".

Innymi słowy obserwatorami byli: p. konsul Fiedler-Alberti, który mieszka stale w Genewie oraz amb. Morawski, którego przejazd i pobyt został zapłacony z pieniędzy Skarbu Narodowego. Natomiast pozostali panowie tworzyli ekipę prasową o raczej dość jednolitym składzie. Kogo zatem miał na myśli p. Wasiutyński — twierdząc, że nie było pieniędzy „na bardzo potrzebne bilety"?

Dziennikarze na całym świecie podróżują albo na własny koszt, albo na koszt wydawnictw, które reprezentują. Czy Egzekutywa zamierza odstąpić od tej zasady i w przyszłości pewne ekipy prasowe wysyłać w świat na koszt Skarbu Narodowego?

ANKIETA?

Główna Komisja Skarbu Narodowego przed kilku tygodniami przesłała komisjom terenowym ankietę w sprawie „struktury organizacyjnej"

oraz „upowszechnienia i usprawnienia akcji" Skarbu Narodowego. Chodzi o wybory, ale nie do Głównej Komisji tylko do komisji terytorialnych.

O demokratyzację tak Skarbu Narodowego jak i emigracyjnej reprezentacji politycznej „Kultura" walczy nieprzerwanie od szeregu lat. To też nie zamierzam przytaczać jeszcze raz argumentacji dobrze znanej naszym Czytelnikom. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na kilka mniej znanych szczegółów tej sprawy.

Żaden z poprzednich „przed-kryzysowych" rządów, żadna Rada Polityczna czy Narodowa nie zarzucały dziennikarzy taką lawiną drukowanego papieru jak czyni to Egzekutywa i obecny Skarb Narodowy. Biuletyny Egzekutywy są redagowane w formie agencyjnych artykułów gotowych do druku. Czy je ktokolwiek przedrukowuje? Nikt. Ten sam dr Kirkien, który w Genewie był obserwatorem Egzekutywy, na łamach swego pisma o Egzekutywie milczy jak grób. Dlaczego ? Odpowiedź jest prosta. Ponieważ ani w T.R.J.N. ani w Egzekutywie nic się nie dzieje, komunikaty są nudne.

T.R.J.N. nie dysponuje żadnym organem prasowym i nie posiada poważniejszych wpływów w emigracyjnym świecie dziennikarskim. Czołowe pisma i periodyki polskie w wolnym świecie poświęcają znikomą ilość miejsca polityce emigracyjnej.

Czy istotnie musi tak być ? Czy polityka emigracyjna musi być nudna i w sensie prasowym nie-kasowa ? Przecież trudno znaleźć naród, który polityką bardziej by się interesował niż Polacy.

By wyjść z tego impasu Skarb Narodowy nie tylko wydaje własne pismo pod nazwą „Wiadomości Skarbu Narodowego", ale ostatnio podjął inicjatywę zmierzającą do ożywienia łamów tego organu znanymi nazwiskami. I tak ostatni numer przynosi artykuły Wojciecha Wasiutyńskiego, Janusza Kowalewskiego, Ryszarda Kiersnowskiego itd. A więc skarbowe „Wiadomości Literackie". Niemniej rezultat jest opłakany, bo nie może być inny. Nikt nie zaprzeczy, że tak Wasiutyński jak Kowalewski potrafią napisać żywo, interesująco i inteligentnie. Ale cóż stąd ? Wiadomo z góry, że Wiadomości skarbowe są oficjalną propagandówką i że na ich łamach nie może być ani krytyki ani swobodnej dyskusji. I wskutek tego muszą być nudne choćby na ich łamach pisywał kwiat naszego parnasu. Byłyby nudne choćby redagował je Lechoń, łamał numer Wierzyński a korektę robił sam Mieczysław Grydzewski.

Istnieją pewne niezmienne prawa, których obejść się nie da. Skarb Narodowy nie musiałby wydawać pseudo-Wiadomości Literackich a Egzekutywa nie musiałaby zasypywać dziennikarzy lawiną makulatury, gdyby w naszych reprezentacyjnych instytucjach działy się interesujące rzeczy. Gdyby R.J.N. była prawdziwym — choć w miniaturze — parlamentem na uchodźstwie — gdyby w czasie posiedzeń słyszało się opozycyjne mowy, krytyki, śmiałe projekty, gdyby kierownicy resortów Egzekutywy w ogniu pytań musieli bronić swych decyzji — wówczas prasa emigracyjna w swoim własnym interesie poświęcałaby wiele miejsca działalności Rady Jedności Narodowej. Wówczas nie Egzekutywa szukałaby dziennikarzy tylko dziennikarze szukaliby Egzekutywy. I tak jest w normalnych demokracjach.

T.R.J.N. w dniu 18 lipca br. uchwaliła budżet na okres 1.7. 1955 do 30. 6. 1956. Budżet zamyka się kwotą £20.768.

Z powojennej emigracji jest w świecie Polaków około pół miliona. Ich udział w pokryciu wyżej cytowanego budżetu wynosi mniej niż jednego szylinga rocznie, mniej niż jednego pensa miesięcznie na głowę obywatela. Powie ktoś, że z owego pół miliona znaczny procent przyjął obce obywatelstwa i wynarodowił się. Przyjmijmy więc najbardziej pesymistyczną ocenę i załóżmy, że tylko połowa to jest 250 tysięcy poczuwa się do pewnej solidarności z Sprawą Polską. Ale nawet przy tak jaskrawo przesadnej pesymistycznej ocenie — udział pozostałej reszty w finansowaniu polityki Egzekutywy nie przekroczy 2 pensów miesięcznie na głowę obywatela.

Co drugi polski sklep z „delikatesami" w Londynie ma większy roczny budżet niż Egzekutywa — nie mówiąc o polskich aptekach, firmach wysyłkowych itp.

Można by przyjąć, że tak niska ofiarność stanowi votum nieufności do obecnego kierownictwa politycznego. Ale to nie jest ścisłe. Na to by do kogoś mieć zaufanie względnie owego zaufania nie mieć — musi się owego kogoś znać i oceniać jego działalność. W odniesieniu do znakomitej większości Polaków w świecie nie można mówić ani o zaufaniu, ani o braku zaufania. Ci ludzie po prostu nie interesują się Egzekutywą i T.R.J.N. i w tej sprawie nie mają żadnego poglądu.

Do szerokich mas emigracyjnych nie docierają ani skarbowe „Wiadomości Literackie", ani biuletyny Egzekutywy. Dociera natomiast prasa emigracyjna, która nie poświęca większej uwagi Egzekutywie i jej poczynaniom.

Bezpośrednią konsekwencją opisanego stanu rzeczy jest ów jeden niepełny pens miesięcznie na głowę obywatela. Ludzie nie płacą, bo nie widzą powodu by płacić. Nic się nie dzieje, bo gdyby coś się działo czytaliby o tym w prasie. Na to by kilka razy w roku odbić na powielaczu jakiś memoriał czy orędzie Rady Trzech — 20 tysięcy funtów wystarczy. Po co więc płacić więcej. W ten sposób rozumują setki tysięcy Polaków na emigracji.

Podstawą każdej polityki emigracyjnej są — emigranci. W moim przekonaniu obecne kierownictwo polityczne umiało zmobilizować tylko niewielki odsetek Polaków przebywających w wolnym świecie. Na obronę tego kierownictwa trzeba powiedzieć, że osiągnęło pełnię swych możliwości. Jeżeli Egzekutywa urzędować będzie jeszcze przez ...następnych 15 lat budżety jej w tym okresie wahać się będą między 20 a 25 tysięcy funtów rocznie, bo na polityczną imprezę tego typu Polacy w świecie więcej pieniędzy nie dadzą.

Emigranci z łatwością mogliby płacić 100 tysięcy funtów rocznie do kas Skarbu Narodowego. Ale zmobilizowanie tych rezerw nie leży w granicach możliwości Egzekutywy.

Co to znaczy zmobilizować? Zmobilizować znaczy — przekonać. Na to by kogoś przekonać trzeba go wpierw zainteresować.

Polityka jest trudnym „businessem" i albo się go umie robić albo nie. Nasi wodzowie i mężowie stanu prowadzą nadal politykę typu „wojennego Londynu". Gdy nasze wojska stały w Szkocji a w Londynie urzędował rząd — za wszystko starczyła propaganda. Tony druków i druczków, mów, orędzi, ulotek, albumów i jednodniówek. Dziś na mniejszych obrotach ale według identycznego scenariusza i w podobnym składzie —

podtrzymuje się uporczywie i ofiarnie ten beznadziejny spektakl. Kardynalną wadą tego przedstawienia jest fakt, że primo jest nudne a secundo — nie kasowe.

Stale się u nas biada, że nie mamy programu polityki zagranicznej. To jest niewątpliwie prawdą, ale w dzisiejszych pokojowych warunkach *nie* można mieć żadnego programu polityki zagranicznej przy rocznym budżecie 20 tysięcy funtów. Z 20 tysiącami w garści można założyć mały sklepik ale nie można prowadzić poważnej międzynarodowej akcji.

Przyczyny zła leżą gdzie indziej. Nie mamy żadnej polityki *wewnętrznej* i w rezultacie nie zdołaliśmy wciągnąć w nurt akcji niepodległościowej najszerszych mas emigracyjnych oraz w konsekwencji nie zdołaliśmy zebrać koniecznych pieniędzy.

Tylko przez całkowite zdemokratyzowanie naszej politycznej reprezentacji i zastąpienia kasty zawodowych prezesów nowymi działaczami wyłonionymi z wolnych wyborów — byłoby rzeczą możliwą zmobilizować zobojętniałe i zniechęcone masy emigracyjne. Ci gentlemeni, którzy od szesnastu lat są bez przerwy członkami wszystkich możliwych prezydiów, prezesami, uczestnikami głównych komisji i z jakże nużącą monotonią występują we wszystkich „kombinacjach" polityki emigracyjnej — robią wrażenie teatru, który od 16-tu lat nie zaangażował ani jednego nowego aktora. Toteż każda sztuka wystawiana przez tę trupę jest równie beznadziejna jak wszystkie poprzednie. Gdybyż w tym teatrze byli Jaracze i Solscy. Ale niestety są tylko ambicje — nie talenty.

Pomijając wszystkie momenty natury zasadniczej — ze względów natury czysto praktycznej należałoby wypróbować system reprezentacji politycznej w oparciu o wybory. Jest bowiem wysoce prawdopodobne, że Rada Jedności Narodowej wyłoniona w całości z wyborów i władze Skarbu Narodowego (łącznie z Główną Komisją !) wyłonione w całości z wyborów — wzbudzą większe zainteresowanie i większą ofiarność.

Powtarzam: nie program polityki na forum międzynarodowym, lecz sprawa zmobilizowania rezerw emigracyjnych — jest naszym zagadnieniem Nr 1. Jeżeli bowiem nie powiedzie się zmobilizować tych rezerw i wzmóc wydatnie ofiarności na Skarb Narodowy — każdy polityczny program skona bezgłośnie na finansową blednicę.

Dramat polega na tym, że kasta żelaznych prezesów, zawodowych przewodniczących, dziedzicznych członków prezydiów, eks-ministrów i eks-premierów — jest zdecydowana grać swój melodramat nawet przy pustej widowni i przy pustej kasie.

HONOR POLAKÓW...

Otrzymałem pięknie wydany „Program Nauki w Szkołach Przedmiotów Ojczystych" — wydanie trzecie, poprawione — Wydział Oświaty i Wychowania.

W programie Historii (str. 30) między innymi tytułami pogadanek spotykamy tytuł następujący: „Bóg mi powierzył honor Polaków" — Książe Józef Poniatowski.

Po pierwsze, książe Józef nigdy niczego podobnego nie powiedział. Autorzy programu gdyby znali choćby dzieło Askenazego wiedzieliby

że ostatnie słowa jakie (po francusku) wypowiedział książe Józef w dosłownym przekładzie brzmią jak następuje: „Należy umrzeć mężnie".

W Polsce przed wojną spotykało się wzruszające litografie przedstawiające starego wiarusa, który zawiadamia młodą, piękną żonę i stroskaną dziatwę o bohaterskiej śmierci ich ojca w nurtach Elstery. Jak wiadomo książe Józef nie miał ani żony ani dzieci.

Spotykało się również w pewnych wydawnictwach ryciny przedstawiające księcia Józefa w mundurze marszałkowskim obok marszałka Piłsudskiego — z podpisem: dwóch marszałków. Jak powszechnie wiadomo książe Józef był marszałkiem Francji — nigdy jednak nie miał na sobie marszałkowskiego munduru i biedak nie miałby nawet czasu go zamówić.

U nas nigdy nie wiadomo gdzie kończy się historia a zaczyna propaganda. Jest rzeczą specjalnie niebezpieczną zacierać tę linię tu w Anglii, gdzie nasza młodzież uczy się historii w szkołach angielskich. Młody chłopak o historycznych zainteresowaniach — jeżeli spostrzeże, że istnieje przepaść między Kościuszką i Piłsudskim w historycznej relacji polskiej a Kościuszką czy Piłsudskim widzianym w zwierciadle historiografii angielskiej — może raz na zawsze stracić zaufanie do polskiej wykładni. Nie możemy bowiem konkurować z autorytetem szkoły angielskiej — na kursach sobotnich czy szkółkach niedzielnych. Wadliwym wykładem historycznym można bardzo wydatnie przyspieszyć proces wyobcowania młodzieży z polskości — zamiast ów proces hamować.

Ucząc historii polskiej dzieci i młodzież, która swe ogólne wykształcenie zdobywa w szkołach angielskich — nie można przesadzić w obiektywiźmie i w... umiarze.

Jak się mówi o Wandzie czy o smoku wawelskim — można puścić wodze fantazji. To są piękne legendy bez historycznych pretensji. Ale mówiąc o Kościuszce czy o księciu Józefie Poniatowskim nie ma najmniejszego powodu czerpać ze skarbca państwowo-twórczej mitologii, która z obiektywną historią nie ma nic wspólnego.

LONDYŃCZYK

Un travail raté

Ludzie pisujący wspomnienia o swoim urzędowaniu zazwyczaj przyczynę niepowodzenia składają na wszystkich innych. Będę się starał wystrzegać tej metody. Od razu oświadczam, że przyczyną niepowodzenia mej misji było porwanie się z motyką na słońce, to co w języku prawniczym rosyjskim nazywa się: *pokuszenjem s niegodnymi sriedstwami.*

Stanisław August tłumaczył: wpierw zbudujmy wojsko, a potem szukajmy rozprawy z Rosją. Polacy robili oczywiście na odwrót. Powinienem był przed przyjęciem urzędu premiera zapewnić sobie jakieś oparcie polityczne. Ale porwałem się na sprawowanie tego urzędu, wierząc w słuszność głoszonych przeze mnie teorii i wierząc, że skoro rodaków przekonam, to pomogą mi w pracy.

Otóż dużo ludzi przekonałem. Ale właśnie ci, których najbardziej przekonałem natychmiast chcieli zająć moje miejsce. Wszystko się rozegrało tak dokładnie, jak się to dzieje w wyścigach parlamentarnych francuskich. Parlament francuski jest grą o teki, grą nieustanną i każdy premier we Francji cały swój czas poświęca na obronę swego stanowiska. Jeśli przez jeden dzień tego zaniedba, ponieważ go pochłoną prawdziwe sprawy państwowe, to upada. W ten sposób parlamenty francuskie przypominają mi fermę strusi, którą kiedyś w dzieciństwie widziałem gdzieś na riwierze francuskiej. Rzucało się strusiowi pomarańczę. Chwytał ją na koniec dzióba i uciekał od innych strusi, które za nim goniły. Pomarańcza mu wypadała, inny struś ją podchwytywał i znowu uciekał ścigany.

ŚMIERĆ PREZYDENTA RACZKIEWICZA

W chwili śmierci Prezydenta Raczkiewicza uważałem, na podstawie konstytucyjno-prawnych konsyderacji, że Prezyden-

---

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

tem naszym jest raczej Tomasz Arciszewski, a to wskutek niesłychanych zaniedbań, które Prezydent Raczkiewicz poczynił w aktach odwołujących Arciszewskiego z następstwa i wyznaczających Augusta Zaleskiego.

Nie będę tych konsyderacji powtarzał, nie mają one dziś żadnego znaczenia politycznego, ani prawnego.

Chcę tylko tu powiedzieć, że pośredniczyłem wówczas, w sobotę 7 czerwca w nocy i w niedzielę, 8 czerwca, pomiędzy Augustem Zaleskim a Tomaszem Arciszewskim, przy tym świadkami mojej rozmowy z prezesem Arciszewskim byli pp. Kwapiński i dr Pehr. Według mej koncepcji Prezydentem miałby zostać p. Arciszewski, a następcą Prezydenta i premierem p. August Zaleski.

Działałem tak celem zapobieżenia jakiejś schizmie wewnątrz państwa polskiego na emigracji, uważając utrzymanie budowy niepodległego państwa za rzecz najważniejszą.

W niedzielę, 9 czerwca rano, p. Arciszewski zgodził się na moją koncepcję, a o 12-ej w południe akceptował ją również p. Zaleski. Obydwaj ci panowie mieli się spotkać o godzinie 3-ej popołudniu na 108, Eaton Square.

Co się później stało nie wiem, dość że nazajutrz w poniedziałek nastąpiło zaprzysiężenie Augusta Zaleskiego na Prezydenta.

O ile wiem, koncepcji mej gwałtownie sprzeciwił się i obalił ją p. Tadeusz Bielecki, który wówczas za żadną cenę nie chciał się zgodzić na Arciszewskiego, a później tak zajadle zwalczał Zaleskiego, którego wtedy forsował.

Z prawnego punktu widzenia Prezydent zaprzysiężony i uznany, oczywiście był Prezydentem legalnym i stąd od tej chwili uważałem, że obowiązuje mnie wobec niego lojalność obywatela Rzeczypospolitej. Ręczę honorem, że byłbym tak samo lojalnym wobec Arciszewskiego, gdyby ten był został naszym Prezydentem. W stosunku do naczelnej władzy nie stać mnie na igraszki partyjne, czy ambicyjne.

W PRZEDDZIEŃ 16 MAJA 1953 ROKU

W piątek, 14 maja 1953 roku, zostałem zaproszony na najzupełniej prywatną konferencję przez Prezydenta Rzeczypospolitej. W salonie na pierwszym piętrze domu przy 43, Eaton Place obecni byli także pp. prof. Pragier, Modrzewski i Kuncewicz. Prezydent podkreślając, że chodzi tu o konferencję ściśle prywatną odczytał nam tekst swego oświadczenia o swoim ustąpieniu w dniu 9 czerwca 1954 roku.

Powołując się na to, że jestem najmłodszym wiekiem z obecnych, pierwszy poprosiłem o głos i, w sposób jak najgorętszy i jak najbardziej stanowczy, odradzałem Prezydentowi składania takiego oświadczenia. Pamiętam dobrze wszystkie

swoje argumenty, ale ujawnianie ich w obecnej chwili uważałbym za rzecz nietaktowną. Byłem wtedy bardzo podniecony ważnością chwili, a ponieważ rozczytywanie się w pamiętnikach politycznych stało się moją drugą naturą, więc w czasie swego przemówienia, jak pomiędzy szprychami toczącego się koła, przypomniałem sobie jak to Paweł Milukow swego czasu błagał Michała Aleksandrowicza, aby ten nie odmawiał przyjęcia korony.

Po mnie przemawiał p. Jerzy Kuncewicz, prezes Stronnictwa Ludowego ,,Wolność''. Był on całkowicie mego zdania i również przemawiał z wielkim entuzjazmem.

Pp. Modrzewski i Pragier przyłączyli się do naszego zdania aczkolwiek, jak się później domyśliłem, wpływ p. Hryniewskiego trochę się zaznaczył w ich przemówieniach. Nie pamiętam który z nich wspominał o pewnych ,,korzyściach taktycznych''.

Miałem wrażenie, że moja argumentacja zrobiła wrażenie na Prezydencie. Powiedział, że jeszcze się namyśli i że tegoż dnia będzie u niego gen. Anders, od rozmowy z którym uzależnia swą decyzję ostateczną.

Nazajutrz, w sobotę 16 maja, otrzymałem od Prezydenta list prywatny, pisany piórem, w którym powiadamia mnie iż wobec kategorycznego opowiedzenia się przez generała Andersa za oświadczeniem o ustąpieniu za rok, postanowił w dniu dzisiejszym oświadczenie to ogłosić.

Istotnie generał Odzierzyński odczytał na posiedzeniu Rady Narodowej w tymże dniu wieczorem to nieszczęsne oświadczenie.

O ile wiem autorem tego pomysłu był p. Jerzy Hryniewski. Toczyły się wtedy rokowania o zjednoczenie. Pan Hryniewski stał na czele mniejszości w Lidze Niepodległości, organizacji skupiającej byłych sanatorów, mniejszości która nie chciała dopuścić do tego zjednoczenia. Większość jednak Ligi szła za dawnymi naprawiaczami i za najzdolniejszym ze wszystkich naprawiaczy, p. Michałem Grażyńskim. Strona Rady Politycznej napierała na jak najprędsze ustąpienie Prezydenta Zaleskiego z Prezydentury. Grażyński gotów był się na to zgodzić. Wymyślone przez p. Hryniewskiego oświadczenie Prezydenta odwlekało sprawę ustąpienia na rok, a przez ten rok, myślał niewątpliwie p. Hryniewski, nie jedna rzecz da się załatwić lub zmienić.

Mój sposób rozumowania był zupełnie inny. Ze wszystkich sił chciałem utrzymać niepodległe i niezależne państwo polskie, chociaż nie posiadające żadnej egzekutywy. Można było to utrzymać tylko na podstawie Konstytucji kwietniowej, która z Prezydenta Rzeczypospolitej czyniła w czasie wojny dyktatora i nakładała na niego olbrzymią odpowiedzialność. Toteż uważałem, że nie godziło się angażować autorytetu głowy państwa dla jakichś partyjnych, czy grupowych rozgrywek taktycznych.

DLACZEGO BYŁEM WROGIEM ZJEDNOCZENIA

Specjalnie przeciwko zjednoczeniu nastrajały mnie moje studia nad epoką Stanisława Augusta. Pisałem właśnie wtedy książkę o ostatnim naszym królu i byłem wstrząśnięty szkodliwością jaką odegrały w naszej historii konfederacje. Brały one na siebie uprawnienia państwa nie biorąc na siebie obowiązków państwa.

Twierdziliśmy, że mamy państwo zagranicą. Ale to państwo istniało tylko w dziedzinie moralnej. Stanowiło ono więc właśnie coś w rodzaju politycznego dobrowolnego zjednoczenia wszystkich Polaków. Jedynym zjednoczeniem jest nasze państwo — wołałem — nie trzeba nam nowego statutu zjednoczenia. Jakieś zjednoczenie tworzone przez partie będzie z natury rzeczy konkurencją dla państwa, a statut zjednoczenia konkurencją dla obowiązującej konstytucji.

Niestety generał Sosnkowski rozumował inaczej. Cieszył się z tego, że wśród stronnictw politycznych uzyskał popularność. Prawdziwy obywatel będzie czuły na to, czy przynosi korzyść Ojczyźnie, zły obywatel jest czuły tylko na to, czy to co on robi podoba się ludziom, czy nie. Ani Piłsudski, ani Studnicki, żeby wymienić dwuch najszlachetniejszych Polaków ostatniej naszej doby, nie byli czuli na popularność. Któż zaprzeczy, że w 1914 roku olbrzymia większość Polaków była przeciwko Piłsudskiemu. Studnicki zapluwany był do końca życia.

Sosnkowski jest człowiekiem bardzo, wspaniałe inteligentnym. Rozmawiałem z nim dużo podczas wojny i ofiarowałem mu swe pióro, jak niegdyś Dreszer ofiarował Marszałkowi Piłsudskiemu swoją szablę. I dziś, jako historyk, muszę stwierdzić, że historia Polski będzie zawsze uznawać Sosnkowskiego za postać historyczną. Wszelkie podręczniki dziejów ojczystych będą pisały, że był taki generał Sosnkowski. Natomiast na pytanie co mianowicie generał Sosnkowski zrobił, podręczniki te nie dadzą odpowiedzi. Nawet tego zjednoczenia zrobić nie potrafił.

Sosnkowski oto człowiek, który bojąc się wejść do rzeki stoi nad nią goły i tłumom słuchaczy bardzo inteligentnie i ciekawie wykłada dlaczego właśnie dzisiaj kąpać się nie może.

Muszę tu kilka słów powiedzieć o pertraktacjach zjednoczeniowych, tylko te kilka słów, które są potrzebne dla uwypuklenia mojej roli w charakterze premiera, czemu służy artykuł niniejszy, będący jak najbardziej spowiedzią osobistą. Otóż obóz prezydencki składał się z apartyjnych ,,andersowców'' i z członków kilku partii prezydenckich, czy zamkowych, jak się wtedy mówiło. To co reprezentował generał Anders było na pewno liczbowo o wiele silniejsze. Z ugrupowań politycznych Liga Niepodległości miała swoje znaczenie, ale pozostałe ugrupowania polityczne, to jest ,,Wolność'', jedno z licznych na emigracji ,,Stronnictw Pracy'' i grupa prof. Pragiera, czyli związek socjalistów polskich — były bardzo, a bardzo słabe.

Właściwie „Wolność" miała jakieś koła i miała jakąś organizację i miała co najważniejsze ludzi poważnych w osobach wybitnego działacza społecznego i politycznego p. Zygmunta Rusinka i rzetelnego i poważnego człowieka posła Ścigalskiego, ale było bardzo osłabione przez osobę swego prezesa p. Jerzego Kuncewicza.

Nie można o moim starym znajomym i małżonku jednej z najlepszych powieściopisarek polskich, pani Marii Kuncewiczowej, powiedzieć, że to był człowiek wręcz umysłowo nienormalny. Przeciwnie czasami rzucał jakąś myśl bardzo inteligentną, czasami umiał się znakomicie wykręcić w ulubionych rozgrywkach partyjnych. Ale chyba dość było wysłuchać jakiejś jego „ideowej" przemowy, albo przeczytać jedno z jego dzieł (polecam zwłaszcza pod tym względem niezrównaną „Republikę globu", wydaną za czasów gabinetu p. Arciszewskiego za pieniądze państwowe), aby się przekonać, że ten człowiek ma to co się nazywa groch z kapustą w głowie.

Śmiało to piszę, bo p. Kuncewicz jest na ogół najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Od niego słyszałem jak się nim wszyscy ludzie zachwycają. Spaak, u którego był, twierdził że rozmawiał z najrozumniejszym z Polaków, de Valera wyraził się, po jego poznaniu, iż nie wiedział że Polacy tak rozumni, itd., itd. Ponieważ i p. Spaak i p. Valera byli za wysokimi progami na moje nogi, więc nie mogłem sprawdzić tych rewelacyjnych zwierzeń mego kolegi z Rady Narodowej.

Otóż p. Kuncewicz wraz z p. Grażyńskim reprezentował Radę Narodową w układach z Radą Polityczną. Wykazał tam co umie.

Postanowiono tam, że w razie jeśli będą różnice zdań pomiędzy obydwiema delegacjami to zostaje przyjęty tekst gen. Sosnkowskiego. Kuncewicz twierdził, że tak nie jest, że na to się nie zgodził i że jak on na coś się nie godzi to znaczy, że do zgody nie doszło. Właściwie stanowisko to było w zasadzie słuszne, bo stronnictwa Rady Narodowej nie dały swej delegacji prawa uznania arbitrażu gen. Sosnkowskiego w tak bezapelacyjnej formie, ale Kuncewicza taktyka była zupełnie swoista. Żądał wpisania do protokółu, że się nie zgadza i uważał, czy raczej udawał, że uważał, że sprawa jest przez sprzeciw jego, Kuncewicza, pogrzebana, tymczasem wszyscy inni biorący udział w pertraktacjach byli szczerze przekonani, że sprawa jest załatwiona, bo w wypadku niezgody jednej ze stron obowiązuje tekst gen. Sosnkowskiego. Ślad ogólnej, merytorycznej argumentacji pozostał w protokółach tej konferencji. Protokóły te p. Kuncewicz wielokrotnie przerabiał, zapewne aby swoim przemówieniom nadać jakiś sens. Nie bardzo mu się to udawało.

ORDYNACJA WYBORCZA

Uważałem, że pertraktacje o nową, jakąś specjalnie emigracyjną konstytucję polską, opartą wyłącznie na współdziałaniu sztabów partyjnych i to zarówno partii istniejących, jak nieistniejących, prawdziwych i całkowicie fikcyjnych, do niczego nie prowadzi. Chciałem skorzystać z rozpowszechnionej wiary w demokrację i powołać Radę Rzeczypospolitej pochodzącą z wyborów całej polskiej emigracyjnej diaspory. Rzecz jasna, że partia polityczna jest instytucją organicznie związaną z opinią publiczną, z wyborami. Partia jest o tyle partią, o ile ktoś się za nią opowiada. Trudności przeprowadzenia wyborów w całej diasporze były bardzo duże, ale bynajmniej nie nie do przełamania, a przeprowadzenie wyborów w samej Wielkiej Brytanii, jak się później w praktyce okazało — rzeczą stosunkowo łatwą.

W społeczeństwie emigracyjnym hasło ,,zjednoczenia'' było bardzo popularne i Polacy mało nawykli do prawnego sposobu myślenia nie rozumieli, że jedyną i najlepszą formą zjednoczenia jest utrzymanie struktury państwowej. Natomiast stwierdziłem w czasie swoich wyjazdów na prowincję w charakterze prelegenta Skarbu Narodowego, że hasło wyborów jest równie popularne i równie atrakcyjne.

Zostałem prezesem komisji ordynacji wyborczej Rady Narodowej i włożyłem w to wiele trudu, co zresztą było zaakcentowane przez całość komisji na ostatnich posiedzeniach. Komisja z mego przewodnictwa była zadowolona. Nie udało mi się natomiast przeprowadzić swego punktu widzenia pod względem merytorycznym. Chciałem, aby Rada Rzeczypospolitej składała się wyłącznie z osób wybranych. Ale wtedy partie musiałyby zdobywać mandaty w pocie czoła, rehabilitować się przed opinią publiczną itd., podczas kiedy od 1939 roku przyzwyczaiły się do otrzymywania mandatów drogą konwentykli, o wieleż łatwiejszą.

W obronie stanowiska partyjnego powstało stronnictwo ,,Wolność'' i inne grupy polityczne Rady Narodowej. W rezultacie uchwalono, że Rada Rzeczypospolitej będzie się składała z 90 osób z wyborów z całej diaspory, w tym 26 z Wielkiej Brytanii, 60 osób mianowanych przez partie polityczne, 12 mianowanych przez Prezydenta, 8 przedstawicieli organizacji społecznych i 5 przedstawicieli duchowieństwa wszystkich wyznań.

GABINET P. HRYNIEWSKIEGO

Nie było w owym czasie żadnych zatargów pomiędzy Prezydentem a generałem Andersem, była natomiast wojna pomiędzy ludźmi Prezydenta, a ludźmi Andersa, albo powiedzmy jesz-

cze krócej i wyraźniej: p. Hryniewski, członek rządu p. Odzierzyńskiego, chciał być premierem.

Szanuję każdego kto ma jakiś program polityczny i chce go urzeczywistnić i w tym celu chce być premierem. Sprawa polska znajdowała się w takim impasie, że każdy mający program polityczny nowy miał prawo domagać się dla siebie władzy, względnie uchwytywać ten cień władzy, który nazywał się premierostwem na emigracji.

Ale nie był to wypadek p. Hryniewskiego. Kiedy został premierem jeden mój znajomy wilnianin dostał od swego znajomego z głębi kontynentu list z zapytaniem: ,,Kto to ten Hryniewski... Czy nie Dolanowski Kolka tylko... No to winszuję''. Jeśli do tego dodamy swoisty akcent wileński z jakim to zdziwienie było wypowiedziane, to będziemy bardzo bliscy obrazu jakiegoś naczelnika wojewódzkiego wydziału politycznego, który za pomocą różnych chytrostek i sposobików robi wybory.

Premier emigracyjny to przede wszystkim odpowiedź na pytanie jak wyprowadzić sprawę polską z impasu. Premier Hryniewski po swojej nominacji całkiem serio tłumaczył mi, że liczy na katolicko-łacińskie państwa Ameryki Południowej. W jaki sposób sobie wyobrażał, że brazylijski Vargas i argentyński Peron porzucą wszystkie swe sprawy i pójdą na udry ze Stanami, Anglią, Francją i Adenauerem, żeby przeforsować polski punkt widzenia w polityce światowej to już jest jego słodka tajemnica. Ale że to nie jest żadna kalumnia przeze mnie na mego poprzednika wymyślona, ale że p. Hryniewski miał naprawdę ,,koncepcję'' ,,współpracy'' z Ameryką łacińską świadczą o tym jego przemówienia publiczne na których to powtarzał.

Ale p. Hryniewski nigdy by tego upragnionego stolca premierowskiego nie zajął, gdyby nie aktywna pomoc, którą miał w osobie Stanisława Dołęgi-Modrzewskiego, człowieka powszechnie nielubianego, nawet znienawidzonego, a przez to chociażby zasługującego na szacunek. Modrzewski to typ człowieka bojowego i odważnego. Po drugie jest to człowiek najzupełniej bezinteresowny i wierny. Broni zawsze czyichś interesów politycznych nigdy swoich. Wielu ludzi nazywa go intrygantem i do pewnego stopnia to określenie jest słuszne. Modrzewski jest specjalistą zakulisowej, kuluarowej gry parlamentarnej, tylko że te jego intrygi miały w sobie wszystko to, co dobrego o tego rodzaju operacjach powiedzieć można. Nazwijmy je dyplomacją parlamentarną, a zrozumiemy o co mi chodzi. W czasie drugiej wojny światowej Modrzewski był wybitnym członkiem podziemnego rządu polskiego w Warszawie, na tym stanowisku dokonywał podobno cudów odwagi, wierzę w to całkowicie, gdyż natura tego starca o subtelnej fotogenicznej twarzy już jest taka. Przemawiał kiedyś w Radzie Narodowej o Powstaniu Warszawskim, głos mu się załamał i zaczął szlochać, wszyscy ściągnęli brwi z szacunku, wiedzieli, że ten wybuch miłości do miasta i ludności, której nie umiał obronić, ale z którą wspólne znosił cierpienia jest zupełnie szczery.

Tylko w sprawach polityki zagranicznej p. Modrzewski wciąż będąc sympatyczny, przestawał być poważny. Jego stosunek do skomplikowanej gry sił politycznych na globie da się zamknąć w rozbrajających wierszykach: ,,Kto ty jesteś — Polak mały; Jaki znak twój — Orzeł Biały''. Poza to sympatyczne założenie, myśl jego wychylić się nie umiała. Człowiek subtelny w gierkach parlamentarnych nie miał żadnego poczucia rzeczywistości międzynarodowej. Było to dziwne, ale tak było. Miarą jednak aspiracji p. Modrzewskiego do polityki zagranicznej był wychylający się z kieszeni jego marynarki numer ,,Le Monde''. Gazeta ta była zawsze zżółkła, podejrzewałem, że kupienie jednego numeru ,,Le Monde'' wystarczało p. Modrzewskiemu na jesień, zimę i wiosnę i obiecywałem mu nabycie nowego numeru tego dziennika na dzień imienin 8 maja, ale p. Modrzewski bardzo się gniewał na te przypuszczenia twierdząc, że niemal codziennie pismo to kupuje.

Za czasów kiedy p. Modrzewski pod nazwiskiem Kauzik bronił w Sejmie Rzeczypospolitej różnymi swymi posunięciami Władysława Grabskiego, jako premiera i ministra skarbu, był powszechnie oskarżany o przekupywanie posłów. Nie mogę w tej sprawie wypowiedzieć ani ,,Affirmative'', a to ze względów formalnych, ani ,,Negative'' ze względów merytorycznych. W każdym razie jeżeli przekupywał to przekupywany nigdy nie był. Nigdy też nie odbiegał tego, komu obiecywał poparcie, a własną skórę i własną karierę przy każdej sposobności narażał.

Ale od czasów kiedy Kauzik zamienił się w Modrzewskiego zaszła w nim duża zmiana. Za czasów Grabskiego, bronił człowieka i programu przeciwko stronnictwom i starał się o rozszerzenie podstaw gabinetu i obozu, którego bronił. Obecnie jednak było zupełnie inaczej. Modrzewski mówił ciągle ,,stronnictwa'' z taką namiętnością, jakby to chodziło o imię ukochanej kobiety i szedł w kierunku nie rozszerzania liczbowej podstawy rządów Prezydenta Zaleskiego na emigracji, lecz wręcz odwrotnie jej zmniejszania. Wyglądało jak gdyby dążył do tego, aby koło Prezydenta nie było coraz więcej ludzi, lecz coraz mniej.

Zaczęła się kampania przeciwko rządowi gen. Odzierżyńskiego.

Przyznam się, że ja także ten rząd zwalczałem, ale miałem po temu programowe powody. Polityka zagraniczna p. Sokołowskiego, ministra spraw zagranicznych tego rządu, była w moim przekonaniu nie tylko naiwna, ale szkodliwa i marnotrawiąca te nieliczne dobre okazje, które wtedy jeszcześmy mieli. Toteż uważałem za swój święty obowiązek ministra Sokołowskiego tępić wszystkimi środkami, a to moje przekonanie o szkodliwości p. Sokołowskiego podzielał całkowicie mój kolega z klubu Ziem Wschodnich, p. Kazimierz Okulicz.

Kampania przeciwko Odzierzyńskiemu opierała się na zarzutach, że ten generał jest zbytnio pro-Sosnkowski i że acz-

kolwiek zgodził się na uchwalenie ordynacji wyborczej to jednak chce odroczyć wybory.

Oba te zarzuty niezupełnie były słuszne. Generał Odzierzyński dawał się przekonać, że cała akcja zjednoczeniowa gen. Sosnkowskiego jest bardzo niebezpieczna i chciał przeprowadzić wybory. Właśnie p. Hryniewski, jak został premierem to zainaugurował swe urzędowanie takim panegirykiem na cześć gen. Sosnkowskiego, na jaki gen. Odzierzyński nigdy by się nie zgodził i właśnie Hryniewski wcale do wyborów przystępować nie myślał.

Drogą manewrów w łonie gabinetu, gen. Odzierzyński zmuszony został do podania się do dymisji i Prezydent pod wpływem Hryniewskiego i Modrzewskiego natychmiast tę dymisję przyjął. Gen. Anders czuł się tym bardzo urażony. Raz, że odszedł człowiek, do którego miał zaufanie, a dwa, że Prezydent nie zasięgnął jego rady w tej sprawie, wbrew dotychczasowej praktyce.

Znów się obawiałem zwężenia podstawy legalizmu i znów na wolontariusza zacząłem temu przeciwdziałać, co mi się znowu absolutnie nie udało. Wysunąłem na premiera osobę p. Kazimierza Okulicza, a p. Okuliczowi radziłem, aby do gabinetu zaprosił p. Hryniewskiego, jako człowieka, który uchodził za mającego zaufanie Prezydenta, gen. Odzierzyńskiego ponieważ reprezentował obóz generała Andersa, a na ministra spraw zagranicznych kogoś zupełnie niezaangażowanego w naszych tarciach wewnętrznych mianowicie p. Poklewskiego Koziełłę mówiąc nawiasem jedynego Polaka w Londynie mającego autentyczne kontakty z politycznymi sferami angielskimi.

Pan Prezydent zgodził się z moimi sugestiami, p. Okulicz podjął się misji tworzenia gabinetu, osoba jego była jak najżyczliwiej przyjęta przez generała Andersa. Przez chwilę wydawało mi się, że dobijamy do portu : pozbywamy się katastrofalnego p. Sokołowskiego, na czele gabinetu stanie człowiek znający się na polityce zagranicznej, poza tym człowiek o wyjątkowej szlachetności i lojalności, co było rzadkie w stosunkach emigracyjnych, nie będzie żadnych załamań i wstrząsów z ludźmi Andersa. Pan Okulicz zgodził się na moją koncepcję czterech ministrów, trochę ją zmieniając w personaliach. Ale obóz „stronnictw'' p. Modrzewskiego rozpoczął gorącą kontrofensywę i dnia 18 stycznia 1954 roku premierem został p. Hryniewski. Ale urzędowanie p. Hryniewskiego było krótkie.

KONIEC URZĘDOWANIA P. HRYNIEWSKIEGO

O sprawie Bergu wiedzieliśmy dużo, ale dopiero za czasów urzędowania p. Hryniewskiego zostały przywiezione z Niemiec wszystkie dokumenty, które potwierdzały niezbicie, że Stronnictwo Narodowe i inne stronnictwa zarabiały na swoje utrzymanie uprawianiem szpiegostwa na terenie kraju.

W dniu 7 marca 1954 roku zostało u Prezydenta Rzeczypospolitej zwołane ściśle poufne zebranie w którym udział wzięli Prezydent, premier Hryniewski, gen. Anders, gen. Sosnkowski. Na tym zebraniu min. Okulicz w charakterze ministra sprawiedliwości referuje całą sprawę Bergu. Z tego referatu wynika, że stronnictwa które według układu gen. Sosnkowskiego będą miały większość w projektowanej Radzie Jedności Narodowej uzależniły się finansowo od obcych wywiadów i uprawiały „handel śmiercią".

Obydwaj generałowie wypowiadają swe obrzydzenie do Bergu, ale powiadają, że „wywlekanie" sprawy Bergu może obecnie zaszkodzić sprawie zjednoczenia.

Gdybym wówczas był premierem na miejscu p. Hryniewskiego, to oczywiście bym się zmobilizował uczuciowo i wygarnął obu generałom dobre parę słów do słuchu.

Ale p. Hryniewski tego nie robi i zebranie rozchodzi się pod wrażeniem, że sprawa Bergu nie będzie poruszona.

Pan Okulicz był moim kolegą w Klubie Ziem Wschodnich, razem z pp. inż. Edwardem Rayskim i hr. Stefanem Tyszkiewiczem. Stosunek jego do sprawy Bergu był taki sam jak mój, ale p. Okulicz jest człowiekiem przede wszystkim lojalnym i wobec stanowiska gabinetu odmówił mi nawet wglądu do dokumentów w sprawie Bergu.

Inni członkowie rządu p. Hryniewskiego mocno się wahali. Niektórzy z nich twierdzili w rozmowach ze mną, iż się mylę, że sprawa Bergu wywoła takie oburzenie, że emigracja uważa, że owszem winna być szpiegiem i że brania dolarów nikt nie będzie uważać za dyshonor.

Na szczęście okazało się później, że ja miałem rację, a nie moi pesymistyczni rozmówcy. Potępienie Bergu, gdy nadałem tej sprawie całkowity rozgłos było ogromne, a nawet najwięksi bergowcy wykręcają się z tej sprawy, ale nie próbują bronić jej na terenie zasad i przyzwoitości.

Udało mi się w dniu 9 kwietnia namówić p. Hryniewskiego aby okazał mi dokumenty bergowe. Po ich przeczytaniu wydałem broszurę pt. „O sąd obywatelski nad handlarzami śmierci". Broszura ta rozpatrywała Berg pod kątem widzenia politycznym, prawnym i moralnym.

Mówiąc nawiasem sądzę, że redaktor Piestrzyński pisząc swój artykuł po 9 czerwca 1954 i nadając mu tytuł: „Kryzys polityczny, prawny i moralny" miał w swej podświadomości tytuł z mej poprzednio wydanej broszury bergowej.

W dniu 14 marca ma miejsce podpisanie aktu zjednoczenia. Ze strony Rady Narodowej podpisuje je Liga Niepodległości, Niezależna Grupa Społeczna w imieniu której podpisuje je wraz z trzema innymi panami także dr Tadeusz Bugayski oraz większość Stronnictwa Pracy p. Modrzewskiego. Grupy „Wolność" i grupa prof. Pragiera aktu tego nie podpisują, powstrzymywane przez swoje prezydia, ale w tych obu grupach większość jest za podpisaniem.

Wobec tej nowej sytuacji mam nowy plan polityczny, ale nie będę się o nim rozpisywać, bo nie wszedł on w życie, a był dość skomplikowany, więc nie da się powtórzyć w kilku słowach.

Natomiast p. Hryniewski traci zupełnie głowę w tym momencie. Od tej chwili unosi się nad jego polityką zasada ,,niech nie wie lewica co czyni prawica''. Uchwały, które zapadają w gabinecie idą w jednym kierunku, a enuncjacje bezpośrednie Głowy Państwa ogłaszane w ,,Dzienniku Polskim'' — w innym kierunku. Rozmawiałem w tym okresie z rozmaitymi ludźmi i stwierdziłem, że p. Hryniewski co innego mówił Głowie Państwa, przed którym winę zwalał na swoich ministrów, co innego mówił na Radzie Ministrów, co innego przedstawicielom komisji stronnictw. Pertraktował z Grażyńskim, starał się o kontakty z Sosnkowskim i Andersem i wreszcie podał się do dymisji z tym, aby ta dymisja była dla pucu, aby była tylko posunięciem taktycznym, de facto miał nadzieję, że uda mu się zachwianą równowagę przywrócić.

Wreszcie okazało się to niemożliwe i o ile dobrze pamiętam w dniu 30 maja p. Modrzewski otrzymał poufne upoważnienie tworzenia gabinetu.

Ale p. Modrzewski zgodnie ze swoją zasadą, ze swoją — powiedziałbym — manią, nie umiał i nie chciał tego gabinetu stworzyć bez wciągnięcia swych ukochanych fikcji stronniczych, a więc p. Hryniewskiego, który w międzyczasie stał się stronnictwem ,,Kraj i Prawo'' i już się zdążył rozłamać wewnątrz, p. Kuncewicza i prof. Pragiera. Wszystkie te znakomite stronnictwa robiły mu trudności skutkiem czego p. Modrzewski w niedzielę 6 czerwca zrezygnował ze swej misji.

Sytuacja więc była następująca: W ,,zjednoczeniu'' bezwzględną większość miały czynniki, które wykazały w sprawie Bergu w jaki sposób rozumieją praktyczną niezależność polityki polskiej na emigracji. Moim programem była polityka polska nie tylko nie kierowana, lub współpracująca z jakąś Free Europe, czy Voice of America, czy wprost z wywiadem amerykańskim, czy angielskim, lecz wręcz odwrotnie polityka, która by imieniem sił Polski rzeczywistej, Polski w kraju stawiała tym Stanom Zjednoczonym żądania i warunki. Wierzyłem, że do tego stanu rzeczy dojść można, ale pod warunkiem, że nie zatracimy naszych tytułów formalnych, które nam dawała nasza ciągłość państwowa.

W tym stanie rzeczy zdecydowałem się na krok, którego nigdy się nie robi: Oto w tęż niedzielę, 6 czerwca, poszedłem do Prezydenta wieczorem i zaproponowałem mu swoją osobę na premiera.

Prezydent mi odpowiedział, że jest związany, że w ciągu kilku ostatnich godzin już na ten temat rozmawiał z kim innym, a mianowicie z wojewodą Władysławem Dziadoszem.

OBJĘCIE PREMIEROSTWA

Nazajutrz jednak rano p. Wendorf, adiutant Prezydenta, wezwał mnie do natychmiastowego przybycia do Prezydenta. Zastałem tam już p. Dziadosza, który w rozmowie z Prezydentem i ze mną, sam wysunął moją osobę na premiera.

Prezydent zlecił mnie misję formowania gabinetu.

Zwróciłem się do dr. Dziadosza proponując mu urząd ministra spraw wewnętrznych. Był to właściwie urząd tytularny, rodzaj ministerstwa bez teki, gdyż kompetencje jego dotyczyły wyłącznie spraw krajowych, a nasz rząd na szczęście nie posiadał żadnych tajemnych agend w kraju, ani też żadnych kontaktów. Muszę zaznaczyć, że p. Dziadosza szanuję bardzo poważnie i bardzo szczerze, jako prawdziwego, uczciwego patriotę i człowieka bezwzględnie ideowego. Nigdy bym jednak z niego ministra nie robił, gdyż ze względu na swe zdrowie był on człowiekiem zbyt nerwowym i niezdolnym do jakiejś systematycznej pracy. Ale trudno mi było w pierwszej minucie swego urzędowania od razu odskoczyć od tak wyraźnie zakreślonej personalnej linii Głowy Państwa.

Po załatwieniu sprawy z dr. Dziadoszem zeszedłem do gabinetu premiera, wziąłem za słuchawkę i zacząłem szukać ministrów.

Pierwszy mój telefon był do prokuratora Sądu Najwyższego, p. Stanisława Lubodzieckiego. Wiedziałem, że pomagał on p. Okuliczowi układać wniosek o postawienie w stan oskarżenia polityków biorących pieniądze z Bergu. Ze sprawy Bergu chciałem zrobić sprawę zasadniczej moralności emigracyjnej i sprawdzian niezależności polityki polskiej.

Telefon jednak p. Lubodzieckiego nie odpowiadał i nie mogłem osiągnąć połączenia z nim aż do późnego wieczora.

Zwróciłem się do dwuch ludzi bardzo poważnych, zaszczycających mnie przyjaźnią osobistą. Pierwszemu proponowałem ministerstwo skarbu, drugiemu sprawy zagraniczne. Pierwszy odmówił od razu, drugi po pewnej zwłoce.

Prezydent w formie rozmowy prywatnej sugerował mi kilka osób. Nie mogłem się jednak na nie zgodzić ze względu na ich całkowity brak kwalifikacji. Sytuacja istotnie była rozpaczliwa, ale łatwizny trzeba unikać w sytuacjach rozpaczliwych może jeszcze bardziej niż w innych.

Wydawało się, że załoga ,,zamku'' jak się mówiło składa się wyłącznie z p. Dziadosza, p. Pawła Jankowskiego, dyrektora kancelarii cywilnej, człowieka o silnym charakterze i prawdziwie wiernego Prezydentowi, p. Wendorfa i mnie. Wszyscy inni raczej nas bojkotowali tego dnia.

Pan Wendorf dopędził mnie na korytarzu i sugerował p. Ścibora, którego mnie sprowadził i który wspomniał, że się znamy, bośmy razem przemawiali na jakimś zebraniu Skarbu Narodowego na przedmieściach Londynu. Jestem zupełnym ka-

leką pod względem pamięci twarzy i nazwisk, toteż zupełnie nie pamiętałem p. Ścibora. Ale po tym, jak mi przypomniał, że słyszałem jego przemówienie i po tym, gdy ja sobie przypomniałem to przemówienie — sprawę jego uważałem za negatywnie załatwioną.

Dzień 7 czerwca upłynął, a gabinetu stworzyć nie potrafiłem. Nie mogłem przecież uprawiać przez telefon rodzaju biegu za lisem.

Nazajutrz po dłuższym rozważaniu i wahaniu zgodził się p. Lubodziecki na tekę ministra sprawiedliwości. Wahał się dość długo, ale raz dawszy swoją zgodę stał się przez cały czas mego urzędowania moim najlojalniejszym i najodważniejszym kolegą. Niech mi wolno będzie mu za to podziękować na tym miejscu.

W tym stanie rzeczy postanowiłem nie szukać innych ministrów ale przedstawiłem Prezydentowi gabinet w składzie mnie, jako premiera i kierownika spraw zagranicznych, p. Dziadosza jako ministra spraw wewnętrznych i kierownika ministerstwa dla spraw obywateli polskich na obczyźnie oraz p. Lubodzieckiego jako ministra sprawiedliwości i kierownika ministerstwa skarbu. Gabinet w takim składzie został zaprzysiężony dnia 8 czerwca rano.

Natychmiast zwołałem konferencję prasową, na której odczytałem oświadczenie Prezydenta Zaleskiego odwołujące swą deklarację z 16 maja o ustąpieniu w dniu 9 czerwca 1955 roku. Na tej konferencji nie było nikogo, kto by mnie chciał popierać, albowiem wszystkie bez wyjątku organy prasowe były przeciwko nam. W motywacji mej wskazywałem, że deklaracja z 16 maja nie była oświadczeniem prawnym, chociażby dlatego, iż Prezydent nie ma prawa konstytucji zmieniać, oraz że Prezydent odwołuje swą deklarację, aby przeszkodzić, aby władza legalna Rzeczypospolitej ześlizgnęła się w kierunku Bergu. Prezydent broni niezależności polityki polskiej. Zapowiadałem też zorganizowanie w najbliższym czasie wyborów powszechnych, w których będą mogły wziąć udział wszystkie stronnictwa. Wybory powszechne mogą tylko przesądzić o naszych kłótniach.

W odpowiedzi pytano mnie czy często widuję się z Putramentem i czy mam zamiar widzieć się z von Gehlenem.

Sprawozdania z konferencji umieszczone w prasie były jeszcze mniej zadawalające niż jej przebieg. Specjalnie fałszywe zamieściła „Myśl Polska" a później w jakiejś gazecie amerykańskiej przeczytałem nawet, że się pobiłem z p. Bregmanem, chociaż przebieg konferencji był zupełnie spokojny, a nawet pod jej koniec nastąpiło pewne nerwowe odprężenie.

Na podstawie tego doświadczenia, zacząłem urządzać „konferencje prasowe przy świadkach" jak je nazywałem. Liczyłem na swe siły publicystyczne i zdaje się, że w tym okresie mnie one nie zawiodły. Za pomocą tych konferencji potrafiłem ponad głową prasy zmusić społeczeństwo emigracyjne do zastanowienia się nad argumentacją, którą głosiłem.

GENERAŁ ANDERS I „DZIENNIK POLSKI"

Oceniałem położenie polityczne na emigracji zupełnie inaczej niż gen. Sosnkowski.

Dla niego istniały tylko partie. Siły polityczne na emigracji rachował na jednostki partyjne, niczym strateg dawnej szkoły na ilość dywizji.

Co do mnie, to uważałem p. Bieleckiego z jego stronnictwem za siłę zorganizowaną, uważałem, że dzięki poparciu „Narodowca" Mikołajczyk reprezentuje poważną siłę, ale byłem jak najdalszy od przesadzania znaczenia kilku panów, którym udało się od Amerykanów uzyskać posady w jakimś „Free Europe" i którzy przybierali nazwę takiego, czy innego stronnictwa.

Natomiast na terenie Wielkiej Brytanii uważałem za siłę polityczną przede wszystkim „Dziennik Polski", po drugie gen. Andersa.

Toteż marzyłem, aby odwrócić koło wydarzeń wstecz o kilka miesięcy kiedy gen. Anders całkowicie, a „Dziennik Polski" w jednej ćwierci uznawali legalizm.

Starałem się więc pozyskać p. Kirkiena, dyktatora „Dziennika", ale poniosłem na tym polu całkowite niepowodzenie.

Natomiast moja polityka wobec gen. Andersa niewątpliwie zakończyła się sukcesem, chociaż ten sukces miał inną formę, niż sobie tego życzyłem.

Zaczęło się od tego, że szereg ludzi, w tym bardzo inteligentny prof. Pragier, naciskali na mnie, abym spowodował jak najprędsze wyznaczenie następcy i przekazanie władzy przez Prezydenta Zaleskiego albo gen. Andersowi, albo prof. Brzeskiemu. Odkładając oczywiście na bok wszelkie względy protokólarne zacząłem odwiedzać gen. Andersa prawie codziennie, bo w moim kalendarzu odczytuję, że byłem u gen. Andersa w dniu 11, 12, 14 i 15 czerwca. Gen. Anders sam był zdaje się wzruszony moim brakiem pretensji do rewizyt, bo raz pamiętam spotkał mnie na stacji kolejki, kiedy późnym wieczorem przyjechałem do jego domu, co było bardzo uprzejmie z jego strony.

Dla mnie, wilnianina, konserwatysty i byłego ułana Dąbrowskiego generał Anders musiał być sympatyczny, jako zdecydowany anty-bolszewik. Ale wolałem, aby naszym Prezydentem został nadal p. August Zaleski, który nie miał żadnych powiązań z żadnymi „Free Europami", aczkolwiek pewni ludzie z jego otoczenia boleli nad tym. Dla mnie ten brak kontaktów z agenturami zagranicznymi, zajmującymi się sprawą polską, był największym politycznym kapitałem Prezydenta. Wiem jednak, że taki minister, jak p. Sokołowski, uważał to, co uważałem za kapitał za okropne upośledzenie i oburącz by się chwycił za koniuszek palca, który by mu z tamtej strony podano.

Słabością gen. Andersa było w moich oczach to właśnie, co powszechnie uważano mu za siłę, a mianowicie jego stosunki z różnymi angielskimi wojskowymi. Ja nigdy nie wierzyłem, że wojna z Rosją to tylko „ostatni rozdział" który ma nadejść za chwilę i wbrew opinii wielu rodaków nie tylko sobie nie życzyłem odtworzenia jakichś kondotierskich oddziałów polskich zagranicą, lecz wręcz się ich bałem. Wojsko to instrument polityki narodowej. Oddziały na obcym żołdzie, umundurowaniu, zaopatrywane w obcą broń i poddane rozkazodawstwu obcych generałów nie tylko nie byłyby żadnym czynnikiem wzmacniającym naszą samodzielność i swobodę ruchów, ale wręcz ciężarem.

Piłsudski stworzył legiony, ale Piłsudski także wstrzymał werbunek i wreszcie odesłał żołnierzy do Szczypiorna. Zresztą porównywanie z czasami Piłsudskiego nie wytrzymuje krytyki, Piłsudski działał na terenie własnego kraju.

Oczywiście jeszcze większym byłem przeciwnikiem angażowania w jakiejkolwiek formie Polaków do sieci obcego, a zwłaszcza angielskiego wywiadu.

Ale teraz chodziło o ratowanie legalizmu i zapobieżenie temu, aby gen. Anders od razu się przeciwko nam nie zwrócił. Toteż chciałem osiągnąć jedno : odciąć przynajmniej generała Andersa od Bergu. Było to trudne, gdyż ten generał jeszcze od czasów kiedy był szefem sztabu Dowbora w Poznaniu miał respekt do stronnictwa demokracji narodowej. Zresztą nawet teraz, u siebie w domu, nalewając mi uprzejmie herbatę, powiedział mi, że jego żona właśnie nagrywa płyty dla „Free Europe".

Powiedział to w sposób prosty i naturalny, jak uprzejmy gospodarz zabawiający gościa rozmową. A mnie, aż się kiszki do góry wywróciły. Żona Generalnego Inspektora, kandydata na następcę Prezydenta i „Free Europe".

Celem jednak wbicia klina pomiędzy gen. Andersa a bergowców przyniosłem mu tekst przemówień, jakie miały być wymienione pomiędzy nim, a Prezydentem w razie projektowanego wyznaczenia. Przemówienia te wytwarzały pewien stan polityczny, do którego dążyłem. Mogłem się obawiać, że generał Anders ich nie przyjmie. Ale Zagłoba, jak był w sytuacji rozpaczliwej, związany w krzyż do własnej karabeli, kiedy się z więzów wyswobadzał liczył na krzyżyk u rękojeści tej karabeli. Ja także liczyłem na taki krzyżyk, a mianowicie na klimat uczuciowy mojej redakcji przemówień. I nie zawiodłem się, bo widziałem, że się generałowi Andersowi te przemówienia podobały, toteż zgodził się na nie mimo prób opozycji ze strony p. konsula Poznańskiego, który asystował mojej rozmowie z generałem Andersem, jako jego doradca prawny.

Projekt tych przemówień brzmiał jak następuje :

Prezydent miał powiedzieć :

Panie Generale,

W tej chwili uroczystej, w której chcę wypełnić jeden z najbardziej istotnych obowiązków moich, mianowicie wyznaczenie mego następcy, pamiętam, że nie jestem bynajmniej Prezydentem wyłącznie emigracji polskiej, lecz Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej, Prezydentem całego Narodu, dziś znajdującego się pod okupacją obcą, lecz który pragnie odzyskania Niepodległości, że jestem Prezydentem nie tylko dla naszych żołnierzy na obczyźnie, lecz także dla tych żołnierzy, którzy służąc pod komendą sowieckiego marszałka, mają serca wypełnione miłością Ojczyzny i Wolności.

Złożyłem przysięgę następującą :

,,Świadom odpowiedzialności wobec Boga i historii za losy państwa przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy świętej jedynemu na Urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej: praw zwierzchniczych Państwa bronić, jego godności strzec, ustawę konstytucyjną szanować, względem wszystkich obywateli równą kierować się sprawiedliwością, niebezpieczeństwo od państwa odwracać, a troskę o jego dobro za naczelny poczytywać sobie obowiązek. Tak mi dopomóż Bóg i święta Syna Jego męka''.

Przysięga ta nakłada na mnie obowiązek ciężki, tragicznie w warunkach naszych trudny, a jednak wielki — utrzymania niezależności polityki polskiej za wszelką cenę, chociażby za cenę życia własnego lub największego poświęcenia osobistego.

W imię tych swoich obowiązków przeciwstawiłem się otwarcie temu, aby władza nad państwem miała być przekazana chociażby częściowo ludziom, którzy stanęli na stanowisku, że wolno jest jednocześnie bojkotować i sabotować wysiłki Skarbu Narodowego, tej jedynej podstawy do naszego działania samodzielnego, a czerpać źródła na utrzymanie własne i na działalność partyjną z kwot wypłacanych przez organizacje wywiadowcze państw obcych.

Ta moja walka o niezależność polityczną źle została zrozumiana przez część społeczeństwa polskiego, a jednak nie tylko nie mogę jej żałować, lecz myślę, że i Ty, Generale, ocenisz ją należycie, jako Polak, obywatel, żołnierz i oficer.

Ze wszystkich wodzów polskich ostatniej wojny, Ty jeden miałeś szczęście opromienić oręż Twych żołnierzy radością zwycięstwa, toteż mam nadzieję, że z tą samą lojalnością i takim poświęceniem wypełniać będziesz obowiązki Prezydenta Rzeczypospolitej z jaką narażałeś swe życie w boju.

Konstytucja nasza musi być w całości szanowana. Oby Bóg, litując się nad naszą Ojczyzną, pomógł Ci w Twych ciężkich obowiązkach, które spełniać zaczniesz w dniu, w którym przekażę Ci uprawnienia i obowiązki konstytucyjne.

Generał Anders miał odpowiedzieć :

Panie Prezydencie,

W chwili dzisiejszej myśl moja biegnie ku czasom, kiedy brałem udział w obronie sprawy, którą uważałem za obronę praworządności i Prezydenta Rzeczypospolitej w maju 1926. Pamiętam z jakim jednak uczuciem uznania i szacunku przeczytałem rozkaz Marszałka Piłsudskiego wydany po wypadkach majowych, a w nim słowa następujące :

...A jednak chcę być pewny, że nie kto inny, jak żołnierz polski pierwszy się ocknie, pierwszy do zgody i braterstwa stanie. Wspomnienie ...o tych walkach, któreśmy z sobą stoczyli, nie dzielić, lecz łączyć nas wtedy będzie,

jak wspomnienie gwałtownej sprzeczki pomiędzy kochającymi się wzajemnie i kochającymi swą rodzinę braćmi.

Panie Prezydencie z największym szacunkiem i wzruszeniem wysłuchałem słów Pańskich godnych i wielkich. Jako żołnierz nie obawiam się zadań trudnych i niebezpiecznych.

Przyjmij Panie Prezydencie zapewnienia, że będę pamiętał także i o innych słowach Piłsudskiego:

„W czasie kryzysów strzeżcie się agentów". Przysięgę, którą spełniałeś według sumienia swego i ja według sumienia własnego spełniać będę, kiedy władzę mi przekażesz".

Do powyższych tekstów gen. Anders wniósł drobne i całkiem rozsądne poprawki. Zamiast: „oficer i żołnierz" wpisał tylko żołnierz. Zamiast „z uczuciem uznania i szacunku" wpisał „z uczuciem ulgi", co było lepiej nawet pod względem stylistycznym. Ale wszystko to, o co mi chodziło, a mianowicie związanie urzędu Prezydenta z krajem i potępienie obcych agentur pozostało nienaruszone. W tej postaci przemówienia te były swego rodzaju absolutorium dla naszego stanowiska przeciwnego Zjednoczeniu.

Pertraktacje z generałem Andersem dłużyły się ze względu na ustalenie okresu przekazania mu władzy. Z początku generał Anders żądał natychmiastowego przekazania mu władzy, potem zgadzał się na okres trzymiesięczny. Wreszcie wyjechał poza Londyn. Kiedy w dniu 4 sierpnia zgłosiłem się znowuż do niego, do lokalu w muzeum Sikorskiego, przyjął mnie w sposób zgoła inny niż dotychczas. Widać było, że chce mnie zbyć i wobec tego zakończyliśmy rozmowę. Po powrocie na Eaton Place dowiedziałem się, że dokładnie w tej samej chwili w której gen. Anders rozmawiał ze mną, adiutant jego, ks. Eugeniusz Lubomirski, wręczał Prezydentowi w jego imieniu wymówienie posłuszeństwa.

Tegoż dnia wieczorem w przepełnionej sali miałem swoją drugą konferencję prasową przy świadkach, na której, jak się zdaje, znalazłem odpowiedni ton i odpowiednie prawne i uczuciowe argumenty dla przeciwstawienia się temu rokoszowi emigracyjnemu. Slogany które wówczas rzuciłem przyjęły się powszechnie i przez częste powtarzanie spospolitowały się z czasem, ale zdaje mi się, że były dobrze wynalezione.

Generał Anders oczywiście w żadnym wypadku nie miał żadnego prawa do arogowania sobie charakteru Trybunału Konstytucyjnego i proklamowania detronizacji Prezydenta. Ale gdyby to uczynił w dniu 9 czerwca, to taka deklaracja, będąc oczywiście tak samo błędna pod względem prawnym, miałaby zupełnie inny wydźwięk polityczny.

Wydana po dwuch miesiącach pertraktacji o następstwo deklaracja gen. Andersa zamiast osłabić, ogromnie wzmocniła nasze stanowisko.

Dopiero po 4-ym sierpnia obóz legalistyczny uzyskuje szersze oparcie w społeczeństwie emigracyjnym. Tak się stało paradoksalnie, że owa deklaracja generała Andersa była jedy-

nym poważnym sukursem jaki otrzymałem w ciągu mych pierwszych miesięcy walki o utrzymanie Prezydenta. Nie wiem więc, czy wygrałem swą rundę z gen. Andersem, ale że on ją przegrał, to pewna.

NASTĘPSTWO KSIĘCIA EUSTACHEGO SAPIEHY

Podobno gen. Anders działał w dniu 4 sierpnia na podstawie jakichś niedorzecznych plotek, które mu znoszono. W ogóle Polacy, którzy mają tak mało zdolności do obiektywnego rozeznania w dziedzinie polityki międzynarodowej, posiadają nieprawdopodobny zmysł nie tylko do tworzenia fantastycznych plotek, ale do ich używania w sposób celny i złośliwy. Ja sam padłem ofiarą pewnej obrzydliwej plotki w związku z następstwem księcia Sapiehy, ale na szczęście oparłem się jej zwycięsko.

Sprawa następstwa Prezydenta, będąca jedną z najbardziej istotnych instytucji w naszej konstytucji, nie była od śmierci Prezydenta Raczkiewicza załatwiona. Wprawdzie Prezydent Zaleski sporządził akt wyznaczenia na to stanowisko śp. Tomaszewskiego, a po jego śmierci w dniu 11 sierpnia 1950 roku — generała Andersa, ale te nominacje wbrew wyraźnemu brzmieniu art. 24 konstytucji nie były ogłoszone i stąd nie były ważne. Była to sprawa trudna, ale nie uważałem za możliwe wycofywać się przed jej załatwieniem.

Moim ideałem byłby następca Prezydenta, który by przyjechał z kraju. Podkreślałoby to, że nasze władze nie są jakimiś władzami ghetta emigracyjnego, lecz reprezentują naród polski. Miałem na myśli jednego z najbardziej odpowiedzialnych polityków polskich, który nie uciekł z kraju ponieważ do końca życia chciał dzielić los swego narodu. Myślałem, że może da się go sprowadzić drogą legalną. Okazało się to jednak niemożliwe.

Wyszydzano moje projekty powołania na stanowisko następcy bądź emigracyjnego prezydenta litewskiego p. Łozorajtisa, bądź króla rumuńskiego Michała. Mógłbym się z tymi szyderstwami rozprawić gołym zaprzeczeniem, bo w rzeczywistości nigdy konkretnie nie wystąpiłem jako premier z projektem tego rodzaju, ani takich propozycji nikomu nie czyniłem. Ale nie lubię ustępować przed zbyt solidarną opinią publiczną, gdy się wybanalnia w sposób mało inteligentny. W swej walce o niezależność polityki polskiej wobec obcych agentur widziałbym bardzo chętnie współpracę z takimi emigracyjnymi organizacjami państwowymi, jak król Michał, czy p. Łozorajtis. Związanie się z tymi państwami jakimiś ściślejszymi węzłami byłoby dla nas bardzo pożyteczne. Jedna pani do której doszły te słuchy o moich rzekomych zamiarach w tym kierunku, powiedziała mi : ,,To nie byłoby takie głupie, jak to wygląda''. Było to bardzo trafne ujęcie sedna rzeczy.

Nie mogąc pozyskać nikogo z kraju wysunąłem kandyda-

turę księcia Sapiehy, człowieka o wybitnej i szerokiej inteligencji, mającego szczególny dar ujmowania sobie ludzi i z tym wszystkim człowieka jak najbardziej odległego od jakichkolwiek ambicji osobistych. Miałem wiele trudności, aby go uprosić, żeby przyjął to stanowisko.

Skład Rady Ministrów w sierpniu już był inny. Teraz już mnóstwo ludzi z powrotem chciałoby być ministrami. Dr Dziadosz ustąpił, motywując swe ustąpienie, że nie może się zgodzić z moimi metodami pracy, aczkolwiek nie wyszczególniał co właściwie miał do zarzucenia tym metodom. Wiem, że mu ciążyły zbyt częste posiedzenia Rady Ministrów, ale ja sam byłem obecny w biurze przeważnie od 11-ej rano do północy i przemęczenia nie czułem, wobec nawału prac, które uważałem za ważne i bardzo szczupłego personelu pomocniczego. Byłem wdzięczny dr Dziadoszowi i za współpracę bardzo lojalną i za ustąpienie.

Po dłuższych namowach udało mi się namówić p. Pająka, aby objął ministerstwo skarbu. Wzdragał się, gdyż jego ,,Związek Socjalistów Polskich'' wciąż był w opozycji co do pozostawania Prezydenta Zaleskiego na stanowisku Prezydenta. W końcu udało mi się namówić go, aby wziął urlop ze swego stronnictwa i został ministrem. Poza tym kiedy Prezydent mianował w miejsce generała Andersa Inspektorem Sił Zbrojnych generała Michała Tadeusza Tokarzewskiego-Karaszewicza, zaproponował temuż generałowi, aby czasowo objął także ministerstwo Obrony Narodowej.

O wyznaczeniu księcia Sapiehy na następcę nie wiedział nikt przed ogłoszeniem tego wyznaczenia na konferencji prasowej ze świadkami w dniu 4-ym września. Dopiero na cztery godziny przed tą konferencją powiadomiłem Radę Ministrów o tym kandydacie. Potem się dowiedziałem, że kilka osób obecnych na konferencji prasowej znało to nazwisko, gdyż dopłynęły do nich wiadomości przez kanał ,od którego normalnie największej dyskrecji się wymaga.

Personalia zawsze najbardziej interesują Polaków. Toteż w zatłoczonej do niemożliwości sali konferencyjnej wszystkie oczy natarczywie i niecierpliwie pytały się mnie : ,,Kto''. To powszechne zainteresowanie rozbudziło we mnie wszelkie zdolności krasomówcze. Mówiłem więc o Krzyżu Niepodległości, o generale Andersie, o umowie paryskiej, o bliskich wyborach, zapowiedziawszy na samym wstępie, że mam do odczytania dekret o wyznaczeniu następcy. Wiedziałem, że niecierpliwość rośnie, ale i że tematy, które po kolei poruszam wzbudzają szczere zainteresowanie. Aż wreszcie zacząłem czytać dekret :

,,na podstawie art. 24 ust. 1. Ustawy konstytucyjnej wyznaczam... (tu pozwoliłem sobie zrobić króciuteńką pauzę) byłego ministra spraw zagranicznych Eustachego Sapiehę''.

Przyznam się, że czytałem ten dekret Prezydenta z radością. Nie miałem żadnych wątpliwości, że w tej chwili robię dobrą i rzetelną robotę.

SKARB NARODOWY

Generał Odzierzyński wydawał miesięcznie przeszło dwa tysiące funtów, p. Hryniewski przeszło trzy tysiące funtów, ja zaledwie kilkaset funtów, które zdobywać musiałem z niesłychanemi trudnościami. Mnie osobiście wypłacał minister skarbu od 5 do 10 funtów tygodniowo, a jednak i za te apanaże byłem atakowany i krytykowany w okresie późniejszym.

Premier Hryniewski zostawił mnie bez grosza. Na kilka dni przed przekazaniem mi urzędu wydał 50 funtów na koszta procesu o odzyskanie gmachu Ambasady. Gdy się pytałem, czy ten proces może mieć jakiekolwiek powodzenie w sądach angielskich, powiedziano mi, że absolutnie żadnych. — Więc po cóż go u diabła wszczynać? — Przegramy w instancjach niższych, będziemy apelować do Izby Lordów, gazety będą o tym pisać, będzie to propaganda. — Ależ wnoszenie skargi do Izby Lordów to dziesiątki tysięcy funtów i poza tym cóż to za propaganda przegrywać procesy! W oczach Anglika, jak się przegrało proces, to znaczy, że się nie miało racji.

W tych ciężkich chwilach dał mi na zapłacenie pensji urzędnikom hr. Stefan Zamoyski 300 funtów, poza tym uskuteczniłem wycieczkę do Paryża w celu odzyskania sum bajońskich pułkownika Kamieńskiego. Z tej wycieczki nie przywiozłem nic ponad stwierdzenia kto mianowicie za sprawę Kamieńskiego jest najbardziej odpowiedzialny.

Generał Anders był prezesem Skarbu Narodowego i miał za sobą większość komisji głównej. Oczywiście byłoby zupełną niekonsekwencją dopuścić do tego, aby na komisji zapadła uchwała przekazująca Skarb Narodowy Radzie Trzech.

W komisji głównej mieli także głos pp. Hryniewski, Kuncewicz i Modrzewski. Z tym ostatnim współpracowaliśmy wtedy zupełnie zgodnie, pomimo pewnych zamieszek, które wnosili różni ludzie o nieposkromionym temperamencie. Wspólnie z p. Modrzewskim utrzymaliśmy zasadę, że utrzymamy nazwę Skarb Narodowy i nie będziemy jej zmieniać na Polski Skarb Narodowy za czym opowiadał się minister Pająk.

Po rozwiązaniu dekretem komisji głównej tamta strona nałożyła pieczęcie i kłódki na pokój komisji brytyjskiej. Było to zupełnie bezprawne. Zaalarmowany zjawiłem się na plac operacji politycznych. Zastałem urzędników komisji brytyjskiej, nam sprzyjających, na ulicy, a urzędniczki na korytarzu przed samymi opieczętowanymi drzwiami. Na moją prośbę i w mojej obecności p. Deiholos zerwał pieczęcie i kłódki.

Natomiast przeciwstawiłem się myśli wytoczenia gen. Andersowi procesu sądowego o dom przy Emperors Gate. Wychodziłem w tej sprawie i z założeń praktyczno-poziomych i zasadniczo-absolutnych. Naprzód nie mieliśmy na ten proces żadnych pieniędzy, po drugie nie wierzyłem żebyśmy go wygrali. Musielibyśmy przed sądem angielskim powoływać się na dekrety

Prezydenta Rzeczypospolitej, który przecież nie był uznawany w Anglii i których moc byłaby więc dla angielskiego sądu bardzo wątpliwa.

Ale ponad to wszystko górował we mnie pogląd, że mamy prowadzić politykę niezależną mobilizując poczucie dobrowolnego obowiązku obywatelskiego. Uważałem, że my, jako państwo polskie na emigracji jako jedyną egzekutywę możemy mieć poczucie lojalności naszych obywateli, tak jak kościół katolicki za jedyną egzekutywę ma poczucie dobrowolnego posłuszeństwa katolików i jak ktoś do spowiedzi nie przychodzi to do niego przysyłać policjantów nie usiłuje. Jeśli ktoś Prezydenta nie słucha to nie będę tego egzekwował przez sąd Państwa, który także tego Prezydenta nie uznaje.

Natomiast spakowanie manatek i przeniesienie biura komisji brytyjskiej z Emperors Gate na Eaton Place nastąpiło bez mojej wiedzy i zgody i wbrew moim intencjom, bo chciałem, aby tamci nas wyrzucali. Tu ponoszę tylko winę in custodiae.

To moje stanowisko było przedmiotem wielu krytyk, to też raz jeszcze podkreślam, że winę, czy zasługę, że sprawa Skarbu Narodowego nie znalazła się przed Sądem angielskim ponoszę wyłącznie ja.

Byłem na wiecu w Leeds. Atakowano mnie tam w sposób zupełnie łobuzerski. Przykro mi było, że ten kto mi najwięcej wymyślał nosił nazwisko Nieczypurowicz, które budziło we mnie echa ze wczesnego, sielskiego dzieciństwa. A jednak nie pozwoliłem na wezwanie policji. Uważałem, że właśnie wtedy najbardziej tracę charakter premiera, kiedy przywołuję na pomoc policję obcą i było mi przykro, że mój następca i były kolega zaczął pierwszą swą konferencję od wezwania policjantów dla swej ochrony.

SPRAWA WYBORÓW

Pan Hryniewski doszedł do premierostwa pod hasłem, że gen. Odzierzyński chce odkładać wybory, a one są koniecznie potrzebne zaraz. Jednak, jak wyznaczyłem wybory na 7 listopada, to p. Hryniewski, łącznie z p. Kuncewiczem, poparci całkowicie przez p. Bugayskiego i p. Modrzewskiego chcieli koniecznie ten termin przesunąć. Uzyskali nawet łączną audiencję u Prezydenta w tej sprawie, po której Prezydent w mojej obecności im powiedział : ,,Wiele argumentów panów mnie przekonało'' zaznaczając jednocześnie, że kwestia terminu zależy od uznania rządu.

Odkładanie terminu byłoby nowym zawodem dla opinii publicznej i byłoby bardzo nieprzyjemnie dla nas wykorzystane. Poza tym na odkładanie nie miałem pieniędzy, które już były wydane na zmontowanie jakiej takiej organizacji mającej działać dnia 7 listopada.

Zwłaszcza p. Kuncewicz, który twierdził, że ma tak olbrzymią organizację w Wielkiej Brytanii, brał do serca odłożenie

wyborów. Kiedyś u mnie w gabinecie tak zaczął krzyczeć, że podobno królowa kazała zamknąć okna, aby jego krzyk nie zbudził małej królewny Hani, która spała. Jak wiadomo pałac jest odległy zaledwie o parę ulic od Eaton Place. Tknięty dbałością o sen dzieci królewskich otworzyłem przed p. Kuncewiczem drzwi na korytarz.

W rezultacie p. Kuncewicz poszedł do wyborów skartelizowany z p. Hryniewskim. Obydwie te potęgi wyborcze na 26 mandatów zdobyły tylko jeden i to z listy centralnej. W jednym z okręgów, w którym p. Kuncewicz zapewniał, że obsadzi nam wszystkie komisje obwodowe, czyli przeszło dwieście osób, na jego listę padły zaledwie dwa głosy.

Podobno jednak to niepowodzenie miało dwie przyczyny. Raz, że tego dnia w tym okręgu padał deszcz, a dwa, że ci którzy mimo deszczu przyszli, nie chcieli głosować na Kuncewicza.

Agitacja wyborcza miała nerw i życie, co zawdzięczaliśmy przede wszystkim p. Janowi Matłachowskiemu, który borykając z nieprawdopodobnymi trudnościami finansowymi, dolewał oliwy do ognia w swoim „Tygodniku''. W wyborach uczestniczyły cztery listy, ale nie przypisywałem żadnego znaczenia temu, kto zwycięży w tej konkurencji. Chodziło mi wyłącznie o frekwencję. Uzyskaliśmy w wyborach 7 listopada 4.661 głosów. Oczywiście strona przeciwna krzyczała, że to bardzo mało. Było to jednak bardzo dużo, ze względu na śmiesznie małe pieniądze, którymi rozporządzałem, na znikomą ilość Polaków w Wielkiej Brytanii w ogóle, na 18 tysięcy Polaków obywateli angielskich, których wyłączyliśmy od głosowania i na bardzo silną agitację za bojkotem wyborów.

W dniu 9 czerwca było koło Prezydenta zaledwie kilka osób, obecnie stanęło przy nim już 4.661. Pozwolę sobie oświadczyć, że było to wynikiem mej energicznej pracy w tym okresie i mego sprzeciwu wobec wahań i zakrętasów w rodzaju pomysłów odkładania wyborów.

W naszej ordynacji wyborczej istniał przepis, że 60 członków Rady będzie mianowanych przez partie. Układając tę ordynację musieliśmy mieć na względzie, że będzie tu chodziło o wszystkie stronnictwa polskie zarówno z Rady Narodowej, jak Rady Politycznej, przy czym ostateczny podział tych mandatów miał być zatwierdzony przez komisję rozjemczą.

Głosiłem hasło, że głosowanie powszechne ma rozstrzygnąć nasz spór wewnętrzny. Wielka Brytania miała wybrać 26 członków Rady, a tutaj p. Kuncewicz sobie życzył, aby całe 60 mandatów były rozdane pomiędzy kanapowe stronnictwa, które w ciągu tych kilku miesięcy zdążyły na zamek powrócić.

Gdybym poszedł za jego żądaniem łatwo mógłbym usłyszeć zarzut, że nie dotrzymuję swych obietnic.

Toteż skorzystałem z przepisu o komisji rozjemczej i z tego oczywiście, że p. Kuncewicz na nic się zgadzać nie chciał i zaproponowałem, aby same stronnictwa ograniczyły liczbę

swej reprezentacji do 16 i ten wniosek przedstawiły komisji rozjemczej.

Dzięki żywemu poparciu min. Pająka i koncyliacyjnemu oraz inteligentnemu stanowisku prof. Pragiera udało mi się tę liczbę uzgodnić na wspólnym posiedzeniu wszystkich grup politycznych z wyjątkiem p. Kuncewicza.

Niestety Komisja Rozjemcza w składzie prof. Brzeski, płk. Bajan oraz płk. Górecki z niewiadomych mi powodów, postanowiła liczbę tę, nie wiadomo po co i na co, podnieść do 19, co stało się przyczyną zachwiania proporcji sił w Radzie i naraziło Prezydenta na nowe interwencje.

Chciałem przynajmniej utrzymać parytet pomiędzy ilością osób wybranych, a mianowanych przez partie i przez Prezydenta. Myślałem, że znakomite partie mianują 16, a Prezydent 10, tymczasem teraz trudno było wszystkich tych, których Prezydent chciał obdarzyć mandatami, zmieścić w liczbie siedmiu.

Zachowanie się moje w okresie nominacji Prezydenta zasługuje na najostrzejszą krytykę. Nominacje te kontrasygnowałem, czyli brałem za nie odpowiedzialność, tymczasem wyszedłem z założenia, że Rada Rzeczypospolitej jest instytucją kontrolującą Rząd, czyli nie powinienem mieszać się do tego, kogo Prezydent chce do niej wprowadzić.

Prezydent na skutek różnych próśb (teraz już się zrobiło wcale tłoczno koło Prezydenta, nic już nie przypominało tej pustki, która nas otaczała w dniu 9 czerwca) podniósł liczbę swych nominatów do 12 (według ordynacji miał prawo mianować 20, to jest dwunastu swych mężów zaufania i 8 na podstawie prezentacji organizacji społecznych) i wprowadził w ten sposób aż czterech członków i sympatyków organizacji p. Ścibora, który z miłością do Prezydenta łączył niechęć do mnie.

Zawsze uczę młodszych od siebie dziennikarzy, żeby nie używali określeń dosadnych. ,,Powinieneś tak człowieka scharakteryzować, aby czytelnik czytając to coś napisał, sam użył tego określenia dosadnego, ale nigdy go czytelnikowi nie podpowiadaj'' — wykładałbym w szkole dziennikarskiej. Muszę jednak powiedzieć, że na jakąś dłuższą charakterystykę p. Ścibora nie mam miejsca w tych wspomnieniach osobistych. Co najwyżej zaznaczę, że zawsze mnie niesłychanie dziwiło, jak Prezydent, człowiek o tak wysokiej kulturze umysłowej, człowiek z najlepszego towarzystwa, człowiek o wielkiej intelektualnej finezji, może się zamykać na kilka godzin dziennie by gwarzyć ze Ściborem. Przypominałem sobie pewną damę, która na starość układała co dzień pasjansa wypieszczonymi, długimi, pomarszczonymi palcami, a naprzeciwko niej stała jakaś babina kuchenna, pyzata i pyskata i trajkotała godzinami bez sensu.

Drugim moim błędem był pakt z p. Bugayskim. Delikatnie pozbyłem się gen. Tokarzewskiego, którego elokwencja na Radzie Ministrów pochłaniała zbyt dużo czasu i wprowadziłem do gabinetu dwuch zaleconych mi przez p. Bugayskiego nowych ministrów, do których zresztą miałem jak najżywszą sympatię

i szacunek, to jest gen. Ząbkowskiego i pułk. Geislera. Nie przypuszczałem, że nie minie kilka tygodni, a wszyscy oni będą prowadzić przeciwko mnie kampanię. Nie znam się na ludziach, ale muszę przyznać, że ludzie nie znający się na ludziach nie powinni być premierami.

Nie chcę zresztą przez powyższe powiedzieć, że w legalizmie nie było kogoś, kto jeszcze o wiele, wiele więcej ode mnie grzeszył całkowicie błędną oceną ludzi.

Wtedy jednak, po wyborach błogi optymizm przesłonił mi trochę przezorność. Oto w dniu 18 grudnia zebrała się w Denison Hall Rada Rzeczypospolitej — moje dzieło. Po przemówieniu Prezydenta wygłosiłem długie przemówienie w którym wyjaśniłem zależność jaka wiąże utrzymanie ciągłości państwowej z obroną niezależności polityki polskiej, powstrzymywaniem się od brania obcych pieniędzy i współpracy z wywiadami. Było to najlepsze przemówienie jakie w życiu wygłosiłem, i było mi przyjemnie jak jedna pani, żona Polaka, ale gorąca patriotka francuska i córka bardzo wybitnego generała francuskiego powiedziała mi, że tak przemawiających słyszała tylko ministrów francuskich. Była nawet łaskawa się wyrazić : ,,mężów stanu francuskich''. W tej mowie poruszyłem także po raz pierwszy sprawę Skarbów Wawelskich.

SKARBY WAWELSKIE

Skarby Wawelskie były przyczyną iż po raz pierwszy zrozumiałem, że nie zawsze mam właściwy klucz do opinii emigracyjnej. Sprawa Bergu mi się udała, dzielę zasługę podniesienia sprawy Bergu wyłącznie z p. Matłachowskim, poza tym wszyscy inni przystąpili do podnoszenia sprawy Bergu dopiero wtedy, kiedy zobaczyli, że to chwyta. Oburzała mnie sprawa Bergu, ale oburzyła także sprawa Skarbów Wawelskich, otóż w tej drugiej sprawie nie znalazłem zrozumienia, jakiego się spodziewałem. A przecież zdawało się, że każde dziecko polskie wie o Szczerbcu Chrobrego, o włóczni św. Maurycego tegoż Chrobrego, o ornatach haftowanych przez królową Jadwigę, o arrasach. Wydawało mi się straszne, że te rzeczy niszczeją i przepadają. W odpowiedzi spotkałem się nie tylko z brakiem entuzjazmu do ratowania, ale z drwinami. Dziwna jest zaiste psychologia emigracyjna. Czasami obrzydliwa. Ciągle miałem poczucie, że Skarby Wawelskie byłyby zupełnie przez społeczeństwo emigracyjne inaczej odczute, gdybym wystąpił z oskarżeniem, że ktoś je kradnie, że ktoś na tym robi interes. Wtedy byłby na pewno zgiełk. Ponieważ chodziło tu tylko o uratowanie od zniszczenia najdroższych naszych pamiątek narodowych więc było chłodno i lodowato.

Muszę tu zacząć od sprawy teczek w ministerstwie spraw zagranicznych. Teczki te zostały nielojalnie wypróżnione przez uprzednich urzędników ministerstwa, składających się albo ze

zwolenników zjednoczenia, albo z przyjaciół angielskich. Minister Sokołowski wraz z p. Starzewskim, niebezpiecznym analfabetą z sprawach polityki zagranicznej, znaleźli niejakiego p. Abramczyka, uprzednio długoletniego współpracownika czechosłowackiej antypolskiej agentury pseudo-białoruskiej i nuż go uznawać za ,,Prezydenta Białejrusi'', ,,reprezentanta narodu białoruskiego'' itd. Uważałem, że takie chwyty ośmieszają nas tylko, a sens tej całej komedii, polegający na dokuczeniu emigracji litewskiej, także był dla mnie nieuchwytny, więc atakowałem za tego Abramczyka bardzo ostro p. Sokołowskiego na posiedzeniach Rady Narodowej. Otóż teczka : ,,Białoruś. Tajne'' wręczona mi przez p. Friedricha, jedynego dawnego urzędnika centrali M.S.Z., który pozostał na swym stanowisku, zresztą tylko czasowo, zawierała wiersze p. Bohdanowiczowej o makach na Białejrusi wydrukowane w ,,Dzienniku Polskim'' i tego rodzaju materiał dyplomatyczny.

Natomiast teczki o Skarbach Wawelskich, widać przez nieuwagę zostawione zostały w archiwum M.S.Z. Rozczytałem się w nich z biciem pulsów w skroniach. Znalazłem tam raporty do generała Bora, do Odzierzyńskiego, do Hryniewskiego z których wynikało, że te nasze pamiątki, mające zresztą wartość antykwarską około 60 milionów dolarów są fizycznie zagrożone w swym istnieniu, niszczeją i gniją.

Zachowanie się moich poprzedników wobec tej tragedii narodowej było typowo biurokratyczne. Chowali dramatyczne ra- [illegible] pod stół, mając wymówkę, że o[illegible]jąc prawdę daliby ,,argumenty reżymowi''.

Zgodnie z przekonaniem, że każde łatwe wyjście jest zawsze wyjściem najgorszym, od razu ujawniłem sprawę Skarbów Wowelskich i zacząłem szukać środków ratunku, drogę do których znalazłem. Podczas bytności w Ameryce, dzięki pomocy p. ambasadora Józefa Lipskiego, oraz p. Szymczaka z Federalnego Banku Ameryki udało mi się uzyskać zgodę p. Dawida Finleya dyrektora najwspanialszego chyba Muzeum na świecie, że Skarby te zostaną ulokowane w Waszyngtonie, znajdą się pod czułą i fachową opieką oraz Muzeum wyda nam oświadczenie, że zostaną zaraz przewiezione do Polski skoro uznamy, że odzyskała ona Niepodległość. Dla tego planu należało jeszcze uzyskać zgodę rządu amerykańskiego i zgodę rządu kanadyjskiego.

Otóż premier Duplessis, który kiedyś pomagał nam ukrywać te skarby przed rządem komunistycznym, teraz widać upodobał je sobie i rozpoczął gwałtowną polemikę przeciwko moim zamiarom. Postawiłem wręcz przedstawicielstwu politycznemu Kanady w Londynie pytanie, czy uważają, że Skarby te stały się już kanadyjskie. Potem zwołałem konferencję prasową dziennikarzy zagranicznych pracujących w Londynie. Wszystkich oczywiście zaprosić nie mogłem, ale przyszli wszyscy zaproszeni, gdyż zafascynowała ich kwestia skarbów ukrytych w Kanadzie. Byli Francuzi, Włosi, Belgowie, Hiszpanie, Szwajcarzy, Niem-

cy i Austriacy. Ukazały się liczne artykuły w prasie tych krajów.

Obrona Skarbów Wawelskich poza tym, że była robotą konieczną, była jeszcze przyjemna. Te Skarby o których p. Duplessis, premier prowincji Quebec, w polemice ze mną mówił, że są warte nie 60 milionów, a tylko 20 milionów, były resztką naszej Niepodległości. Jak de Gaulle w 1940 roku, przebywając w Londynie, miał za sobą przynajmniej jakieś tam terytorium jeziora Czad, tak ja miałem za sobą te Skarby Wawelskie, które do nas prawnie należały, o ile się ich nie wydawało komunistycznemu rządowi w Warszawie. Byłem bądź co bądź w tym sporze o Skarby Wawelskie nie petentem, nie żebrakiem zawodzącym o litość, ale stroną, i przemawiałem nie jak petent, a jako strona. Moi rodacy zarzucali mnie, że się narażam rządowi kanadyjskiemu. Ze strachem patrzyłem na postępującą psychologię rezydenta, który gotów jest służyć własną żoną, aby się panu domu w którym rezyduje przypodobać. Miałem dopuścić do zniszczenia Skarbów Wawelskich, aby się nie narazić p. Duplessis.

Wtedy w grudniu 1954 roku nie mogłem wystąpić z propozycją odesłania tych Skarbów na Wawel. Ale oczywiście wybór pomiędzy zniszczeniem i zaprzepaszczeniem tych Skarbów, a ich odesłaniem na Wawel był dla mnie jasny. Mógłbym się tu powołać na przypowieść o dobrej matce z sądu Salomona.

PODRÓŻ DO AMERYKI

Generał Sosnkowski odmówił swoim partyjno-politycznym sojusznikom pomocy z detronizacji Prezydenta Zaleskiego. Namawiał ich nawet do wzięcia udziału w rozpisanych przeze mnie wyborach, co oczywiście było wyjściem nie tylko najprzyzwoitszym ale i z punktu widzenia tamtego obozu najrozsądniejszym. Dowiedziawszy się o tym zaraz publicznie oświadczyłem gotowość ustąpienia mu swego miejsca, aby jako premier wybory przeprowadził. Nie tylko nie dostałem odpowiedzi, ale mój gest był uznany za coś w rodzaju obrazy Majestatu. Prezesura Rządu Rzeczypospolitej to było za mało dla generała. On mógł już być tylko przełożonym Matki Boski Częstochowskiej czy czymś w tym rodzaju.

Generał Sosnkowski wkrótce potem wydał poufną instrukcję aby „Zaleskiego wygłodzić". Echem tej instrukcji były uchwały zjazdu Skarbu Narodowego w Stanach Zjednoczonych w Buffalo, które stojąc jeszcze ciągle na stanowisku praworządności i uznawania Prezydenta Zaleskiego, postanawiały, że wypłacać się będzie „na zlecenie Prezydenta" pieniądze placówkom dyplomatycznym i na cele kulturalne z pominięciem rządu polskiego w Londynie.

Ponieważ wpływy z Wielkiej Brytanii były niewystarczające, więc te uchwały istotnie groziły nam śmiercią głodową. Mu-

siałem więc jechać do Ameryki, aby to odrobić. Obawiałem się bardzo tej podróży, uważając siebie za człowieka bardzo nieodpowiedniego do poruszania się wśród środowiska Polonii amerykańskiej. Tymczasem stało się odwrotnie. Zostałem tam przyjęty bardoz serdecznie, bardzo gościnnie, musiałem się oczywiście dostosować do odmiennego od naszego systemu rozpatrywania różnych spraw, ale wyszedłem zwycięsko, powiedziałbym nawet nadspodziewanie zwycięsko. Udało mi się spowodować odwołanie uchwał w Buffalo i tak zwane uchwały w Detroit przywracały utrzymywanie Rządu polskiego w Londynie przez pieniądze „Polonii" amerykańskiej.

Chciałem aby razem ze mną wyjechał p. Bugayski. Braliśmy nawet razem wizy. Ale zabrakło pieniędzy na opłacenie za niego biletu lotniczego. Ustaliliśmy, że po przyjeździe do Chicago wystaram się tam o pieniądze na sprowadzenie jego. Tymczasem p. Szygowski nasz mąż zaufania w Chicago, w rozmowie prywatnej pierwszego dnia odradził mi występowania z tą prośbą, twierdząc, że zrobiłaby najgorsze wrażenie i jestem przekonany, że miał całkowitą rację. Zdaje się jednak, że ten incydent stał się tą szklanką wody wylaną na tren damy dworu, o której powiedział dowcipny Wolter, że stała się przyczyną wojny francusko-angielskiej.

Uzyskanie pieniędzy z Ameryki było więc całkowitą moją zasługą. Podkreślam to, bo nikt nie chciał dotychczas tego podkreślić, nawet mój kolega w rządzie i minister skarbu, p. Pająk któremu jak najbardziej wypadało rzecz tę zareklamować, zawsze mówił o tym raczej cicho i półgębkiem.

OPOZYCJA PRZECIWKO MOJEJ OSOBIE

Zaraz po powrocie z Ameryki zostałem zaatakowany przez większość Rady Rzeczypospolitej, składającą się z grupy p. Bugayskiego i grupy p. Ścibora.

Na plenarnym zebraniu Rady Rzeczypospolitej p. Ścibor oświadczył iż moje przemówienie na otwarciu Rady Rzeczypospolitej było „poniżej wszelkiego poziomu". Ponieważ wtedy mówiąc o samodzielności polityki de Gaulle'a wobec Anglików w 1940 roku użyłem zwrotu „czytajcie panowie pamiętniki de Gaulle'a", więc p. Ścibor wołał teraz: „komuż to p. Mackiewicz zaleca czytać pamiętniki de Gaulle'a — panu profesorowi Brzeskiemu, który był rektorem Uniwersytetu; p. Dziadoszowi, który był wojewodą i ministrem", itd., itd. wyliczając innych członków Rady Rzeczypospolitej, a skończywszy na czyimś nazwisku z dodatkiem: „który był starostą". Co to miało znaczyć, czy chodziło o to, że profesorowie nie powinni czytać, czy że zalecanie im jakiejś książki jest nieprzyzwoitością, tego nie wiem.

Argumenty p. Bugayskiego, człowieka oczywiście stojącego na zupełnie innym poziomie, niż p. Ścibor (nazwisko zresztą

nie-autentyczne, naprawdę p. Ścibor pochodził z Łodzi, gdzie był, jak mówił, nauczycielem kaligrafii) były bardzo demagogiczne. Pan Bugayski zarzucał mi, że chcę sprzedać Niemcom Odrę i Nisę, że jestem germanofilem, że chcę arrasy odesłać do Polski i mnóstwo rzeczy podobnych.

Mowy p. Bugayskiego rozpowszechniane przez niego nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale i w Ameryce wyrządziły wiele krzywdy legalizmowi.

Bronić samego siebie jest daleko trudniej niż bronić kogoś innego. Legalizm był obciążony po brzegi sprawą Augusta Zaleskiego. Teraz wyrastała druga sprawa personalna. Większość emigracji wołała : ,,wszyscy, tylko nie Zaleski'' teraz większość obozu legalistycznego zaczęła wołać : ,,wszyscy tylko nie Mackiewicz''.

Wierzyłem, że jedyny na emigracji mam program w polityce zagranicznej i dlatego chciałem się utrzymać na stanowisku premiera, ale wiedziałem, że nie mogę tego uczynić bez poparcia Prezydenta tak samo daleko idącego, jak to, które okazałem jego osobie.

Otóż Prezydent Zaleski nie przeszkadzał mi siebie ubierać w obrońcę niezależności polityki polskiej i w męża skrojonego na wymiar konstytucji kwietniowej, która całą odpowiedzialność za sprawę polską podczas wojny składa na Prezydenta Rzeczypospolitej. W głębi ducha myślę, że wolałby, aby ,,Free Europe'' była po naszej stronie i wolał być nie żadnym Piłsudskim, ale p. Loubet szanowanym przez większość parlamentarną. Nie liczył się z emigracyjnymi partiami politycznymi tylko w jednym jedynym wypadku, a mianowicie wtedy gdy żądały jego ustąpienia. Poza tym był całkowitym demokratą i ultra-parlamentarnym Prezydentem.

Z ministrów mego gabinetu pp. Ząbkowski i Geisler jak najbardziej otwarcie brali udział we wszystkich manewrach przeciwko mnie skierowanych, a gdy im na to wskazywałem proponując ustąpienie z gabinetu, to ustępować nie chcieli. Pan Lubodziecki odważnie stawał w mojej obronie. Do p. Pająka mój stosunek był dwojaki. Jako ministrowi skarbu zarzucałem mu, że podczas mego urzędowania nie przysporzył nam ani grosza pieniędzy. Natomiast umiejętnie i oszczędnie gospodarował tym, co było. Jako do polityka rozsądnego i lojalnego kolegi miałem do niego zaufanie całkowite i nie chciałem wierzyć plotkom, które ciągle do mnie dochodziły, że jest inaczej.

Z powyższego nie wynika, że Prezydent nie chciał mnie bronić. Przeciwnie według późniejszych oświadczeń przedstawicieli opozycji, Prezydent ,,wymógł'' na nich, aby nie wywoływali kryzysu, dopóki gen. Sosnkowski nie przyjedzie i nie odjedzie, tłumacząc im, że tylko ja dam sobie z Sosnkowskim radę.

PROF. DR JAN BIELECKI

Przyjazd gen. Sosnkowskiego wiele razy odkładany, jak to zawsze z tym generałem o wojskowej stanowczości bywa, nastąpił wreszcie w dniu 21 kwietnia.

Ponownie stałem na stanowisku, że gen. Sosnkowski powinien objąć prezesurę Rady Ministrów i rozpisać wybory. Ale gen. Sosnkowski nawet gadać o tym nie chciał.

Niech mi wolno będzie jednak w tym miejscu opowiedzieć dwa incydenty będące doskonałym uplastycznieniem tego co się życiem politycznym na emigracji nazywa.

Pierwszy incydent należy do rzędu chwytów nagonkowych na moją osobę. Podpisywałem wtedy niektóre artykuły pseudonimem ,,r.-r.-r.'' — trzy małe ,,r''. Otóż zdarzyło się, że wśród emigracji polskiej w Londynie znalazła się pewna dama, której nazwisko zaczynało się na ,,R'', oczywiście duże. Przy pomocy pewnego eks-dyplomaty, specjalisty od plotek wszelkiego rodzaju, uznano, że czuję do tej damy nieodwzajemnioną zresztą sympatię i oto p. Bugayski zapowiada w rozmowie z p. Pająkiem, że jeśli się do pewnego dnia ultymatywnego nie podam do dymisji, to opozycyjna część Rady Narodowej będzie chóralnie skandować to nazwisko na ,,R''.

Wzruszyłem ramionami na taki nie szantaż nawet, a szantażyk, ale dla pewności zapytałem się tej pani co o tym powie i otrzymałem odpowiedź, której się zresztą spodziewałem, połączoną ze wzruszeniem pięknych ramion:

— A niech wrzeszczą, bardzo będę rada.

Druga historia dotyczy prof. dr. John Bieleckiego.

Powiedziałem już, że nie znam się na ludziach, ale muszę dodać wyjaśnienie, że nerwowo odczuwam obecność szpiegów i samozwańców. Toteż gdy poznałem prof. dr. John Bieleckiego, profesora geopolityki na uniwersytecie w Chicago, wysłannika rządu amerykańskiego, to od razu zacząłem mówić, że mi się przypomina ,,Rewizor'' Gogola.

Ale pani Cezaria Jędrzejewiczowa i dr Tytus Komarnicki zebrali dla uczczenia prof. Johna Bieleckiego (który dumnie zaznaczył, że nie ma żadnych związków krwi z p. Tadeuszem Bieleckim) mnóstwo osób z samą panią Marszałkową na czele.

Na tym zebraniu w Instytucie generała Sikorskiego p. John Bielecki wygłosił dłuższe przemówienie wzywając wciąż obecnych do powstawania dla uczczenia bohaterów, których sobie przypominał jeszcze z pierwszej wojny światowej. Potem zgromadzeni po kolei zaczęli prosić go o pieniądze dla swoich instytucji. Jedni prosili o dwa tysiące dolarów, inni o trzy tysiące. Prof. Bielecki wszystkie te petycje skrzętnie zapisywał w swoim notesiku, co robiło wrażenie błogie. Wreszcie wstał pod koniec posiedzenia prof. Paszkiewicz. Był to jedyny człowiek, który nie prosił o pieniądze. Ale zwrócił uwagę, że jego książka o genezie Rosji ma doskonałą prasę w Anglii a złą w Ameryce, a to

dlatego, że w Ameryce krytyki o niej piszą nie Amerykanie, lecz Moskale. I tę słuszną pretensję prof. Paszkiewicza zanotował sobie prof. Bielecki, celem jej załatwienia.

Wkrótce jednak potem p. Paweł Jankowski zdobył informacje o osobie tego Bieleckiego. Żaden profesor, żaden doktór, żaden geopolityk, żaden wysłannik rządu Stanów.

Potem ten p. Bielecki chciał być u Prezydenta, przy tym pewna osoba zawiadomiła Prezydenta, że przychodzi on z „kapitulacją Rady Trzech". Odradziłem Prezydentowi aby go przyjął, sam go przyjąłem i przepędziłem.

Ale sprawdziłem potem, że naprawdę konferowali z nim pp. Rada Trzech, w towarzystwie gen. Sosnkowskiego i obarczyli go jakimiś poleceniami.

POLITYKA ZAGRANICZNA EMIGRACJI

Teraz przystępuję do rzeczy najważniejszej nie tylko dla tych wynurzeń osobistych, ale dla całej sprawy polskiej na emigracji.

Przez życie całe studiuję politykę zagraniczną. Twierdzę, że jestem jedynym polskim publicystą, który może się domagać, aby odczytano jego przewidywania co do polityki zagranicznej drukowane i podczas wojny i przed wojną.

Polityka zagraniczna emigracji, której chciałem się przeciwstawić, polegała na dwuch rzeczach.

Na udziale w organizacjach typu „Free Europe". Pchano się łokciami i nogami do tych organizacji i ci politycy, którzy w nich siedzieli patrzyli z góry na tych, którzy się do niej nie dostali. Już w swej mowie, otwierającej Radę Rzeczypospolitej, zaznaczyłem i uwypukliłem tę prawdę, że te wszystkie instytucje nie ulegają żadnym fluktuacjom, ani zmianom w miarę zmian polityki wobec Rosji. Polityka wobec Rosji w pewnych momentach nabiera charakteru jak największej koegzystencji, a ton „Free Europe" w budzeniu nadziei u narodów zza żelaznej kurtyny na wyzwolenie nie ulega żadnej zmianie. Stąd wniosek najprostszy, że te wszystkie „Free Europe" nie są organami wiążącymi w czymkolwiek politykę amerykańską, a tylko organami dywersyjnymi i nieodpowiedzialnymi. Każdy polski polityk biorący w tych wszystkich pół-agencyjnych instytucjach udział deprecjonuje się w oczach tych samych Amerykanów jako kontrahent.

Drugi typ zajęć polityków polskich na emigracji to wysyłanie memoriałów, telegramów i listów. Zbiera się taka czy inna konferencja genewska dla takiego czy innego popchnięcia sprawy koegzystencji naprzód, a oni piszą memoriał, jacy to komuniści źli i jak nas prześladują.

Dla mnie w tych wszystkich memoriałach było coś narodowo upokarzającego. Rozumiałem, że każdy taki memoriał mu-

siał powiększać w urzędnikach państw zachodnich wrażenie, że jednak Polacy to naród niepoważnych pajaców.

Myślałem i dążyłem do tego, aby jednak stworzyć zagranicą reprezentację prawdziwej polityki polskiej, broniącą poważnie interesów naszego kraju i narodu. Uważałem, że tylko wtedy, kiedy istotnie będziemy negotiorum gestor interesów naszego narodu, jeśli będziemy reprezentowali tylko taką politykę, za którą się opowiada większość narodu w kraju, mogą z nami w przyszłości ludzie odpowiedzialni gadać.

Ale oto słyszałem twierdzenie, że memoriały są konieczne ponieważ piszą je trojaczki. Dla mnie ten argument nie był zgoła argumentem.

Coraz bardziej mnie prześladował kompleks księdza, który przestał wierzyć w Boga a dalej mszę odprawia dla otrzymywania intencji mszalnych. Ja gdybym był takim księdzem, to może by utrata wiary w Boga była dla mnie tragedią, ale byłbym niezdolny do odprawiania dalszych nabożeństw.

Wydawało mi się, że moja obrona zasady niezależności w polityce polskiej zaczyna wydawać owoce. Gdym obejmował swe urzędowanie należało jeszcze ludzi przekonywać, że współpraca ze szpiegostwem obcym jest zbrodnią, gdym je kończył zaczynało się coraz bardziej upowszechniać przekonanie, że sprawa polska nie da się uważać za jakiś dodatek do polityki amerykańskiej, czy jakiejś innej. Wreszcie pod koniec mego urzędowania spotkało mnie zaproszenie do rozmów bardzo poważnych.

Ale zrozumiałem, że rozmów tych podjąć nie jestem w stanie. Nie tylko miałem, jako polski premier emigracyjny emigrację rozbitą na trzy obozy, ale mój własny obóz interesował się tylko tym, jak mnie wyrzucić. Toteż w dniu 21 czerwca wniosłem podanie o dymisję.

PO DYMISJI

Przedtem jeszcze, bo w dniu 20 czerwca, wysłałem do Prezydenta list prywatny zapowiadający moją dymisję i wyłuszczający jej powody.

Prezydent odpowiedział mi listem następującym, którego nie ogłosiłem wówczas w Pacie i ogłoszam obecnie po raz pierwszy :

Wielce Szanowny i Drogi Panie Premierze,

Aczkolwiek w dniu dzisiejszym miałem sposobność parokrotnego widzenia się z Panem niemniej czuję potrzebę dania pisemnej odpowiedzi na prywatny list Pana Premiera z dnia 20 czerwca.

Pragnę bowiem zadokumentować na piśmie, że list ten uważam za wzór stanowiska, jakie w sprawach państwowych winien zajmować prawdziwy mąż stanu.

Panie Premierze, przez podjęcie w tak ciężkiej chwili stanowiska Premiera i przez to wszystko czego dokonał Pan w ciągu roku urzędowania

dla uratowania legalizmu i umożliwienia prawowitym władzom Rzeczypospolitej Polskiej prowadzenia niezależnej polityki polskiej — zapisał Pan chlubnie Swoje stanowisko na kartach historii. Przez stanowisko zajęte w obecnym, o ileż mniejszym kryzysie, niż rok temu, dał Pan wyraz obiektywizmu i zaparcia się siebie, które wynosi Pana wysoko ponad naszych polityków, którzy znaleźli się na wychodźtwie.

Jestem pewny, że tego rodzaju człowiek, jak Pan, Panie Premierze, zawsze znajdzie drogę do służenia swemu Państwu bez względu na trudności i przeszkody jakie mu rzucają pod nogi ludzie nie będący w stanie wznieść się ponad drobne sprawy osobiste. Mam nadzieję, że pomimo chwilowego podniecenia niektórych czynników, obecne przesilenie skończy się skonsolidowaniem obozu legalnego i że będę miał możność dalszej długiej i owocnej współpracy z Panem.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i szczerej przyjaźni.

August ZALESKI

Podając się do dymisji nie chciałem jednak dopuścić do tego, aby rząd wyglądał jako koalicja grupek z Rady Rzeczypospolitej. Wiedziałem, że tego rodzaju rząd może tylko położyć legalizm. Toteż w swym liście dymisyjnym wkładałem całą odpowiedzialność za to, jak przyszły rząd będzie wyglądał, na Prezydenta Rzeczypospolitej.

Mój list dymisyjny z 21 czerwca 1955 roku brzmiał jak następuje :

Panie Prezydencie Rzeczypospolitej,

Chcąc w czasie emigracyjnych potępieńczych swarów podkreślić i uwydatnić zasadę, że wskutek ujarzmienia narodu polskiego i niemocy wypowiedzenia jego woli, całość konstytucyjnej odpowiedzialności za politykę Państwa spoczywa na Prezydencie Rzeczypospolitej, jako na przedstawicielu ciągłości prawnej Państwa, zgłoszam na ręce Pana Prezydenta dymisję Rządu korzystając z okazji zakończenia pierwszej sesji Rady Rzeczypospolitej Polskiej, powołanej przy udziale Rządu, któremu miałem zaszczyt przewodniczyć, a to dla ułatwienia Panu, Panie Prezydencie, najswobodniejszego wyboru premiera i Rządu.

Stanisław MACKIEWICZ

Wchodziliśmy właśnie w okres konferencji genewskiej. Zarówno w instrukcji dla placówek dyplomatycznych, jak w oświadczeniu publicznym podkreślałem :

że nie powinniśmy się przejmować słuchami o rzekomym podjęciu nacisku na Rosję w sprawie narodów zza żelaznej kurtyny. Przestrzegałem, że słuchy te są puszczane tylko dlatego, aby nas raz jeszcze sprzedać w pierwszym dniu konferencji. Tak się też stało;

że Rząd emigracyjny stoi na stanowisku Europy zjednoczonej pod względem gospodarczym, politycznym i moralnym. To drugie podkreślenie wypowiadane było nie dlatego, abym choć przez chwilę myślał, że zjednoczenie Europy jest aktualne w lip-

cu 1955 roku ale dlatego aby zerwać z niepoważną sztubacką koncepcją „Międzymorza”.

O „Międzymorzu” dużo pisałem gdzie indziej, trudno mi powtarzać na tym miejscu swe argumenty.

Przewidywałem i wypowiadałem to publicznie, że Genewa będzie nową klęską dla emigracyjnych nadziei. Toteż przygotowywałem nowy system polityki emigracyjnej.

W dniu 27 lipca wyleciałem samolotem do Genewy na pewne konferencje. Przed tym wyjazdem Prezydent powiadomił mnie, że zamierza powołać p. Hankego na premiera.

Po powrocie jednak z Genewy w poniedziałek 1 sierpnia dowiedziałem się, że gabinet Hankego przeistoczył się w całkowitą kapitulację Prezydenta przed grupami Rady Rzeczypospolitej oraz że p. Hanke wyjechał na dwa dni, lecz będzie w Londynie nazajutrz.

Prezydent prosił mnie, abym został ministrem bez teki. Nie miałem zamiaru przyjmować tego zaszczytu ustąpiłem jednak ze względu na jego prośbę.

Nazajutrz jednak p. Hanke się nie zjawił i przez kilka dni nie wiedzieliśmy co się z nim stało. Przyjechał dopiero w sobotę 6 sierpnia i wytłumaczył, że był w Lourdes. Na pytanie czemu nie dał znać Prezydentowi lub mnie, powiedział, że nie miał pieniędzy na marki.

Wydawało mi się to dość niepoważne, ale Prezydent polecił mi przekazać mu urzędowanie, co też uczyniłem w dniu 8 sierpnia.

Wstąpienia do gabinetu p. Pająka odmówiłem, i zaraz spotkała mnie nielojalność i przykrość ze strony, z której najmniej tego spodziewać się mogłem.

Stanisław MACKIEWICZ

Czy radio, film i prasa zagrażają kulturze?

(X-te „RENCONTRES" GENEWSKIE)

Tegoroczny temat wymagał udziału specjalistów z dziedziny wielkich nowoczesnych środków rozpowszechniania, ludzi walczących co dzień z najróżnorodniejszymi problemami — intelektualnymi, uczuciowymi, moralnymi, estetycznymi, socjalnymi i materialnymi — jakie te dziedziny bez przerwy narzucają. Ci specjaliści jeszcze raz zawiedli. Jest to dla mnie alarmujący znak, dotyczący naszej kultury: większość specjalistów ugina się pod nawałem codziennych spraw i nie panuje już nad swoją pracą, nie zastanawia się nad celowością swego wysiłku i nie ma czasu na konfrontację z innymi; większość ludzi słowa oddaje się swoim ćwiczeniom w otoczeniu niedoświadczonym, bez odporności ideologicznej, nie wytrzymującym próby czynu.

Nasze spotkania zgromadziły w bieżącym roku znowu prawie wyłącznie pisarzy i profesorów. Spomiędzy sześciu mówców jedynie Vladimir Porché był wyjątkiem. Ale i on kieruje radiem francuskim ze zbyt wysoka, aby mógł nam powiedzieć o błądzeniu po omacku i codziennych doświadczeniach w studio.

Politycznie — w wyniku zarówno „odprężenia" jak i chęci zwalczania powstającego skostnienia — oblicze Spotkań zmieniło się. Pamiętamy o udziale komunistów w pierwszych latach powojennych. Później wycofali się — niezadowoleni z przyznanego im miejsca. Tym razem mieli vedettę — sowieckiego powieściopisarza, Ilję Erenburga, jednego z ostatnich żyjących ze starej gwardii sowieckiej, który widział jak pod ciosami najbardziej zniesławiających oskarżeń padali wszyscy jego dawni towarzysze walki. Ale za to — w przeciwieństwie do lat ubiegłych — nie zaproszono *nikogo* spomiędzy emigrantów ze Wschodu Europy. Dano w ten sposób, w obecności Erenburga, jaskrawe potwierdzenie propagandzie sowieckiej, która nie prze-

staje głosić, że emigranci dla Zachodu są niczym i że w ogóle nie są dopuszczeni do głosu.

Na wstępie trzeba stwierdzić, że o ile tegoroczne obrady utrzymane były na dość zadawalającym poziomie to jednak nie było ani wznioślejszych momentów, ani nikogo wybitnego. W sumie zaznaczyły się one raczej bogactwem szczegółów i przykładów niż siłą syntetycznej czy głębokiej refleksji. Pewnego rodzaju rozpraszanie się w sprawach kulturalnych zwalniało często naszych mówców od skupienia się na głównym celu.

GEORGES DUHAMEL, był obłożnie chory. Jego tekst pt. *Kryzys cywilizacji,* doskonale odczytany przez Jean Amrouche'a, dotknął zaledwie całej masy zagadnień, które narzucają się wszędzie po trochu. Był zbyt płynny, aby wywołać dyskusję.

V. PORCHE, mówiąc o *Roli radia i telewizji w rozwoju wiedzy* postawił te dwie dziedziny techniki przed trybunałem kultury i rozpatrzywszy różne główne oskarżenia, które się im stawia — udzielił im rozgrzeszenia. Pokazał siłę bezpośredniej transmisji w walce z kłamstwem. Opisał surowe wymagania dotyczące formy, prostoty i ścisłości, jakie radio narzuca słowu ludzkiemu i słusznie uznał to za dorobek kultury. Sprzeciwiając się hierarchicznej specjalizacji programów, żądał zniesienia kast i wezwał intelektualistów, aby zdali sobie sprawę ze swej misji : trzeba aby ,,uwiedli cały świat'' ucząc poprzez rozrywkę. Opisał niezliczone masy odbiorców do których radio i telewizja docierają w ich zaciszu domowym, obdarzając w ten sposób naszą planetę systemem nerwowym, rozpościerającym nad całą ziemią uczuloną siatkę.

GIACOMO DEVOTO, nakreślając więzy pomiędzy *Wolnością i granicami wiedzy* ukazał myśl liberalną powołując się na najróżniejsze dziedziny kulturalne, jak prehistorię, matematykę, fizykę nowoczesną, malarstwo i literaturę. Kryzys kulturalny następuje wówczas gdy załamuje się równowaga pomiędzy bezinteresownym poszukiwaniem a wysiłkiem technicznym. Pomimo pozorów, poprzez zmianę utrzymuje się nadal dialektyka ciągłości. Nasza epoka posiada niebezpieczny przywilej zakwestionowania wolności i granic swoich własnych możliwości ekspresji. Każde słowo odtąd staje się arbitralne i częściowe. Zachwianie dogmatyzmu działa na korzyść techniki, która odzwierciadla zarazem skromność jak i pychę nowoczesnego człowieka. Zagadnienie równowagi staje jeszcze raz przed nami : czy będzie się korzystać ze zdobyczy technicznych dla uwiedzenia czy zniewolenia, czy wszyscy będą dzielić z klasą rządzącą jej ambicje, a zwłaszcza jej obawy? Każda cenzura zawiera w sobie nowe niebezpieczeństwo. Prawdziwym lekarstwem byłaby kontrola publiczności zdolnej do obiektywnego spojrzenia. Główne zadanie spada wskutek tego na nauczycieli, którzy ,,kształtują'' z rozwagą. Należałoby w szkołach komentować ar-

tykuły polityczne, ukazujące się w gazetach, rozwijając w ten sposób zmysł krytyczny u uczniów. Należałoby im wskazywać na to, że uczony nie jest człowiekiem, który wszystko wie na pewno, ale jest tym, który sam ogranicza swoją wiedzę. Rola uczonego, zdolnego do kontemplacji równa jest dzisiaj roli średniowiecznych mnichów: winien zapewnić ciągłość kultury.

ANDRE CHAMSON mówi łatwo, płynnie i stylem tak ozdobnym, jakim zazwyczaj przemawiają ci, którzy nie wiele mają do powiedzenia; a jednak powiedział on niemało. Przeciwstawił *Mowę i obraz*. Czterdzieści lat temu kulturę tworzyła mowa, ale ta cofa się dziś przed falą obrazów, która spływa na publiczność coraz bardziej nimi zafascynowaną: wystawy, fotografia, kino, telewizja. A jednak to nie po raz pierwszy dominuje obraz — pomyślmy chociażby o portalach katedr. Panowanie słowa zaczęło się wraz z drukarstwem i trwało cztery wieki. Tradycyjne obrazy ucieleśniały marzenie poprzedzające dzieło. Dzisiaj liczy się tylko charakter i styl malarski. Z drugiej strony fotografia i kino oddają się swoistemu rabunkowi świata bez poprzedzającej pracy ducha. A więc, podczas gdy słowo przez konfrontację i sprzeczność wzywa do wolności, obraz jest potwierdzeniem nie dialektycznym, ma w sobie coś z reklamy i totalizmu. Czy jego przewództwo nie wpłynie na przemianę ludzi w robotów? Kultura, która nie uczy nas lepszego współżycia z naturą i z bliźnimi jest kulturą kaleką. Rzecz zasadnicza to zrozumienie sztuki życia, które znajdujemy u najskromniejszych.

ILJA ERENBURG nazwał swój odczyt *Drogą wieku*. Jest absurdem, powiedział, oskarżać wynalazki techniki. Film i radio nie są bardziej winne niż drukarnia. Wszystko zależy od treści. Trzeba podnieść środki techniczne do poziomu człowieka który je użytkuje, a następnie do poziomu społeczeństwa którego on jest członkiem. Tu leży prawdziwa odpowiedzialność. Szkodliwy rozwój *comicsów* w Ameryce nie jest rezultatem wynalazku technicznego, ale faktu, że wydawnictwo jest zmonopolizowane przez grupę nieodpowiedzialnych ludzi. Te *comicsy* spopularyzowały *nad-człowieka,* który tępi Murzynów, Chińczyków i Żydów. Wolność prasy służy im za alibi, tak samo jak propagandzie nienawiści, która wiedzie do wojny. Dlaczego skoro wezwanie do pojedyńczego morderstwa jest powszechnie zabronione miałby być dozwolony apel, wzywający do morderstwa milionów? Dzisiaj traktowanie kultury, jako sprawy elity jest już niemożliwe. Wymiany, przekłady powiększają się z dnia na dzień zwłaszcza pomiędzy Chinami i Europą. Kultura dąży do powszechności podczas gdy jednocześnie budzą się nowe kontynenty i uśpione masy starych krajów. Erenburg przeciwstawia Zachód Rosji Sowieckiej w pełnym rozwoju. Dzisiejsza powieść sowiecka nie jest gorsza od francuskiej czy angielskiej, często jest bardziej interesująca. Te dzieła są tam szeroko dyskuto-

wane przez czytelników, którym równych nigdzie się nie znajdzie, gdyż wielu z nich to dawni analfabeci zgłodniali kultury. Statystyki sprzedaży książek we Francji wskazują na spadek poziomu, podczas gdy w Z.S.S.R. jest na odwrót. Pewna młoda dziewczyna, w Stalingradzie, podczas wojny, nocą, bez światła, odczytywała z pamięci dobre książki, które kiedyś czytała i ,,to jej pomagało walczyć ze śmiercią''. Kultura nie jest ani muzeum, ani procentami od zebranego dawniej kapitału. Kiedy jest wyłącznie udziałem małej elity — znajduje się na łasce najmniejszego wydarzenia społecznego. Wielkim zadaniem wszystkich jest wzbogacenie kultury niepodzielnej i ludowej poprzez współpracę międzynarodową.

JEAN DE SALIS postawił sobie pytanie czy stoimy dzisiaj w obliczu *zatraty czy przeobrażenia kultury*. Dzisiejsza nowość kulturalna nie jest przede wszystkim natury technicznej : jest to zastąpienie zmysłu dynamiki optyką statyczną. Zresztą pojęcia uważane dotąd za niewzruszone, zostały znowu postawione pod znakiem zapytania. Względność opanowała nasze perspektywy. Kościoły, ustroje, kultury, style, tyle krystalizacji historycznych — przejściowych. Prelegent naszkicował złośliwy a zarazem wzruszający wizerunek ,,człowieka kulturalnego'' z okresu swego dzieciństwa — bardzo podobny do p. Bergeret — który przyjmował do wiadomości tylko rzeczy bezinteresowne i dla którego stałymi kryteriami cywilizacji było : dobrze mówić, dobrze zjeść i dobrze... spać. Był on sympatyczny, ale należał do świata, który się przeżył. Kultura natomiast nie ginie, ale się przeradza i tę metamorfozę należy popierać w imię przyszłych osiągnięć. Literatura, humanizm kurczą się na korzyść wiedzy, techniki, polityki : są to już dziś tylko specjalności tak samo dobre jak i inne, ale nie mają monopolu kultury. Kultura winna być jak najbardziej powszechna i to właśnie usprawiedliwia przede wszystkim środki jej rozprowadzania, które tworzą zaufanie do człowieka i społeczeństwa.

◆

W czasie dyskusji usiłowano wielokrotnie sprecyzować znaczenie słowa ,,kultura'', którego wielu uczestników używa — jak twierdzą — z obrzydzeniem. Ścierały się poglądy jednych — dla których kultura jest przede wszystkim związana z literaturą, sztuką, estetyką i ,,oratorstwem'', ale oddzielona od reszty życia, z poglądami innych — dla których jest ona przede wszystkim zdobyciem stanowiska wolnego i odpowiedzialnego, w ramach rzeczywistości społecznej i życia praktycznego, zarówno w formacji naukowej i technicznej jak i w humanizmie. Gdy Henri de Ziégler zapytał się czy oratorstwo nie jest pierwszym sygnałem wyróżniającym i najbardziej błyskotliwym kultury —

Jean de Salis odpowiedział mu: ,,A sztuka budowniczego włoskiego?''

Podczas gdy Denis Saurat, Philippart i inni zachwycali się ,,wspaniałą demokratyzacją'' kultury, niektórzy — w imieniu elity — boleli nad jej zbyt szeroką ekspansją, bo, jak mówili, ,,gdy kultura wygrywa na rozpowszechnianiu, traci na głębi''. Ilja Erenburg odpowiedział na to, „że zagadnienie ,,klerków'' i ,,elity'' było całkowicie lokalne i zostało przezwyciężone w wielkiej części świata gdzie różnica poziomów kulturalnych zniknęła wraz z klasami społecznymi. Mówił o wielkich ,,złożach świadomości'', jakimi stały się kontynenty i klasy społeczne, gdzie ludzie po raz pierwszy otworzyli książkę. Jednakowoż, zauważył Devoto, czytać — to jeszcze nie wszystko, i to nie jest zawsze synonimem kultury. Można czasem znaleźć prawdziwą kulturę pośród niepiśmiennych starców Kalabrii. P. Coindreau ubolewa, że dzieła literackie bardziej wyszukane, dostępne wyłącznie elicie, są miażdżone przez techniczny wynalazek — transmisję: W Ameryce, mówił, autor który nie nadaje się do adaptacji telewizyjnej, prawie przestaje być drukowany. P. Cohen-Séat odpowiedział, że rozumie bardzo dobrze, iż wydawcę o wiele bardziej interesują miliony tych, którzy patrzą w telewizję, niż dziesiątki czy setki wyrafinowanych studentów, którzy zachwycają się Baudelaire'm, Rimbaud'em czy Valéry'm. Jeśli idzie o kino to w ostatnim roku miało dwanaście miliardów widzów. W porównaniu z tym siła słów przestaje mieć jakiekolwiek znaczenie. W dzisiejszych czasach tylko kino może zapełnić luki kultury ludzkości.

W tym miejscu wielu z uczestników podjęło problem *bierności* słuchaczy i widzów wobec nowoczesnych środków rozpowszechniania. W jaki sposób zastąpić tę bierność przez udział, który jest warunkiem żywej kultury? Tutaj narzuca się konieczność *powszechnego nauczania,* już nie tylko po to, że wymaga tego sprawiedliwość, ale ponieważ jest ono warunkiem wszelkiej kultury. W istocie, czy się to komu podoba czy nie, to właśnie smak i pożądliwość mas określają w dużej mierze charakter programów, nadawanych ze studiów radia czy telewizji, rodzaj filmów i w ogóle wytworów przemysłowych. A nawet więcej, wolność, która jest nieodłączna od prawdziwej kultury, będzie mogła być zachowana tylko w tym stopniu, w jakim lud stanie się zdolny wziąć na siebie odpowiedzialność działania i kontroli, jakie na nim ciążą. Na koniec, na rynku ekonomicznym, dobra ,,kulturalne'' wytrzymają konkurencję z dobrami materialnymi i technicznymi tylko wówczas, jeżeli będzie ich pragnął naród, jako całość.

Poświęcono więc prawie dwa posiedzenia problemom powszechnego nauczania, któremu nasze społeczeństwa poświęcają ciągle za mało uwagi i niezbędnych środków.

P. Dotrens powiedział, że już od szkoły powszechnej należy przygotować dzieci do korzystania z wielkich środków rozpowszechniania kultury, należy to czynić z rozróżnieniem, uwa-

gą i zmysłem krytycznym zadając im ćwiczenia à propos filmów i programów radiowych, ćwiczenia podobne do ,,objaśnianych czytanek''. Mówiono o klubach kinowych i tele-klubach, które rozwijają smak, zdolność wyboru i namysłu u wielkiej liczby dorosłych widzów. Aby ci ostatni mogli naprawdę rozwijać się winny być wypełnione następujące przedwstępne warunki : wystarczająca ilość wolnego czasu, warunki życia pozwalające na odosobnienie, konieczne do każdej nauki, pewność jutra, zwalniająca myśli od zbyt niespodziewanych trosk materialnych. Wielu uczestników, a specjalnie Philippart, odrzuciło, w większej jego części, tradycyjne powszechne nauczanie, które dzieli się z jednej strony na : formowanie bojowych syndykalistów, a z drugiej na wulgaryzację kultury mieszczańskiej. W przeciwieństwie bowiem należy najściślej zmieszać to co jest ,,interesownego'' (dążenie do osiągnięcia wyższego szczebla na drabinie socjalnej czy znajomości syndykalnej) z tym co jest ,,bezinteresowne'' (to co się nazywało ,,kulturą ogólną''). Sposoby nauczania należy realizować biorąc pod uwagę to kim są robotnicy i co już wiedzą w zakresie swego zawodu, swego środowiska i swoich interesów. Tylko w ten sposób można bowiem uniknąć pomieszania wiadomości źle przyswojonych, co bardziej paraliżuje myśl niż ją podnieca, nakłaniając do poddania się i ustępstw i zachęcając klasę robotniczą do uniżonego i bezsensownego naśladowania form życia burżuazji. Prace i poszukiwania grupowe będą w tym wypadku sposobem bardziej płodnym niż kursa ex cathedra, gdyż będą mogły wywołać żywe reakcje i otworzyć twórcze możliwości.

Ilja Erenburg w swoim odczycie zażądał jednym tchem cenzury zarówno *comicsów* jak i ,,każdego podniecania do nienawiści rasowej czy narodowej''. Paul Rivet wypowiedział się w tym samym sensie, proponując stworzenie takiej cenzury na szczeblu międzynarodowym. (Ja natomiast proponuję czytelnikowi, aby zastanowił się nad możliwymi skutkami takiej instytucji która praktycznie postawiłaby każdy rząd ponad jakąkolwiek krytyką zagranicznej opinii publicznej, gdyż taka krytyka zawsze mogłaby być podciągnięta pod ,,zachęcanie do nienawiści narodowej''). M. Cologero powiedział po prostu, że tego rodzaju cenzura byłaby drogą do piekła. Cenzura, stwierdził, jest głupia wszędzie i w każdym sensie. Można ustalić formalne i ograniczające przepisy, ale nie można gwałcić myśli. A zwracając się do Erenburga, dodał : ,,Gdyby Marx nie mógł całkiem swobodnie pracować w Anglii — nie mielibyście waszej rewolucji ! Nie chcę zresztą twierdzić, że jest zbyt mało wolności w Z.S.S.R., ale chciałbym, abyście usiłowali mieć jej zawsze więcej, w interesie rozwoju waszego kraju również''.

◆

Plagą tego rodzaju zebrań są małe kartki papieru, pokryte gęstym pismem, które każdy z uczestników wyciąga ze swojej kieszeni. To, o czym chciałby mówić, jest zawsze napisane

przedtem, a więc przeważnie nie pasuje do dyskusji, jaka się wywiązuje w danym momencie. Ponieważ jednak przygotowanie zabrało autorowi trochę czasu i wysiłku — chce go koniecznie odczytać. Czyha więc na moment kiedy przewodniczący udzieli mu głosu, a takie czyhanie jest zajęciem pochłaniającym, pasjonującym, które wyraźnie przeszkadza słuchaniu tych, którzy mówią przed nim i w rezultacie uniemożliwia odpowiedź.

Wydaje się, że wielu mężczyzn jest niezdolnych do zajęcia się danym problemem do tego stopnia, aby przy nim zapomnieć o sobie, a przynajmniej aby się mu podporządkować. Ta nieobecność chęci porozumienia się i dialogu u ,,ludzi kulturalnych'' wydaje mi się objawem bardziej alarmującym niż złe programy radiowe czy kiepskie filmy. Należałoby na pewno polepszyć technikę ,,Spotkań'' w taki sposób, by wyeliminować bez przerwy następujące po sobie monologi.



Jeszcze kilka słów o Ilji Erenburgu. Uderzyła mnie przede wszystkim jedna rzecz: jego odezwania się są całkowicie wyprute z terminologii i schematów marksistowskich, do których przyzwyczaili nas komuniści zachodni. Wydaje mi się, że ani razu nie użył on słów ,,historia'' i ,,dialektyka''. Jego powoływanie się na literaturę było ortodoksyjne, ale bez sztywności, a jeżeli usiłował dać nam odczuć nasz upadek w porównaniu z rozwojem kultury w Z.S.S.R., to robił to z wdziękiem i humorem. Ale sama jego obecność wystarczyła dla mnie, by rzucić dwuznaczny cień na ,,Spotkania''. Miałam przed sobą starego, prostego człowieka, wyraźnie zmęczonego życiem, o oczach jasno niebieskich. O ile jego odczyt był banalny i konformistyczny, o tyle — gdy zabierał głos w dyskusji — jego odezwania się były na ogół bezpośrednie, krótkie, często słuszne i czuło się, że jest zdolny do ludzkiej przyjaźni. Ale obok niego są nieodłączni jego wspólnicy — jego przeszłość, ustrój, który reprezentuje, ofiary tego świata, z którego przybywa, świata, który, jak utrzymuje, mógłby opisać cały, taki jakim go widział i czuł. Wiele zagadnień eliminował. Nie mówił o obozach przymusowej pracy. Czy należało przez moje milczenie udawać nieświadomość czy zaprzeczyć ich istnieniu? Albo udawać, że z punktu widzenia kulturalnego to nie ma żadnego znaczenia czy takie obozy istnieją, czy nie? Czy należałoby zapytać go, wiedząc, że takie pytanie postawiłoby go w sytuacji bez wyjścia i zmusiło do rejterady? Czy należałoby mówić do niego udając, że się wierzy, że jest wolny, że może powiedzieć to co myśli, zmienić zdanie, dać się przekonać? Małoduszność w stosunku do niego, jeżeli powiem to co myślę, małoduszność w stosunku do ofiar, jeżeli będę milczała. I jak nie przeciwstawić się tym, którzy teraz schlebiają przy każdej okazji Sowietom, co tych ostatnich musi napełniać ironiczną odrazą? Proszę sobie nie wyobrażać, że to jest aluzja do zachodnich komunistów:

w żadnym wypadku. Ci ostatni, dawniej, na wszystkich Spotkaniach, przychodzili z pomocą mówcom komunistycznym; w tym roku w ogóle ich nie było. Dlaczego — nie wiem.



Chciałabym zakończyć usiłując odpowiedzieć na pytanie postawione na jednym z ostatnich posiedzeń. Ktoś zapytał Jean de Salis czy przeobrażenie kultury nie pociągnie za sobą zmiany samych wartości moralnych i nie zniszczy w ten sposób ich trwałości. Osobiście wydaje mi się, że wartości moralne, którymi chlubi się nasz świat kulturalny nie zostały w nim nigdy zrealizowane; trwałe — trawią nasz świat od wewnątrz, walczą przeciwko jego obłudzie, szukają dla siebie odpowiedniego oblicza w rzeczywistości. Przemiana kultury nie może dokonać się przeciwko tym wartościom czy pomimo nich, ale przez nie. Cywilizacja nie może bezkarnie pozostawić bez pożywki duchowej setek milionów istnień ludzkich, z których każde, jak przecież twierdzi, posiada nieśmiertelną duszę. Nadchodzi chwila, w której każda z tych dusz żąda prawa wyboru pokarmu. Technika *może* zarazem przybliżyć ten pokarm jak i dostarczyć wolnego czasu na jego spożycie. Co zrobi z tym pokarmem dusza — zobaczymy. W tym względzie jednak nikt nie może być sędzią swego bliźniego, może mu tylko zaufać.

Jeanne HERSCH

(Tłum. Z. H.)

Belotto i Gierymski w Wenecji

Wspaniała wystawa, zorganizowana przy współpracy polskiego ministerstwa kultury i sztuki i „ministero della pubblica istruzione" w pięknym weneckim Palazzo Grassi, poświęcona jest Bernardo Belotto i Aleksandrowi Gierymskiemu.

Bernardo Belotto znany jest w Polsce jako „Canaletto". Dla reszty Europy „Canalettem" jest jego wuj, Antonio Canal. Wuj Antoni był lepszym malarzem. Jego reputacja osiemnastowieczna była olbrzymia. Bogaty konsul angielski przy „Serenissimie" (nazywał się bodaj po prostu Smith) kupił kilkadziesiąt jego obrazów. Obrazy te przeszły później na własność Korony, oglądaliśmy je kilka lat temu na zbiorowej wystawie

w Londynie. Czy to Smith przygotował grunt w Anglii? Dość że koło roku 1746 Antonio Canal opuszcza rodzinną Wenecję i jedzie do Londynu. Każda stolica Europy ma zresztą kilku „swoich" włoskich malarzy. Bernardo Belotto wyjechał z Wenecji niemal jednocześnie z wujem Canalem, może za jego przykładem. Ale udał się w inną stronę — do Drezna najpierw, a później, stamtąd, w roku 1767 do Warszawy. Już wtedy podpisywał swe obrazy „detto Canaletto" (aby podkreślić swe pokrewieństwo z Canalem), lub wprost „de Canaletto", może chcąc dać do zrozumienia że nie tylko krewny mistrza, ale i szlachcic. Stąd w Polsce pisało się i pisze o „Canaletto", kiedy się ma na myśli Belotta i w niejednym przedwojennym salonie wisiał Canaletto podwójnie fałszywy, bo ani Canala, ani Belotta.

„Wielki" Canaletto należy do pięciu najwybitniejszych malarzy weneckich XVIII wieku. To nie perłowa lekkość Giambattisty Tiepolo (jedyny malarz którego konie umieją szybować w powietrzu: ich wielkie przeźroczyste zady trzymają się plafonów jak balony). To nie szarozielona zapowiedź impresjonizmu w obrazach Guardiego. To nie fantastyczny kaprys Domenica Tiepolo. Ani humor przerastający anegdotę w „Nosorożcu" Longhiego. Ale przecież — solidny, zgrabny, uroczy dokument epoki. Bernardo Belotto przywłaszczył sobie nie tylko przydomek wuja, ale także i jego manierę. Mniej zgrabnie, mniej uroczo, mniej gładko. Za to posłużył mu krajobraz którego był kronikarzem.

Trzydzieści obrazów Belotta wystawionych w Wenecji należy do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie. Są to przeważnie widoki stolicy. Obrazy architektoniczne o wielkiej precyzji, prawdopodobnie wykonane przy pomocy „camera oscura", przenoszone na płótno według mechanicznych reguł perspektywy, o różnych porach dnia. Stąd nigdy nie wiadomo w obrazach Belotta czy to rano, czy południe, czy wieczór. Pod złotą skorupą pokostu, światło jest zawsze jednostajne — miodowy zmierzch wieku oświecenia. Krakowskie Przedmieście, Plac Zamkowy, Plac Krasińskich. Obok pałaców — zajazdy, dworki miejskie. Na ulicach — stragany. Bliżej Wisły zaczyna się wieś — chałupy, krowy i prosięta. W weneckich widokach starego Canaletta — ludzie to zaledwie punkciki. Widać że interesuje go tylko architektura. To Longhi przekaże nam szaleńczy wenecki karnawał. Canaletto jakby go przestał widzieć, wpatrzony w kolumny i wieże, obojętny na znane od dziecka „bauty". W swych warszawskich obrazach Belotto równie sumiennie jak wuj kalkuje architekturę, ale uderza jego zainteresowanie tłumem, egzotyzmem ulicy, kontrastami tej dziwnej Warszawy na szlaku między wschodem i zachodem, na oklep między staropolskim barokiem i francuskim rokoko. Wyobrażam sobie jak Belotto maluje na królewskie zamówienie Krakowskie Przedmieście: „Par Baccó" — tego szlachcica trzeba tu wsadzić. I handlarza końmi. I tę parę, ubraną z francuska. I muzykantów. No i tego rabina z brodą. I tak rodzi się, pod architektonicznym pretekstem, obraz rodzajowy, scena z „Listopada" Rzewuskiego. Trudno o ciekawszy dokument dla znawcy weneckiego malarstwa niż ta Warszawa „alla Veneziana". Toteż wystawa w Palazzo Grassi, urządzona z wielkim smakiem przez polskich organizatorów, jest rzeczywiście sensacją sezonu. Zwłaszcza wśród erudytów i „smakoszy", bardziej nieraz podnieconych Belottem, niż wielką wystawą „Giorgione e i Giorgioneschi".

Włoski malarz przedstawiający Polskę i polski malarz przedstawiający Włochy — taki był pomysł organizatorów, którzy do Belotta dołączyli Aleksandra Gierymskiego. Gierymski jest z pewnością bardziej zrozumiały dla Włochów niż dla Francuzów. Historia włoskiego malarstwa dziewiętnastowiecznego przypomina, na większą skalę, historię malarstwa polskiego. We Włoszech, tak jak u nas, zaczyna się w latach siedemdziesiątych walka z pompatycznym malarstwem historycznym w imię wartości malarskich. We Włoszech, tak jak u nas, nie ma Cézanne'a, ani Van Gogha, ani Maneta, ani rewolucji impresjonistycznej. Stąd dla Włochów po dziś dzień ,,wielcy" malarze XIX wieku — to Segantini, Fattori, Favretti, Mancini, zadziwiająco zbliżeni w tematyce, technice, kolorach nawet, do Aleksandra Gierymskiego. Niemal każdy obraz Gierymskiego ma swój włoski odpowiednik. Nawet irytująca nas rokokową maskaradą ,,Altana" przypomina prawie impresjonistyczną ,,La Dubarry" Previatiego. A szkice Gierymskiego do ,,Altany" są tak świetne, że nie potrzebują ,,odpowiedników". I tu również organizatorom należy się podziękowanie za pomysłowy i żywy układ wystawy. Pokazano nam tablice z doskonale wybranymi fotografiami modeli Gierymskiego do ,,Altany" i samego malarza przy pracy, żywo uwydatniając duch i styl epoki. Jako ,,rewanż" za Belotta i Gierymskiego zapowiedziano wystawę malarstwa weneckiego w Warszawie. Oby w tej dziedzinie ,,lo spirito di Ginevra", jak we Włoszech nazywa się ,,odprężenie", przejawiał się jak najczęściej !

KAJ

Kronika ukraińska

MOSKWA — TRZECI RZYM

Stary Rzym upadł, a drugi Rzym, to jest Konstantynopol, opanowany jest przez bezbożnych Turków, trzeci Rzym stoi, a czwartego nie będzie. To hasło, sformułowane w początku XVI wieku w Pskowie, stało się ideą przewodnią państwa moskiewskiego od połowy XVI w. Teoria trzeciego Rzymu obrana została za temat serii prac (1) Komisji kościelno-archeograficznej pod protektoratem wizytatora apostolskiego dla Ukraińców, ks. arcybiskupa Buczki. W skład komisji wchodzą nie tylko katolicy i Ukraińcy, ale też prawosławni, a nawet jeden Niemiec (prof. Hans Koch). Prace poświęcone są najróżniejszym aspektom teorii Trzeciego Rzymu, jak jej podstawom prawnym, jej genezie, historii i metamorfozom, począwszy od XVI wieku a skończywszy na naszych czasach.

---

(1) *Praci czleniv Cerkovno-Archeohraficznoji Komisiji Apostolskoho Vizytatora dlja Ukrajinciv u Zachidnij Europi*, I-VIII., Monachium 1951-1954.

Wbrew temu co się zwykło powtarzać, średniowieczna Moskwa nie była odcięta ani od Bizancjum ani od Zachodniej Europy. Kościół prawosławny w Moskwie odziedziczył tradycje bizantyjskie. Jeszcze przed końcem XV wieku Moskwa miała kontakt z łacińskim, katolickim Zachodem poprzez Psków i Nowogród Wielki (później miała ten kontakt przez Ukrainę i Białoruś, które były w bezpośredniej styczności z kulturą łacińską i z Kościołem katolickim). Teoria Trzeciego Rzymu pochodziła częściowo z Konstantynopola (który uważał się za drugi Rzym, nie darmo Grecy po dziś dzień nazywają siebie Romajoi — Rzymianie), częściowo z Zachodu, z Pskowa i Nowogrodu, mającego od dawna związki kulturalne z Zachodem, a podbitego przez Moskwę w roku 1478.

Zainteresowanie ukraińskich katolików problemem Trzeciego Rzymu nie jest przypadkowe, skoro — jak pisze prof. Ohloblyn — teoria Trzeciego Rzymu (przekreślająca pierwszy Rzym) była „bezpośrednim zagrożeniem dla katolicyzmu i dla kultury zachodnio-europejskiej na Wschodzie Europy". W przeciwieństwie do Rosji, Ukraina poczuwała się zawsze do kultury zachodnio-europejskiej, począwszy od czasów księcia Daniela (założyciela Lwowa), poprzez unię florencką w 1439 i unię brzeską, która położyła podwaliny pod ukraiński Kościół katolicki.

Do interesujących problemów poruszonych przez prace członków komisji należą: ciągłość historyczna idei Trzeciego Rzymu, odkąd Moskwa przyjęła ją do swej ideologii, aż po obecną konkurencję Moskwy z Watykanem i stopniowe odwojowywanie terenów unijnych oraz ofensywę poza te tereny; podkreślenie, że Psków i Nowogród, skąd wyszła koncepcja, nie są Moskwą: były to niezależne republiki kupieckie, których cała przeszłość była w opozycji do autokratycznego ducha Moskwy; ich zniszczenie, spowodowane wzajemną rywalizacją oraz krótkowzroczną polityką królów polskich, przyniosło Moskwie cenny wkład intelektualny (teorię Trzeciego Rzymu sformułował wybitny duchowny pskowski). Historiografia rosyjska rozpoczynała mianowicie historię Rosji od historii Kijowa, by następnie przeskoczyć do Moskwy, tworząc w ten sposób fikcyjną ciągłość historyczną. Dopiero Hruszewski ukazał w roku 1904, że tego rodzaju przedstawienie historii nie tylko jest anachronizmem (w XI wieku nie było żadnej Rosji), ale ponadto sprawia, że wczesna historia Moskwy jest niezbadana (bo zastępowała ją historia Kijowa), a historia Ukrainy pozbawiona jest początku (zaliczanego do historii Rosji). Trochę to tak, jakby historię Francji zaczynano od założenia Rzymu, twierdząc że Cezar, Wirgiliusz i Dante byli Francuzami, a że historia Włoch zaczyna się dopiero na przykład w XVII czy XVIII wieku. Prof. Krupnyckyj przypomina, że uczeni ukraińscy reprezentowali zainteresowanie historią poszczególnych terytoriów. Ze szkoły W. Antonowycza wyszedł szereg badaczy, którzy studiowali historię poszczególnych prowincji Ukrainy (jak Wołyń, Podole, ziemia czernihowska itd.).

Ujęcie oryginalne jest zawsze trudniejsze od powtarzania utartych formułek — nie wszystkie prace wolne są od historycznych *clichés*, do których zaliczyłbym też komunał (wywodzący się jeszcze chyba z literatury greckiej) o azjatyckim despotyzmie i europejskiej miłości do swobody. Zwłaszcza tam, gdzie przeczą temu fakty: prof. Hryszko powtarza teorię o pochodzeniu despotyzmu carów od Złotej Ordy, choć sam podaje (na str. 24) że chan tatarski bronił swymi dekretami duchowieństwo prawo-

sławne od swawoli wielkiego księcia i zwalniał dobra kościelne od podatków.

Hans Koch przedstawia w swej pracy, w sposób wysoce obiektywny, rozwój stosunków między Kościołem prawosławnym a państwem sowieckim w latach 1917-1952. Szczególnie pasjonujące i nowe ujęcie daje analogia między położeniem Kościoła prawosławnego pod Turkami w roku 1453 i pod Sowietami począwszy od ,,konkordatu" zawartego w roku 1943 między patriarchą Sergiejem a Stalinem. Według prof. Kocha obecne stanowisko Kościoła prawosławnego w Związku Sowieckim byłoby więc zgodne z tradycyjną doktryną teologiczną i z teorią ,,symfonii" — współżycia władzy kościelnej z państwem pogańskim a nawet misji wśród pogaństwa. Prof. Koch dodaje interesującą analogię historyczną: dzięki współpracy z władzą sułtanów Kościół grecki zdołał opanować wszystkie inne Kościoły na półwyspie bałkańskim, jeszcze w roku 1871 biskupi greccy ogłosili klątwę na Bułgarów za to, że pragnęli zakładać własne diecezje. Mimo iż władza sowiecka uznaje formalnie język ukraiński, białoruski itd., to cerkiew prawosławna w Sowietach używa tylko jednego języka, rosyjskiego, i potępia jako schizmę wprowadzenie języka ukraińskiego do kościoła. Byłoby może błędem widzieć w tym tendencję władzy sowieckiej, tego rodzaju postępowanie jest najzupełniej zgodne z praktyką Cerkwi rosyjskiej przed rewolucją.

Prof. Hryszko pokazuje jak dwa zasadnicze momenty w dziejach Kościoła moskiewskiego: stworzenie metropolii w 1448 i patriarchatu w 1589 przeciwne było kanonom Kościoła wschodniego. Zgodę na założenie patriarchatu dał patriarcha konstantynopolitański dopiero po wielomiesięcznym uwięzieniu (jego towarzysz motropolita Hierotheos dał swój podpis dopiero, gdy mu zagrożono wrzuceniem do rzeki). Prof. Hryszko dowodzi również, że ,,koncepcja Trzeciego Rzymu" jest mitem i ogółem biorąc zdaje się być zdania, że koncepcja ta jest ,,antyhistoryczna", że utworzenie metropolii a potem patriarchatu jest nie kanoniczne, nieprawne i nieprawomocne.

Można się jednak zapytać czy punkt widzenia zarówno Hryszki jak i H. Kocha nie grzeszy pewnym formalizmem. Czy warto zastanawiać się nad ,,prawomocnością" instytucji, która istnieje od 500 czy 400 lat i którą akceptują swoi i obcy? Aby zaczerpnąć porównanie z tej samej dziedziny: biskup, który zdobędzie swój urząd za pomocą symonii nie jest biskupem z punktu widzenia Kościoła, ale co zrobić jeśli taki biskup był przed 500 laty? Czy w stosunku do jego następców sukcesja apostolska nie jest ważna? (Pomijając już, że nie zawsze da się sprawdzić czy przed 500 laty zaszedł wypadek symonii czy nie). Podobnie można by się zapytać czy paralela prof. Kocha nie jest nieco zewnętrzna. Nie wiemy jak dalece Cerkiew prawosławna w Sowietach opanowana jest *od wewnątrz* przez komunistów, jak dalece księża i biskupi mają ową autonomię duchową, którą mieli bądź co bądź Grecy w państwie sułtanów. Przyszłość Kościoła prawosławnego w Rosji może zależeć od odpowiedzi na to pytanie.

(AV)

Kronika żydowska

„La vie juive", organ sekcji francuskiej światowego kongresu żydowskiego, przedrukowuje artykuł *Manèsa Sperbera* poświęcony problemowi dozbrojenia Niemiec. Kongres zajął stanowisko przeciwne zbrojeniu Niemiec Zachodnich, Sperber protestuje gwałtownie przeciw temu pisząc o „tych współczesnych, co są zawsze spóźnieni o jedno niebezpieczeństwo". Sperber podkreśla, że wrogiem Żydów jest totalizm i proponuje delegatom, aby zamiast zajmować się armią zachodnio-niemiecką, która jeszcze nie istnieje, zajęli się raczej armiami, które już istnieją, na przykład we wschodnich Niemczech, gdzie cała młodzież poddana jest wyszkoleniu wojskowemu i gdzie ci co wspominają o restytucji mienia żydowskiego, traktowani są jak wrogowie (jak wiadomo, Niemcy Zachodnie wypłacają odszkodowania ofiarom prześladowań hitlerowskich). Delegaci francuscy nie mieli czasu na zajęcie się problemem systematycznego niszczenia kultury żydowskiej w Sowietach, zbyt byli pochłonięci sprawą Niemiec. Zdaniem Sperbera najpilniejszym celem polityki żydowskiej powinno być uratowanie dwu milionów Żydów znajdujących się za żelazną kurtyną. Należy się z tym spieszyć, bo wkrótce może być za późno.

◆

W tym samym duchu utrzymane było wezwanie wystosowane do prezydenta Eisenhowera przez żydowski PEN-Klub, żydowski Kongres Robotniczy w Ameryce i inne organizacje, domagające się poruszenia na konferencji genewskiej likwidacji przez Sowiety narodu żydowskiego, jego kultury języka i jego pisarzy. „Oczywiście — pisze nowojorski miesięcznik „Di Cukunft" w artykule wstępnym — sprawy nawet nie poruszono... Ale to nie powstrzyma nas od domagania się odpowiedzi".

◆

Z inicjatywy komisji kulturalnej kongresu żydowskiego powstała w Paryżu *Akademia książki żydowskiej* (jidisz). Zadaniem Akademii jest popieranie rozwoju języka żydowskiego (jidisz) i w tym celu zamierza ona udzielać co roku dwu nagród literackich w wysokości 100 i 50 tysięcy franków francuskich. O nagrody mogą się ubiegać autorzy piszący w języku żydowskim a zamieszkali w Europie lub w Izraelu. Do nagrody można przedstawiać utwory prozą lub wierszem, zarówno drukowane jak w rękopisie. W skład Akademii wchodzą między innymi pisarze Manès Sperber i Józef Bernfeld, obaj pochodzący z Polski.

◆

Jak wiadomo, pewne koła przeciwne są używaniu języka jidisz. Mimo to przybiera on na sile. I tak w wykonaniu powziętej jednogłośnie przed dwoma laty uchwały „Rabbinical Assembly" (amerykańskiego zjazdu rabi-

nów) w sprawie popierania języka żydowskiego, poczęto wprowadzać jidisz jako obowiązkowy przedmiot do szkół religijnych w USA. Z okazji wprowadzenia nauki żydowskiego dla dzieci szkoły religijnej w Denver, Colorado, przewódca duchowy tamtejszych Żydów, H.G. Wajner oświadczył: „Elementarna znajomość jidysz jest niezbędna dla życia żydowskiego. Jidysz nie można usunąć z programu szkół religijnych". Warto dodać, że w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie istnieje też cały szereg nie-religijnych szkół żydowskich utrzymywanych przez związki robotnicze, należą do nich tak zwane szkoły ludowe im. Szolem Alejchema oraz szkoły imienia Pereca.



W lewicowym miesięczniku nowojorskim „Di Cukunft" ukazało się po żydowsku wspomnienie *Stanisława Vincenza* o zmarłym niedawno żydowskim poecie Nuchimie Bomze, którego wiersz w przekładzie Czesława Miłosza drukowany był w czerwcowym numerze „Kultury". Urodzony w 1910 w Sasowie koło Tarnopola, poeta spędził młodość w rodzinnym miasteczku, we Lwowie i w Warszawie, wojnę w Sowietach, i umarł przed rokiem w Nowym Jorku. Pisał wyłącznie po żydowsku, ale mówił bezbłędnie po polsku. Wspominając „tę delikatną i nieśmiałą postać o dziewczęcych oczach" Vincenz pisze: „jego poezja jest zarazem łatwa i trudna. Łatwa i dostępna, bo jest jak najlepsza piosenka ludowa, jak starogreckie „Powitanie jaskółki", ale trudna, bo jest prawdziwa, czeka na człowieka, który zagłębi się w jej treść i da się jej ogarnąć. Może ona przetrwać wieki tak jak owa starogrecka pieśń, ale pod warunkiem, że język żydowski będzie żył i kwitnął. Bomze był kwiatem tego społeczeństwa, które u nas w Polsce mówiło po żydowsku... Oby tylko ten język i to słowo przetrwały i pozostały żywe!..."

Wspomnienie Vincenza ukazało się również w przekładzie hebrajskim w piśmie *Davar* w Tel-Avivie, a po polsku w *Nowinach Izraelskich* wraz ze wspomnianym wyżej wierszem w przekładzie Miłosza.



We wrześniowym numerze „Di Cukunft" ukazało się wspomnienie o zmarłym przed kilku miesiącami profesorze uniwersytetu genewskiego *Libmanie Herschu*. Uczony światowej sławy (jeszcze w zeszłym roku był przewodniczącym światowego kongresu populacyjnego w Rzymie), prof. Hersch pochodził z okolic Wilna i do ostatniej chwili był czynnym działaczem „Bundu", żydowskiej partii socjalistycznej. Jedną z czołowych idej „Bundu" była obrona języka żydowskiego — idei tej prof. Hersch pozostał wierny do końca życia. Autor wspomnienia, R. Abrahamowicz, przypomina, że prof. Hersch był „wielkim patriotą polskiego Bundu" i że należał do tej grupy bundystów, która nigdy, nawet dla celów taktycznych, nie chciała pogodzić się z rewolucją bolszewicką. Już w latach trzydziestych organizował on w Genewie zebrania, wystąpienia i protesty przeciwko terrorowi w Sowietach.

Prof. Hersch był ojcem znanej czytelnikom „Kultury" Jeanne Hersch.



W Paryżu ukazało się w języku żydowskim obszerne dzieło *Michała Borwicza* „Tysiąc lat życia żydowskiego w Polsce" (Tojznt jor jydysz lebn yn Pojln). Książka zawiera setki fotografii i rysunków, przypisów i dat dotyczących życia żydowskiego na obszarach Rzeczypospolitej w ciągu wieków.

◆

Książka Juliana Hirszhauta „Jydysze Naftmagnaten" (żydowscy magnaci naftowi) otrzymała w Buenos Aires nagrodę literacką w wysokości 5.000 pesos. Hirszhaut, który pochodzi z Drohobycza, a mieszka obecnie w Nowym Jorku, poświęcił swą książkę temu ciekawemu odcinkowi historii polskiego przemysłu naftowego w Galicji Wschodniej.

◆

Światowy kongres żydowski ogłasza konkurs na najlepszy niedrukowany essey poświęcony współczesnej historii żydowskiej. Przewidziane są trzy nagrody w wysokości 500, 300 i 200 dolarów. Prace, w języku angielskim, żydowskim lub hebrajskim, można nadsyłać do pierwszego marca 1956.

◆

Nakładem wydawnictwa „Cyko-Farlag" w Nowym Jorku ukazała się dwutomowa antologia prozy żydowskiej w Polsce (Antologje fun der jidiszer proze yn Pojln). Antologia, której redaktorami są I.I. Trunk oraz A. Cajtlyn, poświęcona jest prozie żydowskiej w okresie między dwiema wojnami.

An.

Polacy w Niemczech

Prymat emigracji wojennej wśród Polaków zamieszkałych poza krajem, w Europie, jest tak wielki, że usunął na plan dalszy problem emigrantów przedwojennych, którzy dziesiątki lat temu byli zmuszeni szukać egzystencji życiowych poza Polską.

Emigracja zarobkowa ludności polskiej, z obszarów wszystkich trzech zaborów, na zachód Niemiec zaczęła się w drugiej połowie ubiegłego stulecia, kiedy po wojnie niemiecko-francuskiej w latach 1870-1871 nastąpiła szybka rozbudowa przemysłu niemieckiego. Trzy ośrodki rozrastającego się przemysłu wymagały licznych rąk roboczych: przemysł węglowo-hutniczy w Westfalii i Nadrenii, przemysł stoczniowy i transportu morskiego w Hamburgu, Bremie i okolicy oraz przemysł chemiczny w Mannheim i okolicy.

Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej emigracja polska w zachodnich Niemczech (i wielkich miastach centralnych jak Berlin, Lipsk, Kamienica Saska [Chemnitz — dziś Karl-Marx-Stadt] czy Magdeburg) liczyła kilkaset tysięcy osób. Emigracja ta posiadała obywatelstwo niemieckie, które Polakom z zaboru pruskiego przysługiwało automatycznie, a które Polacy z innych dzielnic uzyskali z biegiem lat na zasadzie długoletniego zamieszkania. Polski robotnik w zachodnich Niemczech zyskał nie tylko uznanie pracodawców niemieckich, ale dzięki pracowitości i oszczędności swojej stworzył pokaźny ,,majątek narodowy'', który w latach 1918-1920 poważnie zasilił polski Skarb Narodowy. Stokroć ważniejszym i cenniejszym od dorobku materialnego był jednak dorobek narodowo-organizacyjny. Polonia westfalska wespół z hamburską, mannheimską i berlińską stworzyła wspaniałą sieć organizacji społecznych, obejmujących każdy najmniejszy nawet ośrodek polski i wszystkie dziedziny życia społecznego, począwszy od organizacji śpiewaczych, kościelnych i młodzieżowych a kończąc na potężnym Zjednoczeniu Zawodowym Polskim, reprezentującym interesy

zawodowe robotników polskich na całym obszarze ówczesnych Prus. Ukoronowaniem polskiego dorobku organizacyjnego była sieć spółdzielczych banków kredytowych z własnym Związkiem Rewizyjnym na czele. Cała konstrukcja polskiego życia organizacyjnego na obczyźnie wywoływała niekłamany podziw i obawy Niemców, czego dowodem jest chociażby znana przed 1914 rokiem książka ekonomisty niemieckiego, dra Bernharda pt. *Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat.*

Przy ocenie społeczno-narodowej polskiego uchodźtwa w Niemczech na początku bieżącego stulecia uwzględnić jednak należy fakt, że wychodźtwo to znalazło bezpośrednie oparcie i pomoc o autochtonny element polski, mieszkający na obszarze Poznańskiego, Pomorza i Śląska, wchodzących wówczas — do roku 1919 — w skład Państwa Pruskiego. Łącznie z tymi prowincjami zamieszkiwało ówczesne Państwo Pruskie ponad 5 milionów Polaków. Dzięki tej sile liczebnej mogli Polacy — mimo ówczesnych ograniczeń ustawowych i przeszkód politycznych — stworzyć organizację życia polskiego, które przetrwało i późniejsze burze i którego szczątki trwają do dnia dzisiejszego.

Wynik pierwszej wojny światowej stanowił pierwszy cios dla dorobku organizacyjnego Polonii w Niemczech. Wielkopolska i znaczne części prowincji zachodnio-pruskiej oraz Górnego Śląska przypadły Polsce. Ponadto ruszyła do Polski wielka fala reemigracji z pozostałych obszarów autochtonnych jak również spośród wychodźstwa westfalsko-nadreńskiego i innych skupień emigracyjnych. Do tego doszła jeszcze emigracja części Polonii westfalsko-nadreńskiej do Francji, spowodowana niebezpieczeństwem prześladowań z powodu profrancuskiej postawy Polaków w czasie okupacji Ruhry. Szczególnie dotkliwym ciosem był nie tyle ubytek ilościowy, ile jakościowy. Najruchliwszy, najbardziej wyrobiony element i nieomal cała inteligencja przeniosły się do wyzwolonego kraju, gdzie dla każdego działacza otwierały się liczne możliwości kariery urzędniczej lub działalności gospodarczej. Pozostali w Niemczech Polacy — zarówno na autochtonnych obszarach Prus Wschodnich, Pomorza, Pogranicza i Śląska jak i na terenach emigracyjnych Westfalii i Nadrenii — pozbawieni zostali elementu przywódczego.

Minęło kilka lat, zanim w początku lat dwudziestych znalazło się kilka jednostek, które dokonały przeglądu pozostałego aktywu organizacyjnego i w oparciu o ten aktyw przystąpiły do stworzenia nowego zrębu organizacyjnego, dostosowanego do nowych warunków, wytworzonych na skutek wojny i powstania niepodległego Państwa Polskiego. Szczególny nacisk położono od samego początku na wychowanie młodego elementu.

Konstytucja Weimarska, a na Śląsku Opolskim ponadto Konwencja Genewska, dały — przynajmniej w teorii — możność uruchomienia na wszystkich obszarach zamieszkałych przez

ludność polską, własnych, prywatnych szkół polskich. W poszczególnych regencjach administracyjnych powołano przeto do życia Polskie Towarzystwo Szkolne jako korporacje, utrzymujące i prowadzące polskie szkoły prywatne. Towarzystwa te połączono w wspólny Związek, tzw. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych z siedzibą w Berlinie. Związek Polskich Towarzystw Szkolnych stał się centralną organizacją kulturalną, kierującą całokształtem polskiego życia kulturalno-oświatowego w Niemczech. Liczne spółdzielnie kredytowe i rolnicze powiązano w wspólnym Związku Rewizyjnym i oparto finansowo o centralę bankową w postaci Banku Słowiańskiego w Berlinie. Centralną nadbudowę polskiego życia korporacyjnego w Niemczech stanowił Związek Polaków w Niemczech, skupiający wszystkich Polaków zarówno z terenów pogranicznych jak i emigracyjnych i wiążący wszystkie organizacje polskie w jedną całość. „Naczelna organizacja polska w Niemczech" — tak bowiem nazywano Związek Polaków — była reprezentantką polityczną mniejszości polskiej zarówno wobec władz niemieckich jak i na terenie międzynarodowym oraz koordynatorem i inicjatorem wszystkich poczynań i wystąpień polskich na tym terenie. W ciągu kilku lat zbudowano przeto na gruzach przedwojennej społeczności polskiej nowy bastion życia polskiego w Niemczech, broniący rodaków przed wynarodowieniem i — nienaruszając ich obowiązków lojalności obywatelskiej wobec państwa niemieckiego, którego byli obywatelami — stwarzający pomost do wolnej Ojczyzny. Dorobek przeszło piętnastoletni tej nowej struktury organizacyjnej był — mimo trudności, stawianych przez władze niemieckie, zwłaszcza w okresie rządów hitlerowskich — ogromny. Rola Związku Polaków w Niemczech była wśród całej Polonii zagranicznej — poza amerykańską — dominująca.

Szczególna wzmianka należy się działalności Związku Polaków na odcinku tzw. polityki mniejszościowej. Związek Polaków był uznawany przez centralny rząd niemiecki za naczelnego rzecznika praw mniejszościowych polskiej mniejszości narodowej w Niemczech, co znalazło między innymi demonstracyjny wyraz na jesieni roku 1937 w czasie wymiany tzw. deklaracji mniejszościowych przez rządy Polski i Niemiec. Wówczas, po oficjalnej wymianie deklaracji przez rząd niemiecki i ambasadora Rzeczypospolitej, delegacja Związku Polaków w Niemczech została przyjęta przez Hitlera a przedstawicielstwo mniejszości niemieckiej w Polsce przez Prezydenta Rzeczypospolitej.

Rola Związku Polaków w zakresie spraw mniejszościowych nie ograniczała się jedynie do obrony swoich własnych interesów. Problem mniejszościowy stał się po pierwszej wojnie światowej zagadnieniem, zajmującym nieomal wszystkie kraje środkowo-wschodniej Europy. Spory mniejszościowe pomiędzy poszczególnymi państwami a ich obywatelami obcej narodowości

były przedmiotem obrad nieomal każdej sesji Rady Ligi Narodów. Niemcy byli szczególnie zainteresowani tym problemem, ze względu na liczne mniejszości niemieckie, przebywające prawie że we wszystkich krajach środkowo-wschodniej Europy, które pod płaszczykiem zdobycia jak najdalej idących praw mniejszościowych — stały się narzędziem niemieckiej polityki ekspansyjnej. Tym faktem tłumaczy się tak wielkie zainteresowanie Niemiec Weimarskich problemem mniejszościowym, które znalazło swój wyraz m. in. w powołaniu tzw. Kongresu mniejszości narodowych Europy, na którym ścierały się diametralnie sprzeczne poglądy grup niemieckich i antyniemieckich na temat roli mniejszości. Problem niemieckiej polityki mniejszościowej po pierwszej wojnie należy do jednego z najciekawszych rozdziałów polityki Niemiec republikańskich i wart jest bliższego opracowania przez polskich znawców tego zagadnienia, którzy w akcji tej odgrywali mniej lub bardziej aktywną rolę.

W celu skuteczniejszego bronienia interesów grup mniejszościowych w Niemczech powstał, przy walnym udziale Polaków, tzw. Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech, w skład którego wchodzili poza Polakami, reprezentowanymi przez Związek Polaków w Niemczech, Duńczycy z południowego Szlezwigu, Fryzowie, Serbo-Łużyczanie i Litwini z Prus Wschodnich. Kierownictwo tego Związku spoczywało w rękach generalnego sekretarza, którym był dr Jan Kaczmarek, naczelny kierownik Związku Polaków. W skład władz Związku Mniejszości wchodził obok reprezentantów innych grup narodowych m. in. Stefan Szczepaniak, obecny prezes Związku Polaków w Niemczech. Związek wydawał poważny miesięcznik w języku niemieckim pt. ,,Kulturwehr'', poświęcony rozważaniu teoretycznych problemów mniejszościowych i obszernej dokumentacji. Redakcja tego doskonałego miesięcznika, cytowanego niejednokrotnie przez fachową literaturę niemiecką czy zagraniczną, spoczywała w rękach czołowego działacza serbołużyckiego, Jana Skali z Budziszyna. Wkład Związku Polaków w Niemczech do działalności Związku Mniejszości Narodowych stanowi poważną i szczególnie chlubną kartę w dziejach tej naczelnej organizacji Polaków w Niemczech.

Z chwilą wybuchu wojny cała działalność Polaków w Niemczech zamarła. Organizacje zostały zamknięte, ich majątek skonfiskowany a działacze znaleźli się w więzieniach i obozach koncentracyjnych, z których wielu nie wróciło. Wojna zamknęła ponad pięćdziesięcioletni okres zorganizowanego działania polskiego w Niemczech. Nowy odcinek, zapoczątkowany po klęsce niemieckiej począł się kształtować w warunkach całkowicie zmienionych i przechodzi okres wstrząsów i przeobrażeń, który nie jest jeszcze zamknięty.

Luki spowodowane przez wojnę w aktywie personalnym i stanie posiadania organizacyjnego są tak wielkie, że dziwić się należy, iż problem Polaków w Niemczech w ogóle jeszcze

istnieje. Ziemie wschodnie dawnej Rzeszy przypadły Polsce. Dzięki temu ponad milionowa rzesza Polaków, zamieszkująca obszary Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich znalazła się ipso facto w granicach nowej Polski. Polacy na pozostałych obszarach, zdziesiątkowani stratami wojennymi, zostali wezwani do reemigracji i wielu z nich wróciło do kraju. Wszystkie organizacje polskie zostały w roku 1939 przez Niemców zlikwidowane. Odbudowa ich napotykała na prawie że niepokonalne trudności zarówno z powodu początkowo obowiązujących przepisów okupantów, ograniczających prawo stowarzyszania się, jak przede wszystkim na skutek braku ludzi wykwalifikowanych do działań kierowniczych. Majątek dawnych organizacji, skonfiskowany po wybuchu wojny, nie został dotychczas zwrócony i rewindykacja jego napotyka na niezmiernie skomplikowane trudności natury prawnej. Zresztą majątek ten wyrażał się w znacznej mierze w nieruchomościach, które zostały przeważnie w czasie działań wojennych zniszczone. Słowem z dawnej świetnie zorganizowanej i sprężystej Polonii niemieckiej pozostały jedynie szczątki, których ponowne zebranie i zorganizowanie stało się zadaniem tych nielicznych jednostek dawnego aktywu organizacyjnego, które przetrwały wojnę i do kraju nie wróciły.

Przełom, wywołany wojną, spowodował zasadnicze przeobrażenie struktury Polonii w Niemczech.

Obecna powojenna Polonia niemiecka składa się wyłącznie z elementu emigracyjnego. Problem pretensji czy sporów terytorialnych nie obciąża już nadal stosunku mniejszości do państwa. Ten fakt powinien otwierać perspektywę lepszego aniżeli w przeszłości współżycia obu narodowości. Trzeba oczywiście dłuższego czasu, by urazy przeszłości i dawne uprzedzenia ustąpiły miejsca podejściu bardziej szczeremu, nie obciążonemu ukrytymi tendencjami politycznymi. Pretensje, zgłaszane przez Niemców, jeśli chodzi o obecną granicę polsko-niemiecką na Odrze i Nisie, wpływać będą oczywiście hamująco na pacyfikację. Czas jednak i w tym wypadku podziała z pewnością kojąco. W każdym razie sytuacja Polaków w Niemczech poczyna się obecnie zrównywać z położeniem emigracji naszej np. we Francji czy Belgii. Usunięcie wszelkich dyskryminacji w stosunku do Polaków obywateli niemieckich i pełne zaspokojenie ich uzasadnionych potrzeb kulturalnych stają się obecnie jedynymi kryteriami właściwego przestrzegania przez organy państwa praw mniejszości. Zakładamy oczywiście, że obywateli tych obowiązuje pełna lojalność w stosunku do republiki niemieckiej. Podkreślenie tego obowiązku jest szczególnie konieczne, ponieważ czynniki warszawskie próbują niejednokrotnie pod płaszczykiem opieki kulturalnej i w imię wspólnoty narodowej wyzyskać mniejszość polską w Niemczech do wystąpień i działań, nie mających nic wspólnego z obroną własnych praw kulturalno-narodowych a służących jedynie propagandzie komunistycznej.

Jak już wspomnieliśmy, obecny stan organizacyjny Pola-

ków w Niemczech przedstawia się tragicznie. Liczba ich skurczyła się w zachodniej republice niemieckiej do kilkudziesięciu tysięcy. Liczba ich na wschodzie Niemiec, w tzw. N.D.R. jest znikoma. Na wschodzie nie ma żadnego polskiego życia organizacyjnego. Kto wbrew zaleceniom Warszawy nie reemigrował do kraju, przestał dla Polski ludowej w ogóle istnieć. Skąpe organizacje, jakie na tym terenie istniały w pierwszym okresie powojennym, zostały przez komunistyczne władze niemieckie w porozumieniu (lub zgoła na żądanie) władz warszawskich zlikwidowane. Oficjalnie Polaków na wschodzie Niemiec nie ma. Ci, co pozostali, a gdyby ich policzyć zebrałoby się kilkanaście tysięcy, są uważani za Niemców.

Polacy w zachodniej republice federalnej skupieni są w kilku centrach, wymienionych już powyżej (Westfalia-Nadrenia, Hamburg, Mannheim). Specjalne miejsce zajmuje garstka Polaków w Berlinie. Istniejące na zachodzie organizacje z reaktywowanym Związkiem Polaków na czele zaledwie wegetują. Dawni, pozostali przy życiu działacze są starzy, zmęczeni i zaabsorbowani walką o byt. Młodszego narybku nie widać. Dominującą kłodą życia polskiego jest zupełny brak środków finansowych. Element polski składa się w dużym odłamie z ludzi starych, bezrobotnych, żyjących z głodowych rent lub z zasiłków opieki społecznej. Groszowe ich składki nie są oczywiście w stanie pokryć nawet najniezbędniejszych wydatków administracyjnych. O opłaceniu choćby jednego sekretarza czy zmontowaniu choćby najskromniejszych kursów języka polskiego dla dzieci i młodzieży nie może być mowy. Ta katastrofa finansowa przekreśla wszystkie nieomal możliwości przygotowania zastępów młodzieży na przyszłych działaczy i przywódców życia polskiego. W pierwszych latach powojennych uruchomiono w Berlinie i na zachodzie szkółki polskie i kursy języka, prowadzone przez fachowych nauczycieli, przysłanych lub opłacanych przez administrację warszawską. Wypowiedzenie przez władze Związku Polaków posłuszeństwa konsulatom reżymowym i rządowi warszawskiemu oraz odcięcie się od haseł komunistycznych spowodowało natychmiastowe cofnięcie subwencji dla szkolnictwa polskiego. Nie znalazł się żaden inny czynnik polski w Ameryce czy w Anglii, który by mógł lub chciał powstałą stąd lukę wypełnić. Ośrodki nowej emigracji polskiej w Niemczech (Stowarzyszenie Kombatantów, Zjednoczenie Polskiego Uchodźtwa Wojennego czy fundusz społeczny Kompanii Wartowniczych) wspierają niejednokrotnie doraźnie taką czy inną imprezę ale mają oczywiście przede wszystkim swoje własne potrzeby i zobowiązania. W tych warunkach szkolnictwo „wolnych" Polaków zamarło, a młodzież pozbawiona nauki i jakiejkolwiek opieki polskiej narażona jest na wynarodowienie. Jeśli ten stan rzeczy nie ulegnie w najbliższej przyszłości zmianie, grozi wymarcie starej Polonii niemieckiej i asymilacja młodzieży.

Na terenie Berlina istnieją specjalne, odrębne warunki, utrudniające jeszcze bardziej zmontowanie jekiejkolwiek planowej działalności polskiej. Liczba Polaków jest znikoma, inteligencji czy wyrobionych działaczy nie ma zupełnie. Dwa oddziały Związku Polaków wegetują, garstka młodzieży zdobywa się z trudem na spotkania raz w tygodniu, na które przychodzi 5-8 uczestników. Sąsiedztwo Wschodu i personalne powiązanie każdego nieomal mieszkańca z sektorem sowieckim stwarzają warunki bardziej skomplikowane niż na zachodzie Niemiec. Na przykładzie Berlina widać, ile jeszcze przeszkód i uprzedzeń wzajemnych należy pokonać, by usunąć resztki dyskryminacji w stosunku do mniejszości polskiej. Przytoczmy przykład z bardzo niedawnej przeszłości. Kiedy kilka miesięcy temu chodziło o wybór prezesa jednej z organizacji miejscowych i kiedy podjęto próbę pozyskania na stanowisko to jednego z nielicznych poważniejszych obywateli tutejszych, który trzymał się dotychczas całkowicie na uboczu życia polskiego, kandydat ów już wyrażoną zgodę wycofał. Argument, jaki przytoczył na uzasadnienie swojej odmowy, był przekonywujący, ale jednocześnie jaskrawo charakteryzujący ową atmosferę strachu i obawy przed dyskryminacją. Kandydat ów był długie lata bezrobotny, przed mniej więcej rokiem otrzymał niezłą posadę w instytucji handlowej, odpowiadającą jego kwalifikacjom i ambicjom. W najbliższych miesiącach miała nastąpić jego stabilizacja. Słusznie twierdził, że nie może narażać swojej egzystencji, z trudem zdobytej, przez przyjęcie funkcji społecznej, która uniemożliwiłaby mu upragnioną stabilizację a może nawet pozbawiła posady. Wysunięty na jego miejsce inny kandydat wymówił się stosunkami handlowymi, jakie dla egzystencji musi utrzymywać z wschodnim Berlinem i koniecznością częstego przejeżdżania przez strefę sowiecką na zachód Niemiec. Oba argumenty nie były pozbawione subiektywnie słusznego uzasadnienia. Oba charakteryzują w sposób klasyczny, że nie wystarcza stworzenie idealnego prawa mniejszościowego, mającego bronić obywatela mniejszościowego przed dyskryminacją, trzeba ponadto odpowiedniej atmosfery psychicznej, którą jedynie czas może wytworzyć.

Bilans, jaki przedstawiliśmy powyżej, jest opłakany. Czy nie ma jednak wyjścia z beznadziejnej sytuacji, czy rzeczywiście Polonia niemiecka, która w minionym półwieczu wykazała tyle hartu i wytrwałości, jest skazana na wymarcie a młodzież na asymilację?

Artykuł niniejszy omawia jedynie problem tzw. starej emigracji, od dziesiątek lat zasiedziałej w Niemczech i posiadającej obywatelstwo niemieckie. Obok niej mieszka jednak w Niemczech nowa — wojenna lub powojenna emigracja, tzw. uchodźcy polityczni, korzystający z azylu politycznego. Tendencją każdego uchodźcy w Niemczech jest dalsze emigrowania do Stanów, Kanady, Australii lub innych krajów zachodnio-europejskich względnie zamorskich. Ale nie wszyscy mogą emigrować.

Stan zdrowia, wiek czy kwalifikacje, uniemożliwiają zdobycie pracy w krajach zamorskich, powodują, że część tych uchodźców zostaje w zachodnich Niemczech i tu próbują się jakoś urządzić.

Pozycja tej nowej emigracji jest pod niejednym względem gorsza aniżeli zasiedziałej od kilku nieraz generacji. Jeśli jednak chodzi o polskie życie organizacyjne to możliwości powojennych emigrantów są bez porównania większe. Emigracja ta posiada szereg nieźle prosperujących organizacji społecznych ze Stowarzyszeniem Kombatantów i Związkiem Polskich Uchodźców Wojennych na czele. Także podstawy finansowe tych organizacji — jakkolwiek dalekie od stanu zadawalającego — są większe i solidniejsze. Emigracja wojenna posiada nieproporcjonalnie większy procent inteligentów, nieraz nawet wybitnych, dzięki czemu praca stowarzyszeń społecznych stoi na wysokim poziomie. Istnieją szkółki i ochronki polskie, zapewniające młodzieży polskie wychowanie i zabezpieczające ją przynajmniej w części przed wynarodowieniem. Emigracja ta korzystać może z międzynarodowej pomocy dla uchodźców (zmniejszającej się co prawda z roku na rok), która dla starej emigracji jest nieosiągalna.

Obie emigracje żyją i działają niezależnie od siebie, każda posiada swoje własne organizacje. Istnieje wprawdzie na najwyższym szczeblu pewna kooperacja względnie koordynacja, daleko jednak do tego stopnia współdziałania, jaki leżałby w interesie obu odłamów Polaków w Niemczech. Czy nie należałoby przeto pomyśleć o zacieśnieniu wzajemnych stosunków pomiędzy obiema grupami Polaków i doprowadzić do fuzji ich organizacji społecznych?

Trzeba jednak pamiętać, że stara emigracja składa się z obywateli niemieckich i w tym charakterze posiada swoje obowiązki i swoje prawa. Obywatel niemiecki narodowości polskiej ma możność walczenia innymi sposobami, może i skuteczniejszymi, o swoje prawa kulturalno-narodowe aniżeli obcokrajowiec, korzystający z azylu politycznego. Uchodźcy posiadają także swoje specyficzne uprawnienia, zagwarantowane im układami międzynarodowymi. Uchodźcy mogą w razie potrzeby odwołać się do pomocy międzynarodowego komisarza dla bezpaństwowców. Argumenty obu stron posiadają w tym wypadku swój ciężar gatunkowy. Z drugiej strony organizacyjnie połączone emigracje byłyby liczebnie i politycznie silniejsze, wspólne biura np. porad prawnych i zastępstwo ich interesów przez czynniki fachowe mogłyby posiadać wpływ skuteczniejszy aniżeli działania w pojedynkę, nie mówiąc już o ekonomiczniejszej gospodarce finansowej i materiałem ludzkim. Obrona interesów prawnych przedstawia wprawdzie ważną ale tylko jedną stronę medalu. Obok interesów prawnych, odrębnych dla każdej kategorii emigrantów, istnieje wspólna platforma potrzeb kulturalnych i opieki społecznej. Problem opieki kulturalnej jest na

dłuższą metę zagadnieniem najważniejszym. Od właściwego zaspokojenia potrzeb na tym odcinku zależy przyszłość młodzieży zarówno zasiedziałej jak i powojennej. W ogólnych zarysach na dalszą metę zadania Polaków zagranicą sprowadzają się przede wszystkim do obronienia młodego pokolenia przed wynarodowieniem. Aspekty polityczne przedwojennej Polonii niemieckiej już nie istnieją. Ponadto liczba Polaków — obywateli niemieckich — jest dziś zbyt mała, by mogli mieć szanse wykorzystywania swych praw wyborczych w postaci własnych kandydatów do sejmów, jak to miało miejsce przed wojną. Ale również i specyficzne potrzeby i prawa uchodźców nie będą trwać wiecznie.

Może by więc powołać w pierwszym etapie wspólny Komitet koordynacyjny, posiadający wspólne biuro, z którego korzystać mogłyby organizacje obu grup emigracyjnych? Może by powołać wspólną, nową organizację kulturalną, coś w rodzaju Macierzy Szkolnej czy krakowskiego T.S.L. dla prowadzenia wspólnych szkółek, kursów języka polskiego, bibliotek, wykładów, świetlic itd.? Działalność Związku Polaków i Związku Polskiego Uchodźtwa Wojennego można by wówczas ograniczyć do prowadzenia wyłącznie spraw, związanych z wykorzystaniem uprawnień politycznych, przewidzianych dla każdej z kategorii. Ale i w tym wypadku pożądane byłyby wspólne biura prawne, by fachowi prawnicy opracowywać mogli sprawy i starej Polonii. (A jest tych spraw na razie sporo, zwłaszcza jeśli chodzi o rewindykacje wcale pokaźnego majątku dawnego Związku Polaków i Związku Towarzystw Szkolnych oraz poszczególnych banków).

W sierpniu miał się odbyć kongres Związku Polaków w Niemczech, który został odroczony do listopada br. Kongres ten sprowadzi się w praktyce do zebrania się kilku delegatów, gdyż kompletny brak środków finansowych nie pozwala na zorganizowanie go na wzór dawnych przedwojennych manifestacyjnych zebrań tej „naczelnej organizacji Polaków w Niemczech". Program kongresu ograniczy się — o ile nam wiadomo — do punktów formalnych, wymaganych przepisami statutu i prawa. Czy jednak nie należałoby postawić na porządku obrad punktu pt. „Sprawa przyszłości Polaków w Niemczech", w celu omówienia ewentualnej kooperacji czy fuzji obu grup emigracyjnych, zapraszając jednocześnie liczniejszą delegację wojennych uchodźców dla wspólnego z nimi przedyskutowania tego życiowego dla wszystkich Polaków w Niemczech zagadnienia? Bez podejmowania ostatecznie wiążących uchwał, można powołać w pierwszej instancji wspólną Komisję Studiów dla gruntownego przemyślenia kroków, jakie w tej dziedzinie należałoby podjąć.

Stanisław CZECHANOWSKI

Książki

O Czartoryskim

Czytelnikom „Kultury" nie trzeba przypominać *Księcia Adama* gen. Kukiela, drukowanego w zeszytach „Kultury" przed sześcioma laty i ogłoszonego potem w osobnym wydaniu książkowym. Dla każdego miłośnika literatury historycznej essay ten był wydarzeniem. Przypominał najlepsze tradycje europejskiego essayu historycznego, w naszej literaturze ostatnich trzydziestu lat tak żałośnie zaniedbane. Jak w klasycznym essayu, punktem wyjścia była tu cudza książka: dwa pierwsze tomy wielkiej monografii Handelsmana. I, tak jak nas tradycja dobrej, starej essayistyki przyzwyczaiła, essay gen. Kukiela nie referował wyników omawianego autora, ale dawał odrębne, oryginalne ujęcie, mocno przeciwstawiające się koncepcji Handelsmana. Przede wszystkim zaś był *Książę Adam* w duchu tejże starej a szlachetnej tradycji dobrą literaturą, studium o wyraźnym kośćcu konstrukcyjnym, żywej narracji, nie przeciążonej szczegółami, a przecież nigdy nie wpadającej w ogólniki, o mocnym podskórnym prądzie uczuciowym, tym silniej działającym na czytelnika, że ujętym w karby dyscypliny, i pisarskiej, i naukowej. Po zamilknięciu Askenazego odzwyczailiśmy się od tej klasy essayistyki historycznej.

Z tego to essayu wywinęła się teraz angielska książka gen. Kukiela, *Czartoryski and European Unity*, pięknie wydana przez jedno z najpoważniejszych amerykańskich wydawnictw naukowych, Princeton University Press, pierwszy tom zainaugurowanej przez nowojorską Fundację Kościuszkowską Serii Tysiąclecia Polski (Poland's Millenium Series) (1).

Od swojej zalążkowej redakcji polskiej książka ta jest pod wieloma względami różna. Jest od niej trzy razy większa. Pojawienie się w roku 1950 trzeciego tomu (w dwóch woluminach)

---

(1) *Czartoryski and European Unity*, 1770-1861, by Marian Kukiel (*Poland's Millenium Series of the Kościuszko Foundation*), Princeton, N.Y., Princeton University Press, 1955; str. XVII i I nlb. i 354.

monografii Handelsmana, będącego w gruncie rzeczy szczegółową monografią polityki Hôtel Lambert w okresie wojny krymskiej pozwoliło autorowi na pełniejsze przedstawienie ostatniego okresu działalności politycznej księcia Adama, w polskiej redakcji potraktowanego bardzo szkicowo. Wzgląd na obcego czytelnika, którego ignorancji w sprawach polskich nigdy nie wolno nie doceniać, kazał wpleść w książkę informacje, których znajomość u polskiego czytelnika można przyjąć za rzecz samo przez się zrozumiałą.

Najważniejsza jednak różnica nowego ujęcia tkwi gdzie indziej. Książę Adam przez cały ciąg swego długiego żywota walczył o Polskę w ramach pewnej koncepcji równowagi europejskiej, najpierw jako powiernik i minister spraw zagranicznych cara Aleksandra I w oparciu o Rosję (najpełniejszym wyrazem tej polityki był „Mordplan gegen Preussen''), potem, kiedy koncepcja ta się załamała, przeciwko Rosji a w oparciu o mocarstwa Zachodu. Łatwo było sowieckiemu historykowi Tarlemu przedrwiwać ze starego księcia Adama, wysiadującego w oczekiwaniu na audiencję w poczekalni Drouyn de Lhuysa, nie ulega wątpliwości, że tak do wojny 1831 roku jak i po niej działalność dyplomatyczna Czartoryskiego była żarliwą służbą idei niepodległości Polski, że jego koncepcje polityczne były zawsze koncepcjami statysty, doskonale zorientowanego w europejskiej scenie politycznej, o bardzo szerokich horyzontach, przeprowadzającego swoje plany z wyjątkową konsekwencją i uporem. Jest wielką zasługą pracy Handelsmana i jego szkoły, że w latach międzywojennych odsłoniła nam szczegóły akcji politycznej Hôtel Lambert, przemyślanej na zaskakująco szeroką skalę, sięgającej tak egzotycznego terenu jak Persja i Afganistan, trzymającej rękę na pulsie budzących się ruchów niepodległościowych na Bałkanach czy na Kaukazie, pilnie kultywującej wszelkie możliwe stosunki wśród polityków Zachodu, a nie zapominającej i o kontaktach w kołach rewolucyjnych (książę Adam wspierał Mickiewiczowską *Trybunę Ludów*, mimo że była mu ideowo daleka, był w stosunkach z Bakuninem), akcji tym bardziej imponującej, że zorganizowanej przez ośrodek emigracyjny, rozporządzający z konieczności bardzo skromnymi możliwościami. Otóż w angielskiej książce gen. Kukiela nacisk położono właśnie na te ogólnoeuropejskie perspektywy polityki księcia Adama.

Tak jak i polski szkic angielska książka gen. Kukiela jest studium męża stanu, i tylko męża stanu. Nie przynosi charakterystyki człowieka. Jest to, oczywista, pewien brak. Ale też trzeba przyznać, że w tych warunkach, w jakich autorowi przyszło książkę pisać, ograniczenie się do Czartoryskiego-polityka było jedyną rozsądną decyzją. Prywatne papiery księcia Adama, przechowywane w Archiwum Domowym Czartoryskich w Krakowie, nie zostały ogłoszone, a przykład książki Handelsmana, akurat w próbach analizy psychologicznej najryzykowniejszej, był raczej przykładem odstraszającym. Decyzja to tym

rozsądniejsza, że książę Adam, zamknięty w sobie, opanowany, nie skory do zwierzeń, jest diablo trudnym modelem. Przecież w najbliższej rodzinie nazywano go „figure de bronze".

Zato w swoim zakresie, jako studium Czartoryskiego-polityka, jest to książka znakomita. Autor przedstawia poszczególne fazy działalności politycznej Czartoryskiego na tle bardzo gruntownie przemyślanej europejskiej sytuacji politycznej, zreferowanej i zanalizowanej w sposób wzorowo precyzyjny i ekonomiczny, bez obciążania drugorzędnymi szczegółami, ale też i bez popularyzacyjnych uproszczeń. Że zaś życie księcia Adama splotło się z historią Polski od początku wieku aż po wojnę krymską, książka gen. Kukiela jest równocześnie świetnym przedstawieniem historii dyplomatycznej sprawy polskiej w pierwszej połowie XIX wieku, tym cenniejszym że autor starannie wyzyskał nowszą literaturę naukową, tak polską jak i obcą, przede wszystkim angielską. Ze źródeł rękopiśmiennych sięgnął do zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu, Public Record Office w Londynie oraz do korespondencji lorda Dudley'a Stuarta, przechowywanej w zbiorach prywatnych w Anglii.

Jest to książka napisana w duchu Plutarchowskim. Stanowisko autora wobec księcia Adama jest pełne czci. Książę Adam to najwyraźniej jego bohater. Jest w tym pewne prawo rekompensaty, że skoro dla mistrza autora, Askenazego, w pierwszych latach niepodległości także i dyplomaty, bohaterami byli spiskowiec Łukasiński i książę Józef, to dla generała, a w młodych latach także i politycznego konspiratora Kukiela bohaterem takim stał się książę Adam.

Trzeba stwierdzić, że na ogół autor potrafi czytelnika dla swojego bohatera przekonać. Książę Adam był człowiekiem z wyjątkowo szlachetnego kruszcu, imponującym swoją ofiarnością, energią, bezinteresownością i szlachetnością gestu, horyzontami kulturalnymi, szerokością wizji politycznej. Etykieta „reakcjonisty", którą mu się dzisiaj ex officio w krajowej historiografii przyczepia, nie wytrzymuje bliższej i bezstronniejszej analizy. Był człowiekiem swojej klasy, można uważać, że jego idea *dobrowolnego* uwłaszczenia chłopów przez szlachtę była naiwna, ale nie sposób nie widzieć w nim człowieka żywo reagującego na sprawy niesprawiedliwości społecznej, a jego liberalizm był niewątpliwie bardzo dobrej próby.

Jest jednak jedno pęknięcie w tym Plutarchowym charakterze, z którego autor stara się swego bohatera wybronić. Oto księciu Adamowi brakło tego, co po angielsku nazywa się „leadershipem". Nie miał daru rządzenia ludźmi, narzucania im swojej woli. Najwyraźniej objawiało się to na emigracji, w fakcyjnych walkach „Czartoryszczyków", których nie potrafił opanować, czy w niefortunnej decyzji ogłoszenia go królem polskim, którą dał sobie narzucić. Nie można powiedzieć, żeby autor tego mankamentu swego bohatera nie dostrzegał. Ale kiedy przechodzi do jego oceny, z dziedziny polityki zwekslowuje na teren moralności. Stwierdza, że w księciu Adamie

nie było żądzy władzy, że jej nie szukał, a kiedy mu ją przyszło sprawować, traktował jako przykry obowiązek. Idzie jednak o to, czy taki brak instynktu władzy, bez względu na to jak byśmy go moralnie nie oceniali, jest tylko zaletą u polityka.

Autor starał się być skrupulatnie obiektywnym, wchodzić bezstronnie w motywy obcych, nawet jeśli to były motywy Polakom nieprzychylne, zdawać sobie sprawę z tego, jak poszczególne sytuacje i motywy przedstawiają się oczom nie-polskiego czytelnika. Nie ma w książce nic z tego rozwichrzonego, emocjonalnego polskiego egocentryzmu, który jest złą taktyką, kiedy się przemawia do obcych, bo nastraja czytelnika nieufnie, i który wolno wątpić czy jest najlepszą metodą zrozumienia zjawisk historycznych. W tym sharmonizowaniu w książce gorącego patriotyzmu z wymaganiami skrupulatnego obiektywizmu naukowego, ze spojrzeniem na zjawiska z szerszej europejskiej perspektywy jest coś z tego eposu, jaki przenikał życie i działalność księcia Adama.

Wiktor WEINTRAUB

System sowiecki

W bogatej literaturze sowietoznawczej nie wiele jest pozycji polskich, mimo iż na emigracji znajduje się kilku poważnych specjalistów. Zdaje się jednak, że nie tylko te względy natury technicznej zaważyły, gdyż badacze problemów sowieckich innych narodowości potrafili mimo to wejść na rynek międzynarodowy. Jest paradoksem, że dzieła dwóch literatów polskich: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Czesława Miłosza zajmują wysokie pozycje w literaturze sowietoznawczej i znaleźć je można w bibliografii każdego poważniejszego dzieła ostatnich lat. „Zniewolony umysł" Miłosza stał się podstawą analitycznych rozważań psychologicznych systemu komunistycznego. Inną głośną pracą jest znakomite dzieło Ojca I.M. Bocheńskiego, profesora filozofii nowoczesnej na uniwersytecie fryburskim w Szwajcarii, pt. „Der sowjet russische dialektische Materialismus". W tych warunkach ukazanie się pracy Polaka w obcym języku wywołuje szczególne zainteresowanie. Z zadowoleniem więc notujemy ukazanie się dzieła W.W. Kulskiego, profesora stosunków międzynarodowych uniwersytetu Syracuse, N.Y. USA, pt. *The Soviet Regime, Communism in practice*.

Dzieło to, liczące ponad 800 stronic, zajmie zapewne miejsce podstawowego podręcznika o Z.S.S.R. Prof. Kulski uchronił się szczęśliwie od profesorskiej nudy i zawiłości, które udaremniają lekturę nawet świetnych prac. Olbrzymi materiał podaje czytelnikowi omalże w formie felietonowej.

Autor nie napisał rozprawy specjalnej o poszczególnych problemach sowieckich : teoretycznych czy praktycznych. Wkracza od razu w istotę zagadnienia, dając zaledwie bardzo ogólnikowe powiązanie z przeszłością. Zamiast drobiazgowo analizować teoretyczne wywody przywódców sowieckich, pracowników naukowych Z.S.S.R. umiejętnie ilustruje każdy teoretyczny wywód praktycznym przykładem. W jednym i drugim wypadku posługuje się niemal wyłącznie źródłami sowieckimi. Jest to metoda świetna, lecz niestety pogardzana przez wielu uczonych sowietologów. Niesłusznie! Związek Sowiecki, komunizm nie są czymś oderwanym, nie należą również do zamierzchłej przeszłości i stąd podejście żywe, a więc konfrontacja deklaratywności z rzeczywistością jest nie tylko celowa, lecz wręcz niezbędna. R.N. Carew Hunt dał w „The theory and practice of communism" (London 1950) świetną konfrontację ideologicznych założeń podczas gdy prof. W.W. Kulski analizuje machinę reżymu komunistycznego.

Dzieło składa się z pięciu części : 1. Kulturalna izolacja i konformizm wykształconego człowieka; 2. Obywatel i państwo; 3. Robotnik i socjalna stratyfikacja; 4. Rolnik i gospodarka kolektywna; 5. Era postalinowska. W pierwszych czterech częściach autor analizuje wszystkie przejawy i formy ustroju, kreśli zmiany jakie zaszły w okresie wojennym i powojennym, nie omijając dosłownie żadnego istotnego problemu. Omawia zagadnienia kulturalne, stosunek do zachodu, problemy narodowościowe, ustrój partii, rządu, władz państwowych, sądowych i administracyjnych, organizacje młodzieżowe i zawodowe, ubezpieczenia społeczne, szkolnictwo, budownictwo wreszcie analizuje obszernie zagadnienia rolne.

Nie sposób w tym miejscu przeprowadzić obszernego przeglądu tej niezwykle pożytecznej i interesującej pracy, chociażby dlatego że jak wskazaliśmy, jest to raczej podstawowy podręcznik, informujący w sposób bardzo przejrzysty o Z.S.S.R. Jest to bodajże mała encyklopedia praktycznego funkcjonowania ustroju sowieckiego. Prof. Kulski nie zabawia się w stawianie horoskopów, nie zastanawia się nad tym czy ustrój sowiecki jest trwały czy kruchy, gdzie i kiedy oraz jakie zajdą zmiany. Pilnie natomiast trzyma się faktów, stara się możliwie najdokładniej przeanalizować, i usegregować według ważności.

Rozdział poświęcony postalinowskiej epoce jest bardzo ogólnikowy. Powstał niejako jako uzupełnienie dzieła. I tutaj prof. Kulski ogranicza się do rejestracji i analizy wypadków do drugiej połowy 1954 roku. Jego ostateczny wniosek brzmi, iż mimo śmierci Stalina system jego trwa bez zmian. Teza ta jest jednak zbyt niedostatecznie uzasadniona. Wydaje się, że prof. Kulski zbyt wielką wagę przywiązuje do licznych wypowiedzi przywódców komunistycznych i prasy sowieckiej. Niewątpliwie stanowią one materiał dla oceny i wniosków nie wydaje się jednak, by należało się zbytnio na tym opierać. O ile dają one doskonałą orientację w sprawach bieżących, aktualnych, o tyle raczej niebezpieczne jest wyciągać na ich podstawie ogólniejsze wnioski. Nie zaszkodzi wreszcie pamiętać, że prasa sowiecka w żadnym wypadku nie jest odbiciem życia w Z.S.S.R. Doniesienia i uwagi, zarówno krytyczne jak i afirmatywne, są dyktowane. Mimo to zdarzają się odchylenia, szczególnie w publikacjach periodycznych instytutów naukowych, które następnie są prostowane. Ograniczenie cytatów byłoby chyba pożytkiem dla całości.

Są to zastrzeżenia drobne, techniczne, trudno o inne. Praca prof. Kulskiego niewątpliwie pozostanie na długo w literaturze sowietoznawczej jako cenny, podstawowy podręcznik.

B. H.

Przemysł chemiczny w Polsce

Nakładem ruchliwego Osteuropa-Institut w Berlinie ukazała się jako tom trzeci „Naukowych Publikacji", wydawanych przez profesora Karl C Thalheima ciekawa praca pt. *Das Profil der polnischen Chemiewirtschaft nach dem Kriege* (*). Autorem jej jest Curt Poralla, który już rok temu ogłosił pracę o drogach wodnych w Polsce. (W roku 1953 ukazała się we wschodnim Berlinie w języku niemieckim monografia Mieczysława Jastruna o Mickiewiczu, której tłumaczem na język niemiecki był również C. Poralla).

Książka, oparta o drobiazgowo zebrany materiał, przeważnie polski, informuje o strukturze powojennego przemysłu chemicznego w Polsce, jego podstawach surowcowych i roli, jaką przemysłowi temu wyznaczono w planie gospodarczym Polski. Praca ta zawiera również charakterystykę organizacji przemysłu chemicznego i jego aparatu zbytu. Ciekawe i pouczające są cyfry dotyczące produkcji, zbytu a w szczególności eksportu. Wartość tej pożytecznej publikacji podnosi fakt, że obejmuje ona okres do końca roku 1954. W drugiej części pracy Poralli znajdujemy bliższe omówienie poszczególnych działów przemysłu chemicznego począwszy od sztucznych nawozów a kończąc na przemyśle fotochemicznym.

Szczególną wartość posiada umieszczony przy końcu książki spis miejscowości, w których znajdują się chemiczne zakłady produkcyjne, z bliższym opisem poszczególnych fabryk. Dołączona mapa ułatwia zorientowanie się w geograficznym rozmieszczeniu poszczególnych zakładów. Pouczający jest również spis źródeł, zawierający ponad 100 pozycji, zebranych częściowo z rozrzuconych po różnych czasopismach artykułów.

S. C.

(*) Curt Poralla. *Das Profil der polnischen Chemiewirtschaft nach dem Kriege.* Berlin 1955, in Komission bei Duncker und Humblot, Berlin, str. 161.

Przegląd czasopism

Pod tytułem „Opozycja w Polsce" ogłasza *Neue Züricher Zeitung* z 10 i 11 października dwa długie artykuły o stosunkach politycznych w kraju. Artykuły podpisane są -alp- : autorem ich jest świetny dziennikarz i publicysta szwajcarski, Ernst Halperin, który niedawno spędził kilka tygodni w Polsce. Warto zanotować kilka jego trzeźwych i obiektywnych spostrzeżeń.

Rezultat Konferencji Genewskiej został przyjęty przez antykomunistyczną opozycję w Polsce z przygnębieniem. Wiele się po niej w Polsce spodziewano i postawienie przez Eisenhowera sprawy wyzwolenia satelitów wzmogło te nadzieje. Dlatego ostateczny rezultat był niezrozumiałym dla Polaków ciosem : wszystkie nadzieje się rozwiały, z tym że w dodatku zachodnie mocarstwa nic nie osiągnęły pozytywnego. Propaganda komunistyczna wykorzystuje jak najpełniej to rozczarowanie. Konferencja genewska przedstawiana jest jako rzeczywisty „punkt zwrotny" stosunków światowych. „Duch Genewski" ma rzekomo ostatecznie zapanować nad stosunkami międzynarodowymi. Ale jest zrozumiałe, że „polscy antykomuniści widzą w tym duchu ducha solidarności zachodnich rządów z komunistycznymi oprawcami".

„Bezradność, która panuje wśród polskich antykomunistów od czasu konferencji genewskiej nie przekształciła się jeszcze w rozpacz. Nie myśli się jeszcze o duchowej kapitulacji przed reżymem, ale pierwszy krok w kierunku tej kapitulacji został właśnie teraz zrobiony".

Czym jest polska „opozycja" ? Opozycja zorganizowana została rozbita już w roku 1947. Od tego czasu tworzą się wciąż drobne i rozrzucone grupy oporu — o ich wykryciu donosi raz po raz prasa komunistyczna — ale mają one bardzo ograniczony zasięg działania i ich wpływ polityczny jest nieznaczny. O wiele znaczniejszy jest wpływ polskich programów zachodnich radiostacji. Te programy wzmacniają ducha oporu i udaje im się w znacznej mierze zneutralizować nieustanną propagandę komunistyczną przez którą reżym stara się działać na naród polski.

Ponieważ w państwie totalitarnym opozycja nie ma żadnych możliwości wymiany zdań, niezadowolenie nie może przybrać form konkretnego programu. Pozostaje chaotyczna mieszanina najróżniejszych opinii. Obok tych którzy nienawidzą reżymu ze względów czysto politycznych — jako komunistów i agentów Rosji — istnieje liczniejsza jeszcze grupa ludzi którym polityka jest obojętna, ale którzy nienawidzą komunistycznej dyktatury po prostu z powodu jej wpływu na ich życie codzienne. Chodzi tu o szpiegowanie prywatnego życia — mimo że ucisk policji zmalał w ostatnich czasach, ludność wie jednak że oczy i uszy tajnej policji i partii są wszędzie. Chodzi tu o braki gospodarcze, które sprawiają że trzeba staczać walki o zdobycie sobie najniezbędniejszych przedmiotów, które na Zachodzie traktowane są jako samo przez się zrozumiałe drobiazgi. Chodzi tu wreszcie — zresztą stoi to w związku z gospodarką niedoboru — o biurokrację, która niezmiernie utrudnia codzienne życie.

Chłopi są oczywiście wrogami reżymu z obawy przed kolektywizacją. Mimo złotoustej propagandy komunistycznej, nikt nie wytłumaczy chłopom,

że kolektywizacja jest czym innym jak degradacją całego stanu chłopskiego do poziomu wiejskiego proletariatu. Co prawda w stosunkach z chłopami był rząd polski o wiele ostrożniejszy niż inne rządy komunistyczne. Na większą skalę przeprowadzono kolektywizację tylko na Ziemiach Odzyskanych, gdzie chłopi nie zdążyli jeszcze zapuścić korzeni i gdzie wobec braku narzędzi i bydła, kolektywizacja mogła mieć przynajmniej pewną siłę atrakcyjną. Ostatnie decyzje polskiego rządu, odraczające kampanię za kolektywizacją, obliczone są na wzmożenie produkcji rolnej : w obawie przed kolektywizacją chłopi przestali zupełnie inwestować w swoje gospodarstwa. Ale wątpliwe jest czy nieufność i opozycja polskich chłopów może być przełamana czym innym jak oficjalną deklaracją, że rezygnuje się z samej zasady kolektywizacji.

Duży niepokój w sferach rządowych budzi postawa młodzieży, która nie daje się już nabierać na frazes ,,budujemy przyszłość''. ,,Już i teraz'' — oto hasło, które coraz częściej słyszy się w ustach młodych Polaków. Nie chcą się oni już pocieszać szczęściem potomności — i oni chcieliby też trochę użyć własnego życia. W całej młodzieży przeważa opinia, że nadszedł czas skończyć wreszcie z ograniczeniami i ,,austerity''. Ta opinia szerzy się również wśród młodzieży komunistycznej.

Te wszystkie elementy niezadowolenia są zresztą wspólne wszystkim demokracjom ludowym. W wypadku Polski dochodzi jeszcze antyrosyjska tradycja. Ale tradycja ta jest poniekąd równoważona pewnymi sukcesami reżymu. W Polsce komunistyczny rząd nie uchodzi za zwykłą formę sowieckiej okupacji — jak to ma miejsce w Rumunii i na Węgrzech. Dzieje się tak, gdyż Polska jest jedynym krajem spośród satelitów, w którym pewne ważne punkty programu rządowego w polityce zagranicznej i w wewnętrznej polityce gospodarczej poparte są nie tylko przez członków partii, ale również przez najbardziej zażartych jej wrogów.

Za główny punkt uważa tu Halperin sprawę granic zachodnich. Przytacza on wszystkie znane nam argumenty gospodarcze i narodowe, dla których granica ta cieszy się poparciem wszystkich Polaków.

,,Polscy antykomuniści stoją przed pytaniem jak można by utrzymać granice na Odrze i Nisie bez poparcia Rosjan. Związek Sowiecki wypowiedział się ostatecznie za tą granicą i zmusił swego wschodnio-niemieckiego satelitę do jej przyjęcia, podczas gdy mocarstwa zachodnie, ze względu na swego nowego niemieckiego alianta, odmawiają uznania tej granicy''.

,,Z pewnością — pisze dalej Halperin — Polacy zarówno przez swoją tradycję jak i religię czują się związani z Zachodem. Ale dopóki mocarstwa zachodnie nie uznają linii Odra-Nisa, myśl polityczna związku ze wschodem w polityce zagranicznej, mimo ciężkich konsekwencji w polityce wewnętrznej nie będzie w Polsce — nawet przez tych którzy są temu związkowi z zasadniczych względów skrajnie przeciwni — utożsamiana ze zdradą narodu, jak się to dzieje na przykład na Węgrzech''.

To wpływa na stosunek do partii i rządu. ,,Podczas gdy na Węgrzech uważa się partię za zwykły instrument władz okupacyjnych, w Polsce mówi się mimo wszystko o ,,naszych'' komunistach. I, w przeciwieństwie do Węgier, wielu polskich antykomunistów nie odrzuca rządu ,,en bloc'' jako zwykłą grupę quislingów, ale uważa go za rząd polski — z agentami sowieckimi w jego łonie — ale przecież polski. Czołowi członkowie reżymu nie są też jednakowo potępiani. I dziwnym zbiegiem okoliczności wydaje się że Bierut,

mimo swej przeszłości jako agent kominformu, cieszy się w kraju pewnym poważaniem".

Zresztą Rosjanie są w Polsce o wiele taktowniejsi niż w innych krajach satelickich. Podczas gdy w rumuńskich i węgierskich miastach prowincjonalnych roi się od sowieckich żołnierzy, garnizony sowieckie w Polsce są zgrupowane w kilku nadgranicznych obozach. Wydaje się że Rosjanie mają pewien szacunek dla narodu polskiego. Zresztą Polska jest najsilniejszym z satelitów europejskich. Stąd jej szczególna sytuacja wśród satelitów, która pozwala nawet partii na pewną swobodę w interpretacji moskiewskich linii.

Dwa inne punkty, w których reżym zdołał sobie pozyskać aprobatę nawet najbardziej zażartych przeciwników — to odbudowa Warszawy i uprzemysłowienie kraju. Odbudowa Warszawy — dokonana już w 80 procentach — uważana jest przez Polaków za autentyczny czyn narodowy. Uprzemysłowienie nie spotyka się wcale z ostrym sprzeciwem, jak na Węgrzech, gdzie uważa się uprzemysłowienie nie tylko za nonsens, ale za gwałt zadany charakterowi narodowemu. Oczywiście Polacy skarżą się bardzo na konsekwencje uprzemysłowienia: brak dóbr konsumpcyjnych, drożyznę, inwestycje za pomocą przymusowych oszczędności, ale sama zasada uprzemysłowienia nie jest w ogóle kwestionowana. „Techniczne i geologiczne warunki do budowy wielkiego ciężkiego przemysłu istnieją w Polsce w o wiele większym stopniu niż w południowo-wschodnich krajach satelickich, a oficjalny cel uprzemysłowienia — podniesienie Polski do rzędu wielkich mocarstw przemysłowych — miło głaszcze polską dumę narodową". U wielu Polaków gra tu jeszcze przekonanie, że im silniejsza będzie Polska, tym większe będzie miała możliwości uzyskania sobie względnej niezależności od Rosji.

„Fakt, że program rządowy nie może być przez żadnego Polaka odrzucony w czambuł, znacznie komplikuje zagadnienia kolaboracji. Granice pomiędzy pracą w służbie narodu polskiego i kolaboracją z komunistycznym reżymem są płynne i trudno określić gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie".

Z tym związany jest fakt, że Kościół w znacznej mierze przestał być tym ośrodkiem oporu, jakim był podczas wojny. Polityka reżymu wobec Kościoła — pozwolenie na swobodę kultu i nawet datki na odbudowę kościołów z jednej strony, z drugiej całkowita bezwzględność wobec każdego duchownego przejawiającego swe opozycyjne stanowisko — daje pewne rezultaty.

„Utrzymanie granicy na Odrze i Nisie, odbudowa stolicy i uprzemysłowienie — w żadnej innej „demokracji ludowej" reżym nie może się powołać na trzy równie kapitalne punkty programu, w których może cieszyć się poparciem — choćby najbardziej niechętnym — niekomunistycznej ludności. W ten sposób udało się reżymowi skanalizować i wykorzystać energie narodowe, które w innych „demokracjach ludowych" idą na marne, albo są wprost obracane na sabotaż systemu. Znać to w Polsce po rozmachu odbudowy i po osiągniętych dokonaniach".

„Ale wewnętrznie słaba partia komunistyczna nie byłaby w stanie nawet przy tych korzystnych danych wyjściowych osiągnąć tych częściowych sukcesów. Ma się w Polsce wrażenie, że jakość zarówno sfer kierowniczych partii jak i jej kadr stoi na znacznie wyższym poziomie niż w innych „demokracjach ludowych". Szkielet tych kadr pochodzi jeszcze z czasów przedwojennych. Komunistyczna Partia Polski, przez przedwojennych polskich polityków uważana za „quantité négligeable", była w rzeczywistości jedną z naj-

silniejszych partii nielegalnych. W roku 1938 została ta partia rozwiązana przez Komintern, ze względu na rzekome wpływy trockistowskie w jej łonie. Dopiero teraz — w najnowszym wydaniu Sowieckiej Encyklopedii i w ,,Prawdzie'' z 3 września br. przyznano, że decyzja ta była nieuzasadniona. Wspomnienie tej niesprawiedliwości wytworzyło niewątpliwie wśród polskich komunistów ducha solidarności i pewnego oporu wobec nakazów Moskwy, który umożliwił partii przetrwanie koszmaru ostatnich lat życia Stalina bez wewnętrznej czystki, takiej jaka doprowadziła komunistyczne partie Czechosłowacji i Węgier do wymordowania całego garnituru swych przywódców''.

La Parisienne poświęca połowę swego numeru październikowego Drieu La Rochelle.

Prestiż Drieu wciąż rośnie. Może dlatego, że jego wewnętrzne rozdarcie staje się dla wielu Francuzów znów aktualne. W roku 1955 nie brak w Paryżu ,,Gilles'ów''. Pisze o tym z pewną melancholią François Nourissier:

,,Ów Drieu'', który nie jest przecież ,,piękną postacią'', przybiera dziś naszą własną postać. Przyznajemy się do tego nie bez smutku. Były kombatant, tak młody, samotny i pełen pogardy, gotów zdradzić próżne zasady Action Française na rzecz nowej nadziei komunistów; zmęczony pisarz polityczny, obrzydzony surrealizmem, obrzydzony partią radykalną, obrzydzony francuskimi socjalistami, obrzydzony neokapitalizmem Gaston Bergery — który wreszcie skłania swą wyniosłą swobodę aż do przyjęcia karykaturalnych obrzędów francuskiego faszyzmu; Gilles z roku 1920; czterdziestopięcioletni Drieu ohydnie sprzęgnięty z Doriot — mamy wybór w tej galerii portretów między dwudziestoma postaciami, z których każda jest dość zbliżona do wyobrażania jakie mamy o naszej własnej samotności''.

Ale kim są ci ,,Gilles'owie'' z roku 1955 ?

— ,,Jutro można zebrać kadry intelektualne francuskiego faszyzmu operując elementami, które dobrze znamy : obrzydzonymi komunistami, burżujami którym znudziła się anarchia, pisarzami rozdartymi między chciwością pieniędzy i dandyzmem. Trzeba przyznać, że ta perspektywa przyprawia o zawrót głowy''.

Spośród wspomnień o Drieu zebranych w tym numerze, szkic Jean Bernier wydaje się najobiektywniejszy. Jest zresztą jednym z rzadkich które nie starają się zdyskontować tragicznego losu Drieu w celu pośredniej rehabilitacji kolaboracji z Niemcami.

Redaktor faszystowskiej i kolaboranckiej ,,Révolution Nationale'' Lucien Combelles, widział Drieu w przeddzień jego pierwszego — nieudanego — samobójstwa, w sierpniu 1944.

— Czy Drieu coś Panu polecił ? — pyta go *Parisienne*.

— Życzył sobie, abym, jeśli przeżyję ten okres, został komunistą...



Claude Lévy-Strauss, jeden z największych współczesnych etnografów, zresztą przekonany marksista (ale marksista tak otwarty, że jedynie swoboda myśli zachodniej pozwala mu na działalność) pierwszy podszedł w swej książce *Race et Histoire* (UNESCO, Paryż 1952) do kapitalnego zagadnienia różnorodności kultur. Proponuje on tam schemat ludzkich historii, z których każda składa się na wartość kumulatywną, i których ostateczne ,,powodzenie'' mo-

głoby być określone prawami prawdopodobieństwa, tak jak je formułuje najnowsza nauka. W wyjątkach z jego nowego dzieła *Tristes Tropiques*, które ma wydać wkrótce „Plon", ogłoszonych przez *Les Temps Modernes* pod tytułem „Des Indiens et leur Etnographe", odnajdujemy jego metodę naukową, opartą na zdobyczach współczesnej fizyki, ale również poetycką intuicję pozwalającą mu dociec sedna danej kultury.

„Całość obyczajów danego ludu — pisze Lévy-Strauss — jest zawsze naznaczona pewnym stylem; tworzą one określone systemy. Jestem przekonany, że systemy te nie istnieją w liczbie nieskończonej, i że społeczeństwa ludzkie, podobnie jak jednostki — w swych zabawach, snach czy majaczeniach — nie tworzą nigdy całkiem nowej formy, ale ograniczają się do wyboru spośród pewnych kombinacji zawartych w jakimś idealnym repertuarze, który można by teoretycznie odtworzyć. Sporządzając inwentarz wszystkich znanych obyczajów, wszystkich obyczajów, które ludzkość wyobraziła sobie w swych mitach, a również i tych do których odnoszą się zabawy i gry dzieci i dorosłych, sny jednostek zdrowych czy chorych, wzór postępowań psychopatologicznych — można by odtworzyć rodzaj tabeli periodycznej, podobny do tabeli chemicznych pierwiastków, w której wszystkie obyczaje istniejące, czy też po prostu możliwe, byłyby ugrupowane rodzinami, i według której moglibyśmy rozpoznać te obyczaje, które zostały rzeczywiście przyjęte przez dane ludzkie społeczeństwa".

I dalej — zagadnienie kluczowe dla etnografa, który uważa się za marksistę :

„Umiejscowiając poza czasem i przestrzenią wzór z którego czerpiemy nasze natchnienie (chodzi tu o koncepcje Russa w przeciwieństwie do „człowieka naturalnego" Diderota) napotykamy oczywiście na niebezpieczeństwo, którym by było niedocenienie rzeczywistości postępu. Nasza postawa sprowadza się do twierdzenia, że ludzie podejmowali zawsze i wszędzie to samo zadanie, mając ten sam cel na widoku i że w ciągu ich rozwoju różniły się tylko ich środki. Przyznaję, że taka postawa mnie nie niepokoi; wydaje się ona bardziej zgodna z faktami, które nam odkrywa historia i etnografia, a zwłaszcza wydaje mi się ona bardziej płodna. Entuzjaści postępu narażają się na niedocenienie, poprzez pogardę, która jest im naturalna, olbrzymich bogactw które nagromadziła ludność poza wąską koleiną do której przykuwają oni wzrok. Przeceniając wysiłki dokonane przez ludzkość w przeszłości, nie przywiązują oni dostatecznego znaczenia do wysiłków jakie musimy jeszcze dokonać. Jeśli ludzie właściwie zawsze porali się z jednym tylko zadaniem : to jest stworzeniem społeczeństwa wewnątrz którego można by żyć, to siły które działały w naszych najbardziej odległych przodkach działają również i wewnątrz nas samych. Nic nie jest zdecydowane. Możemy zawsze wszystko zacząć od nowa. To co zostało zrobione, ale źle zrobione, może być zawsze powtórzone raz jeszcze : „złoty wiek, który ślepy zabobon stawiał poza nami, lub stawia przed nami, *jest w nas samych*".

(j.)

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

List do Redakcji p. Kaz. Sabbata, zamieszczony w 7/93-8/94 numerze „Kultury" wymaga choć krótkiego ujawnienia jego — powiedzmy oględnie — nieścisłości.

Pan Sabbat uczynił zarzut, iż artykuł pt. „Dokumenty chwili", zamieszczony w marcowym numerze „Kultury", przedstawia jakoby „niezgodnie z prawdą sprawy budżetu, a w szczególności budżetu Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego".

Gdy idzie o „obronę" przez p. Sabbata dawnej Rady Narodowej i Rządu, to nie warto się tą „obroną" zajmować, gdyż „egzekutywa" nie jest ani emanacją dawnej Rady Narodowej, ani też następczynią Rządu. Jest ona jedynie i wyłącznie organem wykonawczym scalenia czy tylko porozumienia kilku szczątkowych stronnictw (partyj) politycznych. Niczym więcej. Funduszami Skarbu Narodowego dysponuje samowolnie i bezprawnie.

Nim udowodni się bezzasadność nazbyt długich i zawiłych usprawiedliwiań p. Sabbata, ażeby w zawiłościach utopić istotę i sens tego, co pragnie on jakoby wyjaśnić, najlepiej będzie przytoczyć cyfry cztero-miesięcznego tylko budżetu za okres jaki on omawia, to jest „budżet egzekutywy zakończony 31. 12. 1954". Przedstawia się on dosłownie:

akcja zjednoczenia	19.800 zł.
dział obywateli na obczyźnie	26.040 "
komisja krajowa	1.000 "
e g z e k u t y w a	14.340 "
tymczasowa rada	820 "
skarb — (co się w tej pozycji kryje?)	7.200 "
sprawiedliwość — (?)	600 "
informacja	10.000 "
wojskowa akcja niep.	80 "
dział zagraniczny — centrala	2.400 "
placówki dyplomatyczne — Hiszpania, Liban, Watykan, USA, Francja (?) i Grecja (?)	50.000 "

Pozycje te, ogłoszone w „O. B." nr 46 z 13. 11. 1954, czynią łącznie: 132.280 zł. Ale ponieważ budżet przewidywał w wydatkach kwotę łączną 139.900 zł., nie ujawniono, na co zużyto pieniądze w sumie 7.620 zł. Domyślać się można, że wzięto je na podróż pewnego kierownika partyjnego do USA.

Nawiasem zaznaczam, że poza tym jedynym wypadkiem, już więcej żadnych cyfr nigdzie nie ogłoszono, na skutek zakazu. Wiadomo tylko, że budżety następne zostały uwielokrotnione. I tak, za pierwsze półrocze 1955 roku, kwota ogólna wydatków egzekutywy stanowi już 231.000 zł., a budżet za okres od 1 lipca 1955 opiewa na 415.360 złotych, czyli £20.768, przy-

czym prócz pozycji pod nazwą ,,komisja krajowa" dodano jeszcze pozycję ,,sprawy krajowe".

Ponieważ artykuł w numerze marcowym ,,Kultury" zawierał przede wszystkim troskę o oświatę i kulturę polską na obczyźnie i stwierdził, że m. in. nie przewidziano ani grosza na Polskie Towarzystwo Naukowe oraz Polski Uniwersytet na Obczyźnie, które do maja 1954 otrzymywały nader skromne dotacje ($5 względnie £10 miesięcznie), p. Sabbat pisze :

,,Istotnie budżet Egzekutywy zmniejszył dotację na cele naukowe, wypłacane w Londynie. Sumę autor obliczył dokładnie. Budżet wszakże nie jest wyrazem pragnień lub obiecanką-cacanką. Jest to po stronie wydatków i wypłat plan a zarazem zobowiązanie wypłat..."

Jakto ,,zmniejszył"? Przecież w budżecie, który nie jest ,,obiecanką-cacanką" *nie preliminowano ani grosza,* nie tylko na instytucje naukowe w Londynie, poprzednio przez rząd wypłacane co miesięcznie, ale także nigdzie poza Londynem. Zapomniano nawet o terenie Niemiec, gdzie istnieje niedostateczna sieć szkółek polskich, utrzymywanych przez polskie Kompanie Wartownicze i niektóre organizacje polonijne w Ameryce i Australii. Nie przypuszczam, by p. Sabbat ośmielił się zaliczyć na dobro ,,egzekutywy" owe kilkaset dolarów, jakie ja osobiście rok-rocznie na te cele daję, lub też jednorazowy datek Komitetu na stan New Jersey, który przecież żadnej ,,egzekutywy" za swój organ nadrzędny nie uznaje.

W omawianym liście do Redakcji czytamy także że ,,Ochrona Zabytków" to jest konserwacja ,,Skarbów Wawelskich" jest otoczona ,,troskliwą opieką ze środków Skarbu Narodowego".

Jeśli to prawda, trzeba było dodać — jakiego? Boć wiadomo, że są *dwie* instytucje tej samej nazwy. Jedna podległa legalnym to jest konstytucyjnym organom państwowym, a druga tzw. ,,tymczasowym" czyli stronniczym. Chodzi jednak o to, że omawiany budżet ,,egzekutywy" cztero-miesięczny, tj. za okres 1. 9. — 31. 12. 1954, przecież nie przewiduje także na te skarby narodowe ani jednego grosza. Dalsze budżety, także nic nie przewidują.

Zdumiewające jest wyznanie autora listu : ,,Personel płatny Egzekutywy obejmuje zresztą tylko jedną osobę, skromnie płatną sekretarkę. Członkowie Egzekutywy pracują bezpłatnie, otrzymując zwrot kosztów przejazdów do wysokości £5 miesięcznie (około 15 dolarów miesięcznie).

Ponieważ jednak autor listu stwierdził, że budżet nie jest obiecanką-cacanką, ale planem a zarazem zobowiązaniem wypłat, warto zapytać go, co się stało z sumami egzekutywy oraz kwotami wyznaczonymi na inne pozycje (także egzekutywy) jak : skarb, sprawiedliwość, dział zagraniczny — centrala, oraz placówki dyplomatyczne itd. stanowiące przecież liczne dziesiątki tysięcy złotych. Zwłaszcza, że jak sam p. Sabbat zaznacza, opłacił *tylko jedną* placówkę dyplomatyczną, co bynajmniej nie jest dziwne, skoro opłacane są one bezpośrednio przez komisje terenowe, istniejące w Ameryce i gdzie indziej.

Wyjaśnienie, że ,,komisja krajowa" jest ,,komisją badawczą krajową" (?) powołaną do zbadania ,,głośnej sprawy Bergu", nie jest przekonywujące. Bowiem szczegóły tej skandalicznej afery są przecież dostatecznie znane i od dawna wykazane. Po cóż więc trwonić na tę komisję pieniądze, skoro brak ich nawet na ratowanie dziatwy polskiej przed wynarodowieniem. Zresztą ,,badanie" to trwa już zbyt długo i przeznaczono na nie dalsze, znaczniejsze sumy, w następnych budżetach. Czyż nie czas najwyższy, by samą sprawę zdecydowanie potępić a jej winowajców ukarać. Oburzenie p. Sabbata, za nazwanie ,,sprawy Bergu" kompromitacją Polaków, jest zgoła niewłaściwe. Boć to doprawdy była potworność !

Na zakończenie dodam tylko, że wbrew cyfrom podanym przez p. Sabbata, iż pieniądze przeznaczone na tzw. ,,dział obywateli polskich na ob-

czyźnie" także w przeszłości, gdy Rada Narodowa i Rząd R.P. decydowały o rozdawnictwie sum „ani jeden grosz nie poszedł na pensje ale natomiast, na przykład ostatnio 600 zł. (czyli 30 dol.) przeznaczono na potrzeby szkolnictwa do Niemiec, twierdzę, że jest inaczej. Czyż trzeba przytoczyć nazwiska osób pensje pobierające? Znam je doskonale. Mam stałe relacje od członków Komisyj Rewizyjnych. Wynika z tych relacyj, że np. na terenie Niemiec, nie tylko fundusze Skarbu Narodowego szły i nadal idą właśnie na pensje, ale także — o zgrozo — z sekcji opieki nad gruźlikami i z sekcji opieki społecznej. Gdyby te moje uwagi wywołały czyjekolwiek oburzenie, natenczas nie omieszkam wymienić nazwiska różnych pasożytów, żerujących na różnych funduszach i sposobu rozdawnictwa napływających sum, które — jak mi piszą — „miesza się w jednym tyglu tak, aby nawet diabeł nie doszedł, na co one poszły. Że mniej dostaną gruźlicy, że mniej da się dla chorych, dzieci, to nikogo nie obchodzi". Uposażenie „działacza" kwotą 350 DM miesięcznie, stanowi w Niemczech bardzo dużo.

Skarb Narodowy jest instytucją konieczną. Twórcom jej w roku 1950, należy się pełne uznanie. Choć trzeba stwierdzić, że także w przeszłości nie wszystko było tak, jak być powinno. Zmarnowano zbyt wiele i szastano niewłaściwie. Społeczeństwo polskie, patriotyczne a nie stronnicze (partyjne), na pewno swój wysiłek finansowy wydatnie wzmoże, gdy będzie wiedziało, że pieniądze są zużywane wyłącznie na cele istotnie narodowe. Ale, gdy się wie o krociach tysięcy, na jakąś „akcję zjednoczenia" która przecież jakoby zaistniała i zgoła żadnych sum pochłaniać nie powinna, trudno się dziwić, że wpływy stale maleją. Dlaczego p. Sabbat tę pozycję wstydliwie pominął?

Zbigniew ŁUKACZYŃSKI

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4[e])

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4[e] Trimestre 1955.

KULTURA REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, , 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria laca", Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., , Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab zozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia rcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de neiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curi-ba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, a Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany-, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, irobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, ris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; . **L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Win-peg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Dri-, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 ieen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 700 ieen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado stal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarme-Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** 3b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal-rg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsga-n 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee e., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf ibl.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Duda-v Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, lifornia; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.— St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewa-wski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. l. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-od Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 nterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Troja-wski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **Dobczynski, Alma Shipping Co.,** 11 Cooper , New York 34, N.Y. **The Polish Book Import-Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-. Battersea Church Road. London. S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso ieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

ależności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 fr.; 1/2 str. 10.000 fr. (okładka + 50%)

IMPRIMERIE RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris-18e

Cena 180 frs.